

Agatha Christie

Morderstwo w Boże Narodzenie

Przełożył: Andrzej Milcarz

Tytuł oryginału: Hercule Poirot's Christmas

SCAN-dal

Część I — 22 grudnia

I

Stephen szedł zwawo po peronie. Uniósł kołnierz płaszcza. Poszarpana mgła spowijała dworzec. Wielkie lokomotywy gwizdały donośnie, wyrzucając chmury pary w zimne, wilgotne powietrze. Wszystko było brudne i usmolone.

„Co za paskudny kraj, co za paskudne miasto!” — pomyślał z obrzydzeniem Stephen.

Pierwsze, podniecające wrażenie z Londynu: sklepy, restauracje, pięknie ubrane, atrakcyjne kobiety — to wszystko przyblakło. Metropolia wydała mu się naraz diamentem w zardzewiałej oprawie.

Gdyby mógł być teraz na południu Afryki... Poczł nagłą, aż bolesną tęsknotę za domem. Słonce, błękit nieba, ogrody pełne kwiatów, niebieskich najczęściej, żywopłoty z plumbago, modre powoje na ścianach każdej chałupiny.

A tu... brud, sadza i te tłumy bez końca, sunące nieprzerwanie, w pośpiechu. Wszędzie ścisk. Krzątania mrówek biegających pracowicie po chodnikach mrowiska. „Lepiej było nie przyjeżdżać” — żałował przez moment. Wspomnił jednak swój plan i zacisnął zęby. Nie, do diabła, zrobi, co zamierzał! Obmyślał to przez lata. Zawsze tego chciał. Tak, jazda naprzód!

Wahanie, nagłe wątpliwości, pytania do samego siebie: Dlaczego? Czy wdarto? Po co wracać do przeszłości? Czy nie lepiej wymazać całą sprawę? — to tylko moment słabości. Nie jest przecież dzieckiem, by kierować się nagłym kaprysem. Jest mężczyzną czterdziestoletnim, pewnym siebie, człowiekiem czynu. Nie zrezygnuje. Musi zrobić to, po co przyjechał do Anglii.

Odesłał bagażowego i, sam niosąc swoją walizkę z nie wyprawionej skóry, wszedł do wagonu. Zaglądał do wszystkich przedziałów po kolei, szukając wolnego miejsca. Pociąg był pełny. Do Bożego Narodzenia pozostały już tylko trzy dni. Stephen Farr patrzył z niechęcią na stłoczonych pasażerów.

Co za ogromna, nieprzebrana rzesza ludzi! I wszyscy tacy... tacy, jak to powiedzieć... tacy szarzy! I jednakowi, tak okropnie jednakowa! Jeśli nie pociągła, smutna twarz owcy, to pysk królika, tylko takie skojarzenia wywołują te oblicza. Niektórzy są rozgadani i nerwowi. Inni, szczególnie niemłodzi mężczyźni, pochrzają zupełnie jak świnię. Nawet te chude dziewczyny o jajowatych twarzach i szkarłatnych wargach wyglądały beznadziejnie jednakowo.

Z nagłą tęsknotą pomyślał o sawannach, o przestrzeniach pustego, spieczonego słońcem Welfdu...

Rzucił okiem do następnego przedziału i aż wstrzymał oddech. Ta dziewczyna była inna. Czarne włosy, świeża, śniada cera, głębia i ciemność nocy w oczach. Smutne, dumne oczy Południa... Taka dziewczyna nie powinna siedzieć w tym pociągu, pomiędzy szarymi, nijakimi ludźmi, i jechać gdzieś w głąb ponurej Anglii. Z różą w ustach, z czarną koronkową mantylą na

dumnej głowie powinna stać teraz na balkonie. W upale i w pyle o woni krwi — w zapachu korydy... Ona powinna być w jakimś wspaniałym miejscu, a nie siedzieć wciśnięta w kąt przedziału trzeciej klasy.

Był uważnym obserwatorem. Spostrzegł natychmiast, jak sfatygowane jest jej czarne paletko oraz spódnica. Nie przeoczył rękawiczek z tandetnego materiału, lichych butów i zaczepnie ognistoczerwonej torebki. A jednak miała klasę. Była świetna, wspaniała, egzotyczna...

Co, do diabła, robiła w tym kraju mgieł, chłodu i zabieganych, pracowitych mrówek?

„Muszę dowiedzieć się — pomyślał — kim jest i co tu robi... Muszę wiedzieć”.

II

Pilar siedziała wciśnięta w kąt siedzenia pod oknem i dziwiła się, że tak tu wszystko inaczej pachnie... To właśnie, jak do tej pory, uderzało ją w Anglii najbardziej — odmienność zapachów. Nie czuło się czosnku ani pyłu i tylko trochę perfum. Tu, w wagonie, wisiał zimny zaduch, czuło się siarkę — won kolei parowej — i mydło oraz jeszcze jakiś bardzo nieprzyjemny zapach. Rozłazi się to, pomyślała, z futrzanego kołnierza siedzącej obok tęgiej kobiety. Powąchała dyskretnie: naftalina. Co za pomysł — wyperfumować się czymś takim!

Rozległ się gwizd, ktoś coś krzyknął stentorowym głosem i pociąg zaczął powoli wysuwać się ze stacji. Ruszyli.

Serce zabiło jej trochę szybciej. Czy jej się powiedzie? Czy potrafi zrobić to, co zamierzyła? Jasne, na pewno potrafi, przecież tak starannie obmyślała szczegół za szczegółem... Jest przygotowana na każdą ewentualność. O tak, uda jej się, musi się udać...

Uśmiechnęła się samymi koniuszkami warg. Nagle te usta stały się okrutne. I okrutne, i zachłanne, trochę jak buzia dziecka albo pyszczek kota. Jakby знаła tylko własne pragnienia, a nie wiedziała, co to litość.

Rozglądała się wokół siebie otwarcie, jak dziecko. Ci ludzie obok, cała siódemka, jacy oni śmieszni, jak wszyscy Anglicy! Wydawali się bogaci, musi im się doskonale powodzić. Jakie ubrania, buty! Och! Bez wątplenia Anglia jest bardzo bogatym krajem, zawsze to słyszała. Ale oni w ogóle nie wyglądają na wesołych.

Na korytarzu stał przystojny mężczyzna... Pilar pomyślała, że jest bardzo przystojny. Podobała jej się smągła twarz, orli nos i mocne bary. Szybciej niż angielska dziewczyna Pilar zauważyła, że również podoba się mężczyźnie. Nie patrzyła na niego wprost, ale i tak doskonale wiedziała, jak często i w jaki sposób on na nią spogląda.

Stwierdziła to wszystko bez wielkiego zainteresowania czy emocji. Pochodziła z kraju, gdzie mężczyźni bez żenady przyglądają się kobietom. Zastanawiała się, czy jest Anglikiem, i nabrała przekonania, że nie.

Pomyślała, że jest zbyt żywy, zbyt realny, by być Anglikiem. Może to *Americano*. Przypomina aktora z filmów o Dzikim Zachodzie.

— Śniadanie, prosimy na śniadanie — powtarzał steward, przesuwając się wzdłuż korytarza. Wszyscy z przedziału Pilar mieli wykupione śniadanie, wyszli więc do wagonu restauracyjnego, a dziewczyna pozostała nagle sama.

Pilar szybko domknęła okno, zsunięte wcześniej parę centymetrów do dołu przez siwą jejmość o wojowniczym wyglądzie, która zajmowała miejsce w kącie naprzeciwko. Następnie rozsiadła się wygodnie i spoglądała na północne przedmieścia Londynu przesuwane się za szybą. Słyszała zgrzyt

odsuwanych drzwi przedziału, ale nie odwróciła głowy. Pilar wiedziała, że to ten mężczyzna z korytarza wszedł do przedziału, by nawiązać z nią rozmowę. Wciąż, zadumana, wyglądała za okno.

— Czy otworzyć okno? — spytał Stephen Farr.

— Nie, proszę nie otwierać, właśnie je zamknęłam. — Mówiła doskonale po angielsku, choć ze śladem obcego akcentu.

W chwili milczenia, która nastąpiła, Stephen pomyślał, że głos dziewczyny jest zachwycający. Ciepły jak letnia noc. I jest w nim słońce.

A Pilar pomyślała, że podoba jej się głos mężczyzny, taki dźwięczny i donośny. Ten nieznajomy jest atrakcyjny, tak, zdecydowanie atrakcyjny.

— Ale tłok w tym pociągu — powiedział Stephen.

— Tak, rzeczywiście. Przypuszczam, że ludzie uciekają z Londynu, bo tam jest tak ponuro.

Pilar nie wychowano w przekonaniu, że rozmowa w pociągu z obcym mężczyzną to coś zdrożnego. Pilnowała się jak każda dziewczyna, ale nie miała rygorystycznych tabu.

Gdyby Stephen wychowywał się w Anglii, nawiązywanie kontaktu z dziewczyną mogłoby go krępować. Był jednak człowiekiem bezpośrednim i rozmowę z kimkolwiek, jeśli tylko ma się na to ochotę, uważał za rzecz całkowicie naturalną.

— Londyn to raczej okropne miejsce, prawda? — uśmiechnął się bezwiednie.

— O tak. Wcale mi się nie podoba.

— Ja też nie lubię go ani trochę.

— Pan nie jest Anglikiem, nie?

— Jestem Brytyjczykiem, ale pochodzę z Afryki Południowej.

— A, rozumiem. To wszystko wyjaśnia.

— Przyjechała pani właśnie z zagranicy?

— Tak — skinęła głową Pilar. — Jestem z Hiszpanii.

— Z Hiszpanii, tak? Jest więc pani Hiszpanką?

— Pół-Hiszpanką. Moja matka była Angielką. Dlatego tak dobrze mówię po angielsku.

— A co z tą wojną?

— To straszne, tak, bardzo smutne. Jest bardzo dużo zniszczeń, o tak.

— Po której jest pani stronie?

Przekonania polityczne Pilar nie wydawały się klarowne. W miejscowości, z której pochodziła, nikt nie zwracał większej uwagi na wojnę.

— To działo się gdzieś daleko od nas, rozumie pan. Burmistrz, on jest urzędnikiem państwowym, więc on stoi po stronie rządu. A ksiądz po stronie generała Franco, ale większość ludzi pracuje na polach i w winnicach i nie ma czasu na politykowanie.

— A więc w pobliżu pani nie było żadnych walk? Pilar powiedziała, że nie było.

— Potem jednak podróżowałam samochodem przez cały kraj. Jest bardzo dużo zniszczeń. Widziałam spadającą bombę. Jej wybuch rozerwał samochód, tak, a druga zniszczyła dom. To było bardzo emocjonujące!

— A więc tak to dla pani wyglądało? — Stephen Farr uśmiechnął się z lekką ironią.

— Miałam też kłopoty. Ja chciałam jechać, a mój szofer został zabity.

— Nie była pani wstrząśnięta? — Stephen przyglądał jej się uważnie.

Wielkie, ciemne oczy Pilar zrobiły się jeszcze większe.

— Każdy musi umrzeć! Tak już jest, prawda? Jeżeli to spada nagle z nieba, bach, nie jest gorzej niż w jakikolwiek inny sposób. Żyje się przez jakiś czas, a potem się umiera. Tak już jest na tym świecie.

Stephen Farr roześmiał się.

— Nie sędzę, by była pani pacyfistką.

— Pan nie sądzi, że jestem kim, przepraszam? — Pilar miała najwyraźniej kłopot z wyrazem, który do tej pory nie wystąpił w jej słownictwie.

— Czy przebacza pani wrogom, *señorita*?

— Nie mam wrogów. Ale gdybym miała...

— No?

Obserwował ją, zafascynowany na nowo słodką i okrutną linią ust z kącikami wznoszącymi się ku górze.

— Gdybym miała wroga — powiedziała z powagą Pilar — gdyby ktoś nienawidził mnie, a ja jego, wtedy poderżnęłabym mu gardło, o tak...

Wykonała bardzo sugestywny gest. Zrobiła to tak szybko i dosadnie, że Stephen Farr aż cofnął

się odruchowo.

— Pani jest krwiożercza, młoda kobieto!

— A co pan zrobiłby swojemu wrogowi? — spytała Pilar bardzo rzeczowym tonem.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem roześmiał się głośno.

— No, ciekaw jestem, sam jestem ciekaw.

— Na pewno pan wie — naciskała z dezaprobatą Pilar.

Przestał się śmiać, westchnął i powiedział cichym głosem:

— Tak, wiem...

Nie dokończył jednak i zmieniając nagle ton, spytał:

— Co sprowadza panią do Anglii?

— Jadę do moich krewnych — odpowiedziała z pewną powagą. — Do moich angielskich krewnych.

— Rozumiem.

Odchylił się do tyłu i patrzył na nią, zastanawiając się, jacy są ci angielscy krewni, o których mówiła. Co zrobią z tej Hiszpanki... Próbował ją sobie wyobrazić pośród statecznej rodziny brytyjskiej w święta Bożego Narodzenia.

— Ładnie jest w Afryce Południowej, prawda? — spytała Pilar.

Zaczął mówić jej o tym kraju. Słuchała uważnie, jak dziecko zaciekawione nową bajką. Podobały mu się jej naiwne, lecz bystre pytania i bawił sam siebie snuciem opowieści pełnej wyolbrzymień, prawie baśniowej.

Powrót pozostałych pasażerów ze śniadania położył kres tej rozrywce. Stephen wstał, uśmiechnął się do oczu Pilar i wyszedł na korytarz.

Przepuszczając w drzwiach przedziału leciwą damę, trafił wzrokiem na wiklinową walizkę Pilar, tak niepodobną do bagaży krajowców. Z zainteresowaniem odczytał nazwisko na wizytówce: „Miss Pilar Estrayados”. W oczach pojawiło mu się niedowierzanie i coś jeszcze, gdy spostrzegł podany obok adres — „Gorston Hall, Longdale, Addlesfield”.

Stojąc ciągle bokiem w drzwiach, wpatrywał się w dziewczynę zdezorientowany, prawie obrażony, podejrzliwy... Na korytarzu palił papierosy i marszczył brwi sam do siebie...

III

W wielkim, błękitnozłotym salonie rezydencji Gorston Hali siedział Alfred Lee, omawiając z żoną Lydią plany na Boże Narodzenie. Był to mężczyzna w średnim wieku o delikatnej twarzy, kanciastej sylwetce i łagodnych, brązowych oczach. Mówił cichym głosem, starannie artykułując każdą sylabę. Głowa niemal wpadała mu w ramiona i robił dziwnie apatyczne wrażenie. Lydia miała coś ze smukłej charcicy. Energiczna, zdumiewająco szczupła, poruszała się szybko i z ujmującym wdziękiem.

Trudno by dopatrzeć się urody w jej zaniedbanej, wychudłej twarzy, niewątpliwie widniała w niej natomiast dystynkcja.

— Ojciec nalega! I to wszystko — powiedział Alfred.

Lydia poruszyła się niecierpliwie, ale opanowała irytację.

— Zawsze musisz go słuchać? — spytała. Miała czarujący głos.

— Jest bardzo starym człowiekiem, moja droga...

— Och wiem, wiem!

— Oczekuje respektu, poszanowania swojej woli.

— Naturalnie — powiedziała sucho Lydia — zawsze musiało być tak, jak on chciał. Ale prędzej czy później, Alfredzie, będziesz musiał się postawić.

— Co masz na myśli, Lydio?

Wpatrywał się w nią z tak wyrazistym zdumieniem i przerażeniem, że przygryzła wargę, przez moment wątpiąc, czy warto brnąć dalej.

— Co masz na myśli, Lydio? — powtórzył pytanie Alfred Lee.

Wzruszyła delikatnymi, wdzięcznymi ramionami.

— Twój ojciec — próbowała starannie dobierać słowa — ma skłonności do tyranizowania...

— Jest stary.

— I będzie jeszcze starszy. I jeszcze bardziej despotyczny. Do czego to doprowadzi? Już teraz dokładnie dyktuje nam, jak mamy żyć. Sami nie możemy o niczym decydować! Jeśli próbujemy, zawsze się sprzeciwia.

— Ojciec chce być na pierwszym miejscu. Pamiętaj, że jest bardzo dobry dla nas.

— Och, dobry dla nas!

— Bardzo dobry — w głosie Alfreda pobrzmiwały surowe nuty.

— Bo pomaga finansowo?

— Tak. Sam ma bardzo skromne potrzeby, ale dla nas nigdy nie żałuje pieniędzy. Możesz wydawać, ile chcesz, na stroje i na ten dom, a wszystkie rachunki płaci bez żadnych pytań. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu dał nam nowy samochód.

— Jeśli idzie o pieniądze, twój ojciec jest bardzo hojny, przyznaję. Ale w zamian oczekuje, byśmy zachowywali się jak niewolnicy.

— Niewolnicy?

— Tak, nie przesłyszaleś się. Jesteś jego niewolnikiem, Alfredzie. Jeśli mamy w planie wyjazd, a twój ojciec nagle wyrazi życzenie, byśmy nie wyjeżdżali, grzecznie wszystko odwołujesz i siedzisz na miejscu bez szemrania! A jeśli ma kaprys, by się nas z domu pozbyć, jedziemy... Nie mamy własnego życia, nie mamy wolności.

— Nie chcę, żebyś tak mówiła, Lydio — Alfred był umęczony. — To prawdziwa niewdzięczność. Ojciec zrobił dla nas wszystko...

Zagryzła wargi, powstrzymując się od ciętej odpowiedzi, która pchała jej się na usta. Znowu wzruszyła tymi drobnymi, wdzięcznymi ramionami.

— Wiesz, Lydio, że staruszek przepada za tobą...

— Ja nie przepadam za nim ani trochę — oświadczyła wyraźnie i dobitnie.

— Lydio, bardzo mi jest przykro słyszeć od ciebie takie rzeczy. To doprawdy nieładnie...

— Być może. Czasem jednak czuje się ogromną potrzebę powiedzenia prawdy.

— Gdyby ojciec odgadł...

— Twój ojciec wie doskonale, że go nie lubię! Myślę, że go to bawi.

— Naprawdę, Lydio, jestem pewien, że się mylisz. Często mówił mi, że odnosisz się do niego w sposób czarujący.

— Naturalnie, zawsze byłam uprzejma. I zawsze będę. Po prostu chcę, żebyś wiedział, co czuję. Nie lubię twojego ojca, Alfredzie. Uważam go za złośliwego starca, tyrana. Terroryzuje cię i wykorzystuje twoje przywiązanie. Już dawno powinieneś mu się przeciwstawić.

— Dość, Lydio — zaprotestował ostro Alfred. — Proszę, nic już nie mów.

Westchnęła.

— Przepraszam. Może nie miałam racji... Pomówmy o Bożym Narodzeniu. Czy sądzisz, że twój brat David naprawdę przyjedzie?

— A czemu nie?

— David — pokręciła głową z powątpiewaniem — jest dziwakiem. Nie było go w tym domu od lat, pamiętaj. Był tak oddany twojej matce. On ma szczególny stosunek do tego miejsca.

— David zawsze działał ojcu na nerwy tą swoją muzyką i marzycielstwem. Może ojciec był wobec niego czasem zbyt szorstki. Myślę jednak, że David i Hilda przyjadą. Wiesz, to jest Boże Narodzenie.

— Pokój ludziom dobrej woli — Lydia wykrzywiła ironicznie drobne usta. — No, ciekawa jestem! George i Magdalena przyjeżdżają. Powiedzieli, że będą prawdopodobnie jutro. Obawiam się, że Magdalena strasznie się wynudzi.

— Dlaczego mój brat George — w głosie Alfreda było trochę rozdrażnienia — ożenił się z dziewczyną o dwadzieścia lat młodszą, nie mogę pojąć! George zawsze był głupcem!

— Ale z powodzeniem robi karierę. Wyborcy z okręgu go lubią. Przypuszczam, że Magdalena mocno wspiera jego polityczne akcje.

— Nie sądzę, bym ją bardzo lubił — powiedział powoli Alfred. — Wygląda ładnie, ale czasami myślę, że jest podobna to tych gruszek ze złotą skórką, pięknych, ale... — potrząsnął głową.

— W środku do niczego? — dokończyła pytająco Lydia.

— Zabawne, że ty to mówisz, Alfredzie!

— Dlaczego zabawne?

— Bo zwykle jesteś taki wyrozumiały. Prawie nigdy nie wyrażasz się źle o nikim. Denerwujesz mnie czasami, bo nie jesteś dostatecznie, jak to powiedzieć, dostatecznie nieufny, nie wiesz, na jakim świecie żyjesz!

Mąż Lydii uśmiechnął się.

— Świat, zawsze tak myślę, jest taki, jakim go sobie uczynimy.

— Nie! — zaprotestowała ostro. — Zło jest nie tylko w głowach. Zło istnieje! Wyglądasz na kogoś, kto nie ma świadomości zła w świecie. A ja mam. Czuję je. Zawsze czułam; tutaj, w tym domu — przygryzła wargę i odwróciła się.

— Lydio — zaczął, ale ona szybko uniosła rękę ostrzegawczym gestem. Patrzyła na coś za jego plecami. Odwrócił się. Stojący z tyłu mężczyzna miał na gładkiej twarzy wyraz szacunku.

— Co jest, Horbury? — spytała ostro Lydia.

— Pan Lee, *madame* — Horbury miał niski głos, szczególny rodzaj uniżonego pomruku — prosił, abym powiedział pani, że na Boże Narodzenie przyjedzie jeszcze dwoje gości. Prosił o przygotowanie pokoiów dla nich.

— Jeszcze dwoje gości?

— Tak, *madame* — potwierdził ze słodyczą Horbury — jeszcze jeden dżentelmen i młoda dama.

— Młoda dama? — zaciekawił się Alfred.

— Tak właśnie powiedział pan Lee, *sir*.

— Pójdę do niego na górę... — szybko zdecydowała się Lydia, ale utknęła w miejscu, widząc nieznaczny gest Horbury'ego.

— Proszę wybaczyć, *madame*, ale pan Lee zażywa właśnie popołudniowej drzemki. Specjalnie prosił, aby mu nie przeszkadzać.

— Rozumiem — powiedział Alfred. — Nie będziemy go niepokoić, oczywiście.

— Dziękuję panu, *sir* — Horbury wycofał się.

— Nie cierpię tego człowieka! — wybuchnęła Lydia. — Skrada się po tym domu jak kot! Zawsze pojawia się bezszelestnie i znienacka. — Ja też go nie lubię. Ale on zna swoje obowiązki. Obecnie nie tak łatwo znaleźć dobrego służącego i zarazem pielęgniarza. Ojciec go lubi, a to najważniejsze.

— Tak, to jest najważniejsze, tak jak mówisz. Alfredzie, co z tą młodą damą? Jaka młoda dama?

— Nie mam pojęcia. Nie przychodzi mi na myśl, kto mógłby to być — pokręcił głową.

Patrzyli jedno na drugie.

— Wiesz, co myślę, Alfredzie? — spytała Lydia, krzywiąc wymownie usta.

— Co?

— Myślę, że twój ojciec był ostatnio znudzony. Przypuszczam, że planuje sobie trochę rozrywki na Boże Narodzenie.

— Zapraszając dwie obce osoby na rodzinne spotkanie?

— Och! Nie wiem, jak to wygląda w szczegółach, ale wyobrażam sobie, że twój ojciec szykuje

sobie jakąś zabawę.

— Mam nadzieję, że będzie miał z tego jakąś przyjemność — powiedział z powagą Alfred. — Biedny staruszek, uwiązany na miejscu przez tę swoją nogę. Tyle miał przygód, a teraz musi wieść żywot inwalidy.

— Tyle miał przygód — powtórzyła Lydia, akcentując specjalnie i niezbyt jasno przygody. Wydawało się, że Alfred odczuł to wyraźnie. Zarumienił się, wyglądał na nieszczęśliwego.

— Jakim sposobem może mieć takiego syna jak ty? Nie mogę pojąć! — krzyknęła nagle. — Dwa przeciwieństwa. Ale on rzucił na ciebie urok; ty go po prostu uwielbiasz!

— Czy nie posuwasz się trochę za daleko, Lydio? — w głosie Alfreda pobrzmiwała odrobina irytacji. — To naturalne, że syn kocha ojca. Byłoby dziwne, gdyby było inaczej.

— W takim razie ta rodzina jest w większości dziwna! Och, nie kłóćmy się! Przepraszam. Zraniłam twoje uczucia, wiem. Wierz mi, Alfredzie, naprawdę nie miałam takiego zamiaru. Cenię cię ogromnie za twoją... za twoją wierność.

Lojalność jest tak rzadką cnotą w obecnych czasach. Powiedzmy, no powiedzmy, że jestem zazdrosna? Uważa się za naturalne, że żony są zazdrosne o swoje teściowie, a czy żona nie może być zazdrosna o przywiązanie syna do ojca? Czy nie może być zazdrosna o teścia?

— Nie panujesz nad swoim językiem, Lydio — objął ją czule ramieniem. — Nie masz żadnego powodu do zazdrości.

Pocałowała go w płatek ucha; taka szybka, delikatna pieśszczota z domieszką skruchy.

— Wiem. Tak samo, Alfredzie, nie sędzę, bym mogła być w najmniejszym stopniu zazdrosna o twoją matkę. Szkoda, że jej nie znałam.

— To było biedne stworzenie.

Żona spojrzała na Alfreda z zainteresowaniem.

— A więc tak ją zapamiętałeś... jako biedne stworzenie... To interesujące.

— Widzę ją niemal zawsze chorą... — powiedział zamyślony. — Często we łzach... — potrząsnął głową. — Nie miała hartu ducha.

— Jakie dziwne... — zamruczała cicho, wciąż mu się przypatrując. Kiedy jednak zwrócił ku niej pytające spojrzenie, szybko zmieniła temat.

— Ponieważ nie wolno nam dowiedzieć się, kim są nasi tajemniczy goście, pójdę popracować do ogrodu.

— Jest bardzo zimno, moja droga. Strasznie wieje.

— Opatulę się solidnie.

Wyszła. Alfred Lee pozostał sam. Przez parę minut trwał w bezruchu, marszcząc tylko z lekka czoło, potem podszedł do wielkiego okna na drugim końcu salonu. Na zewnątrz przez całą długość budynku ciągnął się taras. Po minucie lub dwóch ukazała się na nim Lydia, niosąc płaski kosz. Miała na sobie gruby płaszcz. Postawiła kosz na ziemi i zaczęła coś robić przy prostokątnym, kamiennym korycie, wystającym nieco ponad powierzchnię tarasu.

Mąż obserwował ją przez pewien czas. Wreszcie opuścił salon, włożył płaszcz, zawiązał szalik i bocznymi drzwiami wyszedł na taras. Minał parę innych kamiennych koryt, w których były urządzone miniaturowa ogródki, dzieła zręcznych palców Lydii.

Jedno przedstawiało pustynię z żółtym, drobnym piaskiem, grupą palm z kolorowej blachy i karawaną wielbłądów prowadzonych przez dwie figurki Arabów. Kilka prymitywnych glinianych lepiarek wykonała Lydia z plasteliny. W innej kamiennej misie był ogród włoski z tarasami i gazonami pełnymi kwiatów z kolorowego laku. Nieco dalej mroziło oko oglądającego wyobrażenie wybrzeża Antarktydy: bryły zielonego szkła udawały góry lodowe, a tu i ówdzie skupiały się gromadki pingwinów. Nie brakło również ogrodu japońskiego z pięknymi, karłowatymi drzewami, lusterkami w roli oczek wodnych i mostkami ulepionymi z plasteliny.

Alfred zatrzymał się przy Lydii, która układała szkiełka na niebieskim papierze. Wokół tej tafli nagromadziła kamienie i sypała właśnie ostry żwir, formując plażę. Pomiędzy kamieniami sterczało parę małych kaktusów.

— Tak, właśnie tak, dokładnie tak, jak chciałam — mruzczała do siebie Lydia.

— Co przedstawia to ostatnie dzieło sztuki?

— To? — była zaskoczona jego nadejściem, nie słyszała kroków. — Och, to jest Morze Martwe, Alfredzie. Podoba ci się?

— Bardzo jałowca kraina. Czy nie powinno tu być więcej roślinności?

— To moja wizja Morza Martwego. Widzisz, ono ma być martwe...

— Nie jest tak atrakcyjne jak inne kawałki świata, które tu stworzyłaś.

— Nie miało być specjalnie atrakcyjne.

Na tarasie zabrzmiały kroki. Nadszedł stary, siwy i lekko przygarbiony lokaj.

— Dzwoni żona pana George'a Lee, proszę pani. Pyta, czy dobrze będzie, jeśli przyjadą jutro o piątej dwadzieścia.

— Tak, powiedz jej, że to dobra pora.

— Dziękuję pani, *madame*.

Lokaj oddalił się pośpiesznie. Lydia patrzyła za nim z rozczeniem.

— Drogi, stary Tressilian. Jest prawdziwą podporą! Nie wyobrażam sobie, co zrobilibyśmy bez niego.

— Tak, to stara dobra szkoła — przytaknął Alfred. — Jest z nami prawie czterdzieści lat. Naprawdę oddany.

— Jak wierny sługa z opowieści o dawnych czasach — skinęła głową Lydia. — Jestem przekonana, że w razie potrzeby broniłby każdego z nas do ostatniego tchnienia!

— Tak, oczywiście... Na pewno by bronił.

Lydia przyglądała ostatni fragment plaży.

— No, gotowe.

— Gotowe? — spojrzał zdziwiony Alfred.

Roześmiała się.

— Gotowe na Boże Narodzenie, głuptasie! Na to sentymentalne, rodzinne Boże Narodzenie, które jest przed nami.

IV

David przeczytał list, następnie zgniół kartkę i rzucił za siebie. Zaraz jednak schylił się po papierową kulkę, rozprostował arkusik i przeczytał ponownie.

Hilda obserwowała męża bez słowa. Zwróciła uwagę na pulsującą żyłkę na skroni, lekkie drzenie długich, delikatnych dłoni, nerwowe, spazmatyczne ruchy całego ciała. Kiedy poprawił kosmyk jasnych włosów, które zawsze spadały mu na czoło, i zwrócił ku niej proszące spojrzenie niebieskich oczu, była gotowa.

— Co z tym zrobimy, Hildo?

Hilda dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Słyszała błaganie w jego głosie. Wiedziała, jak bardzo jest jej podporządkowany — zawsze tak było, od samego ślubu. Wiedziała niemal na pewno, że może wpłynąć na jego decyzję zasadniczo i ostatecznie. I właśnie z tej przyczyny nie spieszyła się z wygłaszaniem jednoznacznej opinii.

— Wszystko zależy od tego, co ty o tym myślisz, Davidzie — powiedziała cicho kojącym głosem doświadczonej niani.

Hilda nie była piękna, ale miała w sobie coś magnetycznego. Ciepło i przymilność w barwie głosu. Przywodziła na myśl urok holenderskiego malarstwa. Emanował z niej spokój, serdeczność i jakaś wewnętrzna siła, nęcąca słabych. Ani specjalnie bystra, ani szczególnie błyskotliwa, ta nieco masywna kobieta w średnim wieku miała w sobie coś, wobec czego nie można było przejść obojętnie. Hilda miała siłę!

David wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Wyglądał niezwykle chłopięco. W jego włosach nie było jeszcze widać siwizny, a twarz przypominała niezbyt srogie oblicza rycerzy z obrazów BurneJonesa. Była jakby nie całkiem realna...

— Wiesz, co o tym sędę, Hildo — powiedział zamyślony.

— Wiesz przecież.

— Nie jestem pewna.

— Ale przecież mówiłem ci, powtarzałem ci to tyle razy! Jak nienawidzę tego wszystkiego: domu, okolicy i w ogóle wszystkiego! To nie może przynieść nic dobrego. Czuję się nieszczęśliwy w każdej chwili, którą tam spędziłem. Kiedy pomyślę, co wycierpiała moja biedna matka...

Hilda pokiwała głową ze współczuciem.

— Była taka dobra, Hildo, taka cierpliwa. Tak długo obłożnie chora, często w boleściach. I wszystko pokornie znosiła. A kiedy wspomnę mojego ojca — twarz Davida pociemniała — który

jest winien wszystkich jej cierpień, który ją upokarzał, zdradzał nieustannie i jeszcze się tym chełpił, to...

— Nie wolno się na takie rzeczy godzić — powiedziała Hilda Lee. — Powinna była odejść od niego.

— Była na to za dobra — odparł z lekkim wyrzutem David.

— Uważała, że jej obowiązkiem jest pozostać. Poza tym to był jej dom, dokąd miała pójść?

— Mogła zacząć na nowo, ułożyć sobie życie po swojemu.

— W tamtych czasach? — spytał David. — Niczego nie rozumiesz. Wtedy to było nie do pomyślenia. Kobiety musiały się ze wszystkim godzić i cierpliwie znosić swoją niedolę. Nie mogła przecież zapomnieć o nas. A gdyby nawet dostała rozwód, to co dalej? Ojciec ożeniłby się pewnie raz jeszcze i założył nową rodzinę. Matka miała więc na uwadze przede wszystkim nasze dobro.

Hilda milczała.

— Postąpiła jak należało — ciągnął David. — To była święta osoba! Znosiła wszystko aż do końca i nie skarżyła się,

— Coś chyba jednak musiała mówić o swoich cierpieniach, skoro tyle wiesz na ten temat, Davidzie!

— Tak, opowiadała mi o różnych rzeczach — potwierdził miękko, a twarz rozjaśniła mu się od wspomnień. — Czują, że bardzo ją kocham. Kiedy umarła... — urwał i przeczesał dłonią włosy.

— Hildo, to było straszne, potworne! Rozpaczliwe! Była jeszcze młoda, wcale nie musiała umierać. To on ją zabił, mój ojciec! On odpowiada za tę śmierć. Złamał jej serce. Wówczas przyrzekłem sobie, że nie będę dłużej mieszkał z nim pod jednym dachem. Uciekłem od tego wszystkiego.

— Bardzo mądrze zrobiłeś. Tak trzeba było.

— Ojciec chciał, żebym mu pomagał w interesach, ale to by oznaczało pozostanie w tym domu. Nie mogłem dłużej. Nie rozumiem, jak Alfred może to znosić przez tyle lat.

— Alfred nigdy się nie buntował? — spytała zaciekawiona nieco Hilda. — Coś kiedyś mówiłeś na ten temat. Nie chciał się usamodzielnąć?

— Myślał o karierze wojskowej. Ojciec wszystko dla nas z góry zaplanował: Alfred, najstarszy, miał iść do kawalerii, Harry i ja mieliśmy pomagać w fabryce, a George zająć się polityką.

— No i dlaczego stało się inaczej?

— Harry, który zawsze był zakałą rodziny, pokrzyżował wszystkie plany. Narobił długów, miał też mnóstwo innych kłopotów, aż wreszcie ulotnił się, a wraz z nim zniknęło kilkaset funtów, które wcale nie były jego własnością. Napisał tylko dwa zdania: że posada gryzpiórka go nie pociąga i chce zobaczyć kawał świata...

— I nigdy już nie dał znaku życia?

— Ależ dał, naturalnie! — roześmiał się David. — Przysyłał telegramy z podróży, prosząc o pieniądze. I przeważnie je dostawał!

— A Alfred?

— Ojciec kazał mu zrezygnować z wojska i zająć się fabryką.

— Nie miał nic przeciwko temu?

— Nie ulega wątpliwości, że był strasznie niezadowolony. Ojciec jednak zawsze robił z nim, co chciał. Myślę, że jest mu całkowicie podporządkowany.

— A ty jednak się wyrwałeś?

— Tak, pojechałem do Londynu studiować malarstwo. Ojciec zapowiedział mi, że wobec tak nierozsądnej decyzji nic mi nie da za życia i nic nie zapisze w spadku. Odparowałem, że nie dbam o to. Wyzwał mnie od młodych głupców i więcej go już nie widziałem.

— Nie żałowałeś potem?

— Nie, nigdy. Zdaję sobie sprawę, że nie dokonam wielkich rzeczy w sztuce i wybitnym artystą nie zostanę. Ale przecież dobrze nam tu w tym domku, mamy wszystko, czego nam potrzeba. A kiedy umrę, no to... Ubezpieczyłem się na życie na twoją korzyść.

Urwał i dodał:

— A tu teraz coś takiego! — otwartą dłonią uderzył w list.

— Skoro jest to dla ciebie tak przykre, żałuję, że twój ojciec w ogóle napisał.

— Prosi — David zdawał się nie słyszeć uwagi żony — żebym przyjechał na święta razem z żoną. Chce, abyśmy je spędzili razem, jak prawdziwa rodzina. Za tym musi się coś kryć.

— A jeśli nie kryje się nic szczególnego? Może — powiedziała z uśmiechem — twój ojciec zrobił się na starość trochę sentymentalny i zapragnął rodzinnego ciepła. Tak bywa, wiesz o tym.

— Bywa, może... — zgodził się bez przekonania David.

— Samotność coraz bardziej ciąży z latami.

— Uważasz, że trzeba pojechać, Hildo?

— Nie należy odmawiać takiej prośbie. Pewnie jestem staroświecka, ale sądzę, że ludzie powinni być razem na Boże Narodzenie, okazywać dobrą wolę, szukać zgody.

— Tak sądzisz? Po tym, co ci powiedziałem?

— Wiem, mój kochany, rozumiem. Ale to już należy do przeszłości.

— Nie dla mnie.

— Nie, bo ty nie chcesz pozwolić przeszłości umrzeć. Dla ciebie ona jest wciąż żywa.

— Nie mogę zapomnieć.

— Nie możesz zapomnieć, bo nie chcesz, Davidzie!

— Tacy jesteśmy — zacisnął usta — my wszyscy z rodu Lee. Przez lata pamiętamy o wszystkich urazach, pielęgnujemy je, odświeżamy blaknące wspomnienia.

— Dla mnie ważna jest chwila obecna. To, co minęło, musi odejść. Próby ożywienia przeszłości powodują tylko jej deformację, rzeczy ukazują się w fałszywej perspektywie.

— A ja pamiętam doskonale wszystko, co się kiedyś zdarzyło, każde słowo pamiętam — odrzekł z zawziętością David.

— Tak, ale to nie jest normalne, mój drogi. Wciąż patrzysz na to oczami młodego chłopaka, a powinieneś przeszłość sądzić spokojnie, jak dojrzały mężczyzna.

— Co to za różnica?

Hilda zawahała się. Może to nierozważne brnąć w tę argumentację, ale słowa same cisnęły się na usta.

— Myślę, że ojciec wciąż ma dla ciebie coś z potwora. A może spojrzełbyś na niego jak na zwykłego człowieka, który nie potrafił okiełznać swoich namiętności. Pewnie, że popełnił w życiu sporo grzechów, ale to człowiek, a nie jakieś nieludzkie monstrum.

— Nic nie rozumiesz. Moją matkę traktował jak...

— Niekiedy zbyt uległość — przerwała Hilda — i podporządkowanie wyzwala w mężczyźnie najgorsze instynkty. Ten sam mężczyzna, gdyby napotkał kogoś z charakterem, siłą woli, postępowałby zupełnie inaczej.

— A więc, twoim zdaniem, to jej wina...

— Nie, na pewno nie! — zaprotestowała. — To oczywiste, że ojciec źle traktował matkę,

małżeństwo jest jednak rzeczą szczególną i wątplię, by ktokolwiek z zewnątrz, nawet dziecko pochodzące z tego związku, miał prawo je osądzać. Poza tym te żale w niczym już matce nie pomogą. Wszystko dawno minęło. Jest tylko stary człowiek, schorowany. I on prosi syna, by przyjechał do domu rodzinnego na Boże Narodzenie.

— I chcesz, bym pojechał?

Hilda zawahała się, ale nagle podjęła decyzję.

— Tak, chcę, żebyś pojechał i pogrzebał te upiory przeszłości raz na zawsze.

George Lee, poseł do parlamentu z okręgu Westeringham, miał czterdzieści jeden lat i był dżentelmenem korpulentnym, z wydatnym podbródkiem. Mówił w sposób pedantyczny, a w jego bladoniebieskich, lekko wylupiastych oczach czaiła się podejrzliwość.

— Raz już ci powiedziałem, Magdaleno, że pojedę, gdyż traktuję to jako swój święty obowiązek — rzekł z powagą.

Żona pośła wzruszyła ramionami zirytowana. Była to drobna, szczuplutka platynowa blondynka o owalnej twarzy z wyskubanymi brwiami. Często twarz jej nie miała żadnego wyrazu; jak na przykład w tej chwili.

— Kochanie, tylko pomyśl, tam będzie strasznie nudno, jestem pewna.

— Ale — oblicze George'a Lee rozjaśniło się, bo przysłała mu do głowy przyjemna myśl — ile zaoszczędzimy! Święta zawsze kosztują okropnie dużo. Teraz będzie kosztowało nas tylko utrzymanie służby.

— No, dobrze — skapitulowała Magdalena. — Święta są w końcu wszędzie beznadziejnie nudne.

— Przypuszczam — George wciąż myślał o oszczędnościach na służbie — że spodziewają się świątecznego obiadu. Ale wystarczy porządny befsztyk zamiast indyka.

— Dla służby? George, musisz to tak wałkować? Stale martwisz się o forszę.

— Ktoś musi o tym myśleć.

— Tak, ale takie skąpstwo w drobiazgach to już przesada. Nie możesz poprosić ojca o więcej pieniędzy?

— I tak dużo od niego dostaję.

— To okropne, ta twoja całkowita zależność od ojca. Powinien oddać ci do dyspozycji jakiś kapitał.

— To nie w jego stylu.

Magdalena podniosła ku mężowi orzechowe oczy, nagle ostre i przeszywające. Pusta zwykle, pociągła twarz nabrała wyrazu.

— On jest diabelnie bogaty, prawda, George? Może to nawet milioner?

— Myślę, że ma nawet kilka milionów.

Magdalena westchnęła z zawiścią.

— Gdzie on zdobył ten majątek? W Afryce Południowej?

— Tak, zbił tam forszę w młodości. Głównie na diamentach.

— Niesamowite!

— Potem wrócił do Anglii i tak prowadził interesy, że podwoił albo nawet potroił swoją fortunę.

— Co z tym będzie, kiedy umrze?

— Ojciec nigdy nie mówił wiele na ten temat. Nie wypada, oczywiście, pytać wprost, ale przypuszczam, że większa część pieniędzy przypadnie Alfredowi i mnie. Alfred, to jasne, dostanie więcej niż ja.

— Ale masz jeszcze brata?

— Owszem, Davida. Nie sądzę, by mu się wiele dostało. Opuścił dom, oddając się sztuce czy innym takim głupstwem. Ojciec ostrzegał, że go wydziedziczy, ale David oświadczył, że nie dba o to.

— Głupota — powiedziała Magdalena pogardliwie.

— Była też siostra, Jennifer. Wyjechała z Hiszpanem... artystą... zresztą przyjacielem Davida. Zmarła przed rokiem, zostawała, zdaje się, córkę. Ojciec może dać jej trochę pieniędzy, ale na pewno to nie będzie dużo. No i, oczywiście, Harry...

Zamilkł, nieco zakłopotany.

— Harry? — spytała zdziwiona Magdalena. — Kto to jest Harry?

— Harry... mój brat.

— Nie wiedziałam, że masz jeszcze jednego brata.

— Moja droga, on... nie przynosi nam chwały. Nie wspominamy o nim. Nadużył naszego zaufania. Już od lat nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Prawdopodobnie nie żyje.

Magdalena roześmiała się nagle.

— Co cię tak rozśmieszyło?

— Po prostu pomyślałam sobie, jakie to śmieszne, że właśnie ty, człowiek o nieposzlakowanej opinii, masz brata — takie ziółko!

— Myślę, że mam nieposzlakowaną opinię — uciał chłodno.

Oczy Magdaleny zwięzły się.

— Twój ojciec nie jest... tak szacowny jak ty, George.

— Co ty, Magdaleno?

— Niekiedy mówi rzeczy, które mnie niepokoją.

— Magdaleno, doprawdy, zdumiewasz mnie. Czy Lydia też tak sądzi?

— Ale on takich rzeczy nigdy Lydii nie mówi — powiedziała gniewnie Magdalena. — Nigdy. Ciekawe, dlaczego jej nie mówi?

George rzucił żonie szybkie spojrzenie i odwrócił oczy.

— Och — rzekł beznamiętnie — trzeba mieć zrozumienie. W wieku ojca... Poza tym, on jest chory...

— Naprawdę, jest poważnie chory?

— No nie, tak bym tego nie określił. On jest bardzo twardy. Skoro jednak chce mieć całą rodzinę ze sobą wokół świątecznego stołu, to sądzę, że powinniśmy pojechać. Kto wie, może to jego ostatnie Boże Narodzenie.

— Tak się tylko mówi, George — powiedziała ostro — ale niewykluczone, że jednak będzie żył przez długie lata, prawda?

— Jasne... To nie jest wykluczone — wyjąkał zaskoczony.

— No, dobrze, chyba rzeczywiście najlepiej zrobimy, jak pojedziemy.

— Nie mam co do tego wątpliwości.

— Ale ja wcale nie mam ochoty! Alfred to nudziarz, a Lydia źle się do mnie odnosi.

— Nonsens.

— Tak właśnie jest! I jeszcze na dokładkę ten wstrętny sługus!

— Stary Tressilian?

— Nie, Horbury. Podkrada się jak kot, i jeszcze ten fałszywy uśmiech.

— Magdaleno, nie sądziłem, że w ogóle zwracasz na niego uwagę.

— Działa mi po prostu na nerwy, ale zostawmy to. Widzę, że naprawdę musimy tam pojechać. Nie róbmy przykrości starszemu człowiekowi.

— Właśnie, nie wolno tego robić. A świąteczny obiad dla służby...

— Nie teraz, George, kiedy indziej. Zadzwonię zaraz do Lydii i powiem, że przyjedziemy jutro o piątej dwadzieścia.

Wybiegła z pokoju. Po rozmowie telefonicznej poszła do swojego pokoju na górę i siadła przy biurku. Zaczęła grzebać w szufladach i przegródkach. Były tam całe pliki rachunków. Próbowwała je sensownie posortować, ale po chwili prychnęła niecierpliwie. Papierzyska w bezładzie trafiły z powrotem do szuflad, a Magdalena przejechała dłonią po swojej gładkiej, platynowej fryzurze.

— Co ja mam zrobić? — mruknęła.

VI

Na pierwszym piętrze rezydencji Gorston Hali długi korytarz prowadził do wielkiej sali, której okna wychodziły na frontowy podjazd. Były tu okazałe staroświeckie meble, brokatowe obicia, głębokie skórzane fotele, wielkie wazy z wyobrażeniami smoków, rzeźby z brązu. Wszystko wystawne, drogie i solidne.

W przepastnym fotelu, najokazalszym ze wszystkich, siedział zasuszony mężczyzna. Długie palce wbijały się w podłokietniki. Obok leżała laska ze złotą główką. Siwowłosy mężczyzna o pożółkłej i pomarszczonej twarzy miał na sobie znoszony błękitny szlafrok, a na nogach bambosze.

Słabiutki, bezbronny staruszek, można by pomyśleć na pierwszy rzut oka. Dumna linia orlego nosa i ciemne, pełne życia oczy mówiły jednak zupełnie co innego. Czuło się żar, witalność i wigor.

Stary Simeon Lee wydał z siebie nagły, cienki chichot.

— Powtórzyłeś pani Alfredowej, co ci kazałem?

— Tak, proszę pana — ugrzecznionym, pełnym uszanowania tonem odpowiedział stojący za fotelem Horbury.

— Słowo w słowo, tak jak ci mówiłem?

— Tak, proszę pana. Bez najmniejszego błędu, proszę pana.

— Tak... Nie robisz błędów. Lepiej, żebyś nie robił błędów, bo inaczej pożałujesz! A ona co na to, Horbury? Co powiedziała pani Alfredowa?

Horbury spokojnie, obojętnie powtórzył jej słowa. Stary człowiek znowu zachichotał i zatarł rękę.

— Świetnie... Pierwsza klasa... Będą łamać sobie głowę przez cały wieczór! Znakomicie! Zadałem im bobu! Idź i sprowadź ich tutaj.

— Tak, proszę pana.

Horbury przepłynął bezgłośnie przez pokój i wyszedł.

— A, Horbury...

Starzec obejrzał się i zaklął pod nosem.

— Ten typ porusza się jak kot. Nigdy nie wiadomo, gdzie jest.

Siedział nieruchomo w fotelu, gładząc się po brodzie. Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł

Alfred z Lydią.

— A, jesteście. Siadaj tu Lydio, kochanie, koło mnie. Piękne masz dzisiaj rumieńce.

— Byłam na dworze, a jest dość zimno. Chłód szczypie w policzki.

— Jak się miewasz, ojczy? — zapytał Alfred. — Odpocząłeś trochę po południu?

— Świetnie, świetnie. Śniły mi się stare czasy, kiedy nie byłem jeszcze filarem społeczeństwa, nawet się jeszcze nie ustatkowałem.

Nagle roześmiał się głośno. Synowa siedziała bez słowa i tylko uśmiechała się z grzeczną miną.

— Cóż to za dwójka nieoczekiwanych gości na święta, ojczy?

— A, no właśnie! Powinienem wam o tym powiedzieć. Gwiazdka w tym roku to dla mnie wspaniałe święta. Więc tak, przyjeżdża George z Magdaleną...

— Tak, przyjeżdżają jutro — przerwała mu Lydia — pociągiem o piątej dwadzieścia.

— George, ta okropna oferma! — ciągnął stary Simeon.

— No, ale w końcu to mój syn.

— Podoba się swoim wyborcom — zauważył Alfred.

Simeon znowu zachichotał.

— Myślą pewnie, że to ktoś porządny. Porządny! W naszej rodzinie nie było nikogo porządnego.

— Och, ojczy!

— No, tylko ty jeden, mój chłopczy. Ty jeden.

— A David? — spytała Lydia.

— David. Ciekawe, czy jest taki sam po tych wszystkich latach. Był taki mięczakowaty za młodu. A jak wygląda jego żona? On nie ożenił się w każdym razie z babką o dwadzieścia lat młodszą jak ten dureń George!

— Hilda przysłała bardzo miły list — powiedziała Lydia.

— Przed chwilą dostałam też telegram z potwierdzeniem jutrzejszego przyjazdu.

Teść patrzył na nią przenikliwie. Po chwili zaśmiał się.

— Ty się nic nie zmieniasz, Lydio. Muszę przyznać, że jesteś dobrze wychowana. Widać klasę. Znam się na tym. Nawiasem mówiąc, dziedziczność to szczególna rzecz. Tylko jedno z moich dzieci ma coś po mnie, tylko jedno.

— No, a teraz zgadujcie — oczy Simeona błysnęły — kto przyjeżdża tu na Boże Narodzenie. Do trzech razy sztuka! Stawiam pięć funtów, że nie zgadniecie.

Patrzył to na jedno, to na drugie.

— Horbury mówił — zmarszczył brwi Alfred — że oczekujesz młodej damy.

— A, to cię intryguje! Tak jest. Filar będzie tu lada moment. Posłałem po nią samochód.

— Pilar? — zdziwił się Alfred.

— Pilar Estravados — objaśnił Simeon. — Córka Jennifer, a moja wnuczka. Ciekaw jestem, do kogo będzie podobna.

— Wielkie nieba! Ojcie, nigdy nie mówiłeś mi...

— A nie mówiłem, nie! To była moja tajemnica. Poleciałem Charltonowi napisać i załatwić wszystko.

— Nigdy mi nie powiedziałaś... — powtórzył z wyrzutem Alfred.

— Gdybym powiedział, nie byłoby niespodzianki — ojciec uśmiechnął się złośliwie. — Chyba przyjemnie będzie gościć tu znowu kogoś młodego. Nigdy nie widziałem tego Estravadosa. Ciekawe, czy ona jest podobna do matki, czy do ojca.

— Ale ojcie, czy to było rozsądne? — zaczął Alfred. — Biorąc wszystko pod uwagę...

— Do licha z rozsądkiem — przerwał mu starzec. — Za bardzo się kierujesz rozsądkiem, Alfredzie. Zawsze taki byłeś. A ja jestem inny! Uważam, że trzeba robić to, na co ma się ochotę, i nie myśleć o rozsądku. Tak twierdzę! Ta dziewczyna to moja wnuczka, moja jedyna wnuczka! Nie obchodzi mnie jej ojciec, nie interesuje mnie, kim był i co robił. Ta dziewczyną to krew z mojej krwi! A ściągamy ją tutaj, by z nami zamieszkała.

— Będzie tu mieszkać? — spytała ostro Lydia.

— Masz coś przeciw temu?

— Naturalnie że nie. Możesz zapraszać do swojego domu, kogo chcesz. Nie wiem tylko, czy ona...

— Czy ona co?

— Czy będzie tu szczęśliwa.

— Ona nie ma grosza przy duszy. Musi być wdzięczna.

Lydia wzruszyła ramionami, a Simeon zwrócił się do Alfreda.

— Widzisz? Czyż nie będą to wspaniałe święta? Z wszystkimi dziećmi przy mnie? A teraz zgaduj, kto będzie tym drugim gościem.

Alfred wytrzeszczył oczy.

— Wszystkie moje dzieci, powiedziałem. No, czemu nie zgadujesz, chłopie? Harry, oczywiście! Twój brat Harry!

— Harry... Ależ Harry... — jękał się blady Alfred.

— Harry we własnej osobie.

— Myśleliśmy, że umarł!

— On by miał umrzeć?

— Ściągasz go tutaj, po tym wszystkim, co zrobił?

— A co, syn marnotrawny? Zgadza się. Zabijemy więc utuczone cielę! Trzeba zabić utuczone cielę, bo wraca syn marnotrawny, Alfredzie. Musimy urządzić Harry'emu serdeczne powitanie.

— Przecież postąpił wobec ciebie... wobec nas wszystkich... jak niewdzięcznik.

— Nie ma potrzeby wyliczania jego wszystkich draństw. Lista jest zbyt długa. Ale pamiętaj, że Boże Narodzenie to czas odpuszczania win. Powitajmy go jak syna marnotrawnego.

— To dla mnie szok — wymamrotał Alfred, wstając. — Nigdy bym nie przypuszczał, że Harry postawi swoją nogę w tych murach.

— Nigdy go nie lubiłeś, prawda? — spytał cicho Simeon.

— Po tym, jak postąpił wobec ciebie...

— Co było, minęło! — zaśmiał się Simeon. — Na tym przecież polegają święta Bożego Narodzenia, prawda Lydio?

— Wygląda na to — odpowiedziała blada Lydia — że ojciec od dawna obmyślał tegoroczną Gwiazdkę.

— Pragnę mieć rodzinę dookoła siebie, jestem już stary. Pokój ludziom dobrej woli! Zostawiasz mnie, chłopcze?

Alfred wyszedł pośpiesznie.

— Dopiekłem twojemu mężowi. On i Harry nigdy się nie zgadzali. Harry zawsze się z niego natrzęsał. Nazywał go nadętym ślamazarą.

— To jak zając i żółw z bajki. Ale w bajce to żółw wygrywa gonitwę.

— Nie zawsze. W życiu bywa jednak inaczej, moja droga Lydio.

— Wybacz, ojcie — powiedziała z uśmiechem — muszę pójść do Alfreda. W takich momentach wpada w przygnębienie.

— Tak, Alfred nie lubi zmian — zachichotał Simeon. — Chciałby mieć zawsze święty spokój.

— Alfred jest bardzo oddany ojcu.

— Dziwi cię to?

— Czasami mnie dziwi — odpowiedziała i wyszła z pokoju.

Simeon patrzył za nią. Chichotał cicho i zacierał ręce.

— Niezła zabawa — powiedział do siebie. — Przez całe święta będę się dobrze bawił.

Podniósł się z wyraźnym wysiłkiem i podpierając się laską, pokuśtykał wzdłuż pokoju. Podeszedł do wielkiego sejfu stojącego w kącie. Pokręcił gałką, drzwiczki ustąpiły. Wsunął drżące palce do środka. Wyciągnął z sejfu mały zamszowy woreczek z nie szlifowanymi diamentami. Przesypywał je między palcami.

— Moje cudenka... Zawsze takie piękne... Moje stare przyjaciółki... To były piękne dni... Żaden szlif wam nie potrzebny, moje drogie. Nie będziecie wisieć na kobiecej szyi, tkwić na palcach ani dyndać koło uszu. Należycie tylko do mnie, moje stare przyjaciółki. Mamy wspólne sekrety. Mówią, że jestem stary i chory, ale ja się nie daję! W starych kościach jest jeszcze dużo życia. A życie wciąż szykuje mi coś zabawnego...

Część II — 23 grudnia

I

Rozległ się dzwonek. Tressilian ruszył ku drzwiom. Ktoś dobijał się bardzo natarczywie. Zanim stary sługa powoli przeszedł przez hol, dzwonek odezwał się jeszcze kilkakrotnie.

Tressilian zarumienił się z gniewu. Co za brak manier. Tak kołatać do porządnego domu. Jeżeli to znowu banda kolędników, to nauczy ich moresu. Przez matową szybę okienka ujrzał sylwetkę postawnego mężczyzny w kapeluszu nasuniętym na oczy. Otworzył. Tak jak myślał. Jakiś obcy, w tanim, krzykliwym ubraniu! Chyba nachalny żebrak!

— A niech mnie, jeśli to nie Tressilian — wykrzyknął przybysz. — Jak się masz, stary?

Tressilian patrzył zdumiony na mężczyznę. Ta arogancko wysunięta szczęka, wydatny nos, szelmowskie oczy. Nie zmienił się przez te lata. To musi być on.

— Panicz Harry! — wykrzyknął z zapartym tchem.

Harry Lee wybuchnął śmiechem.

— Mało brakowało, a zemdlałbyś na mój widok. Myślałem że wiesz. Spodziewałem się, że mnie tu oczekują.

— Tak. Na pewno, proszę pana.

Harry cofnął się i popatrzył na dom. Okazała budowla z czerwonej cegły, niezbyt piękna, ale solidna.

— Tak samo szkaradna chałupa jak zawsze — otaksował.

— No, ale trzyma się, a to ważne. Jak się miewa ojciec?

— Jest już prawie inwalidą. Siedzi stale w swoim pokoju, chodzi z trudem. Ale trzyma się.

— Stary grzesznik!

Harry Lee wszedł do środka, pozwalając Tressilianowi zdjąć z siebie szal i co nieco ekscentryczny kapelusz.

— A jak mój drogi brat Alfred, Tressilianie?

— Bardzo dobrze, proszę pana.

— Nie może się doczekać, kiedy mnie zobaczy? — wyszczerzył zęby Harry.

— Tak przypuszczam, proszę pana.

— A ja nie! Całkiem przeciwnie. Idę o zakład, że moje pojawienie się to dla niego prawdziwy cios! Alfred i ja nigdy nie żyliśmy w zgodzie. Zagładasz czasem do Biblii, Tressilianie?

— No, tak, proszę pana, czasami, proszę pana.

— Pamiętasz przypowieść o powrocie syna marnotrawnego? Dobry brat wcale się z tego powrotu nie cieszył, pamiętasz? W ogóle mu się to nie podobało! Dobry, stary domator Alfred również nie będzie szczęśliwy, głowę daję.

Tressilian spuścił głowę i milczał, ale sztywną postawą sygnalizował protest. Harry poklepał go po plecach.

— Prowadź, stary. Czeka na mnie utuczone ciele. Prowadź mnie tam prosto.

— Gdyby pan zechciał zaczekać chwilę w salonie. Nie bardzo wiem, gdzie wszyscy są... Nie można było wysłać nikogo na powitanie po pana, bo nie wiedzieliśmy, o której godzinie pan przyjedzie.

Harry kiwnął głową. Podążył przez hol za Tressilianem, rozglądając się na boki.

— Wszystkie stare graty na miejscu, widzę — zauważył.

— To nie do wiary, że nic się tu nie zmieniło od dwudziestu lat, kiedy opuszczałem tę chałupę.

Wszedł za Tressilianem do salonu.

— Spróbuję znaleźć pana Alfreda albo jego żonę — zamruczał stary sługa i oddalił się.

Harry Lee zrobił parę kroków i stanął zaskoczony widokiem postaci siedzącej na parapecie okiennym. Z niedowierzaniem wodził wzrokiem po czarnych włosach i egzotycznej, smagłej cerze ze śmietankowym odcieniem.

— Dobry Boże! Czyżbym widział siódmą i najpiękniejszą z żon mojego ojca?

Filar ześlizgnęła się z parapetu i podeszła do niego.

— Jestem Pilar Estravados — obwieściła. — A pan musi być chyba wujem Harrym, bratem mojej mamy.

— A więc pani jest córką Jenny!

— Dlaczego spytał mnie pan, czy jestem siódmą żoną? Czy on naprawdę miał już sześć żon?

Harry roześmiał się.

— Nie, zdaje się, że ślubną to miał tylko jedną. A więc, Pil... Jak pani ma na imię?

— Pilar.

— Zatem, Pilar, autentycznie zbaraniałem widząc panią, kwiat Południa, w tym mauzoleum.

— W tym mało...?

— W tym muzeum manekinów! Zawsze ten dom wydawał mi się paskudny! Teraz, kiedy widzę go znowu, wygląda jeszcze szpetniej.

— Ależ nie! Tu jest pięknie! — w głosie Pilar było oburzenie. — Wspaniałe meble i dywany! Wszędzie grube dywany i tyle ozdób. Wszystko w bardzo dobrym gatunku i wszystko takie drogocenne!

— A więc pani się tu podoba — Harry szczyrzy! zęby, patrząc na nią z rozbawieniem. — Naprawdę, zdębiałem, kiedy zobaczyłem panią pomiędzy...

Urwał na widok Lydii w drzwiach salonu. Podeszła prosto do niego.

— Pan Harry? Jestem Lydia, żona Alfreda.

— Miło mi panią poznać, Lydio — uściśnął jej dłoń i obrzucił badawczym spojrzeniem inteligentną, żywą twarz. Sposób poruszania się szwagierki spodobał mu się od razu. Tak niewiele kobiet robi to zgrabnie, pomyślał.

Lydia też go otaksowała. To musi być chyba kawał brutala, stwierdziła, pociągający kawał brutala. Nie ufałabym mu ani na jotę.

— No i jak to wygląda po latach? — spytała z uśmiechem.

— Całkiem inaczej czy zupełnie tak samo?

— Zupełnie tak samo. — Spojrzał dookoła. — Ale ten pokój został przemeblowany.

— Och, wiele razy.

— Przypuszczam, że to pani go odmieniła.

— No, tak...

Z nagle uśmiechnął się do niej szelmowsko. Natychmiast przypomniał jej się uśmiech starca z pokoju na górze.

— Teraz ten salon ma klasę! Obiło mi się o uszy, że ten pocziwiec Alfred wziął sobie za żonę dziewczynę, której przodek towarzyszył Wilhelmowi Zdobywcy.

— To prawda — uśmiechnęła się Lydia. — Ród jednak nieco podupadł od czasów Wilhelma.

— A jak się miewa Alfred? Wciąż taki z niego oficjalny sztywniak?

— Nie mam pojęcia, jak pan go oceni, czy się zmienił, czy nie.

— A reszta? Rozrzućni po całej Anglii?

— Nie, wszyscy zjechali się tu na święta.

Harry otworzył szeroko oczy.

— Do licha! Gwiazdkowy zjazd rodzinny? Co się stało staruszkowi? Nigdy nie dbał o sentymenty. Rodzina też go specjalnie nie obchodziła. Musiał się zmienić!

— Być może — przytaknęła oschle Lydia.

Pilar patrzyła na nich z zainteresowaniem w oczach.

— A George jak? — spytał Harry. — Nadal taki dusigrosz? Jak on lamentował, kiedy musiał wydać parę pensów ze swojego kieszonkowego!

— George jest w parlamencie — poinformowała Lydia. — Reprezentuje okręg Westeringham.

— Co? Ten wytrzeszcz w parlamencie? O Boże, a to ci dopiero!

Harry odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Był to potężny, dziki, tubalny śmiech; wydawał się gwałcić porządek panujący w salonie. Pilar wstrzymała oddech, a Lydia cofnęła się.

Harry, słysząc jakiś ruch za sobą, przestał się śmiać i odwrócił się gwałtownie. Z tyłu stał Alfred i patrzył na Harry'ego z dziwnym wyrazem twarzy.

Harry uśmiechnął się i zrobił krok do przodu.

— Toż to Alfred!

Alfred skłonił się.

— Jak się masz. Harry.

Stali w milczeniu patrząc na siebie. Lydia westchnęła głęboko i pomyślała: „Okropne! Patrzą na siebie czujnie jak dwa psy...”

Pilar miała oczy okrągłe ze zdumienia. „Sterczą jak durnie — uznała. — Dlaczego się nie obejmą? No tak, oczywiście, Anglicy takich rzeczy nie robią. Ale mogliby coś powiedzieć. Dlaczego tylko patrzą?”

— Tak, dziwne uczucie — być tu znowu! — powiedział w końcu Harry.

— No, wyobrażam sobie. Minęło ładnych parę lat, jak wyjechałeś.

Harry uniósł głowę i pogładził się ręką po brodzie. Był to ruch dla niego charakterystyczny; wyrażał wojowniczość.

— Tak, jestem zadowolony, że wróciłem — tu zrobił pauzę, by mocno zaakcentować słowo, które padnie — do domu...

II

— Był ze mnie, przyznaję, niezły kawał drania — powiedział Simeon Lee.

Siedział zagłębiony w fotelu, ze szczęką wysuniętą do przodu, w zamyśleniu gładził się ręką po brodzie. Przed nim na kominku buzował ogień, rzucając czerwone błyski. Obok siedziała Pilar z kawałkiem papieru w ręce, którym osłaniała sobie twarz od żaru. Od czasu do czasu wachlowała się nim, z gracją wyginając rękę w nadgarstku. Simeon patrzył na nią z upodobaniem.

Mówił dalej, bardziej może do siebie niż do dziewczyny, zachęcony do wynurzeń samą jej obecnością.

— Tak, byłem draniem. Co powiesz na to, Pilar?

— Wszyscy mężczyźni to dranie — wzruszyła ramionami Pilar. — Tak przynajmniej mówią zakonnice. I dlatego trzeba się modlić za tych łobuzów.

— Tak, ale ja byłem większym draniem niż inni — roześmiał się Simeon. — Ale wiesz co, wcale tego nie żałuję. Nie żałuję niczego. Radowałem się każdą minutą mojego życia! Ludzie mówią, że na starość przychodzi czas na pokutę. To bzdury! Ja nie będę pokutował. Powiem ci coś: grzeszyłem na wszystkie sposoby. Próbowałem wszystkich grzechów głównych. Oszukiwałem, kradłem, kłamałem... do licha, i to jak jeszcze! A kobiety! Słyszałem kiedyś opowiadanie o szejku arabskim, który miał straż przyboczną złożoną z czterdziestu własnych synów. I wszyscy byli prawie w tym samym wieku. Czterdziestu! Nie wiem, czy ja uzbierałbym całą czterdziestkę, ale z moich bękartów też można by sformować sporą gwardię. No jak, Pilar, jesteś zgorszona? Zszokowana?

— Dlaczego miałabym być zszokowana? — Pilar patrzyła uważnie na Simeona. — Mężczyźni zawsze pragną kobiet. Mój ojciec był taki sam. Dlatego tak często żony są nieszczęśliwe i nie pozostaje im nic innego jak chodzić do kościoła i się modlić.

Stary Simeon zmarszczył brwi.

— Przeze mnie Adelajda była nieszczęśliwa — powiedział cicho, na pół do siebie. — Boże, co to za kobieta. Jaka była piękna, kiedy się z nią żeniłem. Krew z mlekiem. A co potem? Tylko łzy i łzy. Kiedy żona ciągle płacze, w mężu budzi się diabeł... Ona była po prostu słaba. Gdyby mi się kiedyś postawiła! Ale gdzie tam, ani razu. Myślałem, że po ślubie się ustatkuję, będę miał normalną rodzinę, skończę z tym wszystkim, co było...

Głos mu zamarł. Wpatrywał się w płomienie tańczące w kominku.

— Rodzina! Boże, co to za rodzina! — nagle zaniósł się gniewnym, skrzekliwym śmiechem. — Wystarczy na nich popatrzeć! Nie mam żadnego wnuka! Co to za ludzie! Czy oni nie mają ani kropli mojej krwi w żyłach? Nie mam ani jednego przyzwoitego syna, ślubnego czy nieślubnego. Na przykład Alfred, wielkie nieba, co to za nudziarz. Ciągłe patrzy na mnie tymi swoimi psimi oczami.

Gotowy zrobić wszystko, co każe. Co za dureń! Za to jego żona, Lydia, ma charakter. Nie lubi mnie. Nie cierpi mnie, ale musi to ukrywać ze względu na tego głupka Alfreda. — Starzec popatrzył na dziewczynę siedzącą koło ognia. — Pilar, pamiętaj, że nie ma nic nudniejszego niż poświęcenie.

Uśmiechnęła się. Simeon mówił dalej, obecność młodej, tak kobiecej Pilar skłaniała go do zwierzeń.

— A George? Kim jest ten George? Drętwy, pompatyczny nudziarz, balon pełen frazesów i komunałów, ani rozumu ani charakteru, a za to kutwa niesłychana! David? David zawsze był głupcem, głupcem i marzycielem, a do tego maminsynkiem. Jeden raz zrobił rzecz sensowną, kiedy ożenił się z tą solidną i spokojną kobietą. — Simeon klepnął dłonią w obicie fotela. — Harry jest najlepszy z nich wszystkich! Biedny stary Harry, zakała rodziny! Ale w nim jednym widać przynajmniej życie!

— Tak — przytaknęła Pilar — on jest fajny. Śmieje się często do rozpuku i zabawnie odrzuca wtedy głowę do tyłu. Bardzo go lubię.

— Bardzo go lubisz, Pilar? Tak, Harry zawsze miał podejście do dziewczyn. To po mnie — starzec zaczął śmiać się słabo, jakby astmatycznie. — Dobrze miałem życie, tak, dobrze mi się żyło. Wszystkiego pod dostatkiem.

— U nas, w Hiszpanii, twierdzą, że Bóg mówi: „bierz, co chcesz, ale płać”.

Simeon ponownie z aprobatą uderzył dłonią w fotel.

— To dobre. W tym rzecz. Bierz, co chcesz... Tak właśnie robiłem, przez całe życie brałem, co chciałem...

— A zapłaciłeś za to? — spytała Pilar dźwięcznym, wysokim głosem.

Słaby, dychawiczny śmiech zamarł Simeonowi na ustach.

— Co powiedziałaś?

— Pytałam, czy zapłaciłeś za to, dziadku.

— Ja... nie wiem — odrzekł najpierw powoli, a potem, bijąc pięścią o fotel, wykrzyknął gniewnie:

— Co za pytanie! Skąd ci przyszło do głowy pytać mnie oto?

— Byłam... ciekawa.

Ręka dziewczyny trzymająca wachlarz znieruchomiła.

Pilar siedziała z głową odchyloną do tyłu, z oczami ciemnymi, tajemniczymi, świadoma swej kobiecości.

— Ty mała diablico...

— Ale lubisz mnie, dziadku — powiedziała miękko. — Lubisz, kiedy tak siedzę tu przy tobie.

— Lubię, tak, lubię to. Dawno już nie widziałem nikogo tak młodego i pięknego... To mi dobrze robi, grzeję przy tobie stare kości... A przy tym miło pomyśleć, że to moja krew... No proszę, Jennifer okazała się najlepsza z nich wszystkich!

Pilar uśmiechała się.

— Niech ci się nie wydaje, że możesz mnie wywieść w pole — ciągnął Simeon. — Wiem dobrze, czemu siedzisz tu tak cierpliwie i słuchasz mojego gadulstwa. Chodzi o pieniądze, tylko o pieniądze... A może będziesz mi wpierać, że kochasz swojego starego dziadka?

— Nie kocham cię, ale lubię, bardzo cię lubię. Musisz mi uwierzyć, bo to prawda. Przypuszczam, że było z ciebie niezłe ziółko, ale za to też cię lubię. Ty w tym domu jesteś człowiekiem z krwi i kości, o wiele bardziej niż reszta. Opowiadasz ciekawe rzeczy, zjeździłeś świat, miałeś życie pełne przygód. Gdybym była mężczyzną, chciałabym być podobna do ciebie.

— Tak — kiwnął głową Simeon, — myślę, że byłabyś podobna. Mamy w sobie cygańską krew, tak zawsze mówili

W moich dzieciach, oprócz Harry'ego, nie było jej widać, ale nareszcie odezwała się w tobie. Potrafię być cierpliwy, bądź pewna, kiedy to konieczne. Piętnaście lat czekałem na sposobność do wyrównania rachunków z facetem, który mi zaszkodził. To też cecha rodu Lee: są pamiętliwi! Wezmą rewanż, choćby minął szmat czasu. Facet mnie oszukał. Czekałem piętnaście lat, aż nadarzyła się okazja i wtedy uderzyłem. Zrujnowałem go. Poszedł z torbami!

Zachichotał.

— To było w Afryce Południowej? — spytała Pilar.

— Tak. Wspaniały kraj.

— Bywałeś tam później?

— Pięć lat po moim ślubie. To było ostatni raz.

— A wcześniej? Długo tam mieszkałeś?

— Tak.

— Opowiedz mi.

Zaczął mówić, a Pilar słuchała, osłaniając twarz od żaru kominka.

Po pewnym czasie Simeon zmęczył się, głos mu osłabł. — Zaczekaj, coś ci pokażę —

powiedział i wstał ostrożnie z fotela. Podpierając się laską, pokuśtykał wolno do wielkiego sejfu. Otworzył skarbiec. Odwrócił się i przywołał Pilar do siebie.

— Popatrz na nie, pomacaj, weź w rękę — zachęcał.

Spojrzał na jej zdziwioną twarz i roześmiał się.

— Wiesz, co to jest? Diamenty, dziecino, diamenty.

Pilar pochyliła się, wytrzeszczając oczy.

— Przecież one wyglądają jak zwykłe kamyki!

— To są nie szlifowane diamenty — śmiał się Simeon.

— Takie się znajduje w ziemi.

— I po oszlifowaniu będą prawdziwymi brylantami? — pytała z niedowierzaniem Pilar.

— Na pewno.

— Będą skrzyć się i błyskać?

— Jeszcze jak.

— Eee, nie mogę uwierzyć — powiedziała nieco dziecinnie.

— Ale to prawda — zapewniał rozbawiony Simeon.

— Czy one są dużo warte?

— Bardzo dużo, ale przed oszlifowaniem trudno powiedzieć dokładnie ile. W każdym razie za tę odrobinę kamyków na pewno dostanie się kilka tysięcy funtów.

— Kilka... tysięcy... funtów — powtórzyła Pilar, robiąc pauzę po każdym słowie.

— No, powiedzmy, dziewięć albo dziesięć tysięcy funtów, bo, jak widzisz, to są spore kamyki.

Pilar wytrzeszczyła oczy jeszcze bardziej.

— Ale dlaczego nie sprzedasz ich w takim razie?

— Bo lubię mieć je tutaj.

— Dostałbyś tyle pieniędzy!

— Nie potrzebuję pieniędzy.

— A, rozumiem — Filar była naprawdę pod wrażeniem.

— Ale dlaczego nie dasz ich oszlifować? Byłyby piękniejsze.

— Wolę takie. Przywodzą mi na myśl dawne lata — Simeon rozmarzył się, odwrócił od dziewczyny i mówił do siebie: — Kiedy dotykam, mam je w ręce, wszystko wraca... Słońce, zapach Weldu, woły... stary Eb... wszyscy chłopcy... wieczory...

Przerwał, słysząc ciche pukanie do drzwi.

— Włóż je do środka i zatrzaśnij sejf — polecił Simeon dziewczynie.

— Wejść — rzucił po chwili w stronę drzwi.

Ukazał się Horbury, cichy i uważający.

— Herbata gotowa na dole.

III

— A, jesteś, Davidzie. Szukałam cię wszędzie. Chodźmy stąd, w tym pokoju jest strasznie zimno — rzekła Hilda. David przez chwilę nic nie odpowiadał. Stał, wpatrując się w głęboki fotel, obity spłowiałą satyną.

— To jej fotel... zawsze na nim siedziała... jest taki sam, dokładnie taki sam, tylko trochę wypłowiały.

Hilda zmarszczyła czoło.

— Widzę. No, ale chodźmy stąd, Davidzie, zimno tu okropnie.

David jakby nie słyszał. Rozglądał się po pokoju.

— Najczęściej tu siadywała. Pamiętam, jak czytała mi tutaj „Jacka, pogromcę olbrzymów”. Tak, taki właśnie był tytuł. Miałem wtedy ze sześć lat.

Hilda ujęła go mocno pod ramię.

— Wracamy do salonu, kochanie. W tym pokoju w ogóle nie ma ogrzewania.

Odwrócił się posłusznie. Czują, że drży lekko.

— Dokładnie tak samo — mruczał. — Tak samo. Jakby czas stał w miejscu.

Hilda zdawała się zmartwiona.

— Ciekawa jestem, gdzie reszta — powiedziała rozmyślnie wesołym tonem. — Już pora na herbatę.

David wyzwolił się z uścisku żony i otworzył jakieś drzwi.

— Tu zawsze stał fortepian... Och jest, jest na miejscu.

Ciekaw jestem, czy nastrojony.

Podniósł klawisz i lekko przebiegł palcami po klawiaturze.

— Tak, wyraźnie ktoś go stroi.

Uderzył w klawisze. Grał z wprawą. Spod palców popłynęła melodia.

— Co to jest? — spytała Hilda. — Skądś to znam, ale nie mogę sobie przypomnieć.

— Nie grałem tego od lat. Matka grała bardzo często. To jedna z „Pieśni bez słów” Mendelssohna.

Słodka, przesłodzona melodia wypełniła pokój.

— Proszę, zagraj coś Mozarta.

David potrząsnął głową i zaczął grać inną rzecz Mendelssohna. Nagle uderzył oburącz w klawisze, rozległ się ostry dysonans. David wstał. Trząśnięty całym sobą. Hilda szybko podeszła do niego.

— Davidzie, co się stało...

— Nic, nic mi nie jest...

IV

Rozległ się natarczywy dzwonek. Tressilian podniósł się ze swojego krzesła w kredensie i ruszył ku drzwiom.

Dzwonek zabrzmiał znowu. Tressilian zmarszczył brwi. Przez okienko w drzwiach ujrzał mężczyznę w kapeluszu nasuniętym na czoło. Podrapał się po głowie. Coś go niepokoiło. Jakby wszystko zdarzało się po raz drugi. Niesamowite. To już się kiedyś zdarzyło. Na pewno...

Przekręcił zamek i otworzył drzwi. Prysnęła cała niesamowitość.

— Czy tu mieszka pan Simeon Lee? — spytał przybysz.

— Tak, proszę pana.

— Chciałem się z nim widzieć.

Ciche echo odezwało się w pamięci Tressiliana. W głosie mężczyzny było coś, chyba intonacja, co przywodziło obrazy dawnych lat, gdy pan Lee po raz pierwszy przybył do Anglii.

— Pan Lee jest chory — pokręcił głową Tressilian. — Nie przyjmuje prawie nikogo. Jeżeli pan...

Nieznajomy wyjął kopertę i podał ją odźwiernemu.

— Proszę wręczyć to panu Lee.

— Dobrze, proszę pana.

Simeon Lee wziął do rąk kopertę. Była w niej pojedyncza kartka. Czytał zdziwiony. Uniósł brwi i uśmiechnął się. — To cudowne! — powiedział do siebie. — Tressilian, przyprowadź tu pana Farra.

— Tak, sir.

— Akurat myślałem o starym Ebenezerze. Ebenezer Farr. Był moim współnikiem, tam, w Kimberley. A tu pojawia się jego syn!

Stephen Farr czuł się trochę nieswojo, ale ukrywał to pod pewną miną.

— Czy pan Lee? — spytał z silniejszym niż zwykle akcentem południowoafrykańskim.

— Cieszę się, że pana widzę. A więc pan jest synem Eba?

Stephen Farr uśmiechnął się raczej nieśmiało.

— To moja pierwsza wizyta w starym kraju. Ojciec zawsze mi mówił, że muszę pana odwiedzić, kiedy przyjadę do Anglii.

— Bardzo słusznie — stary człowiek spojrzał po obecnych.

— To moja wnuczka. Filar Estravados.

— Witam pana — odezwała się Pilar jakby nigdy nic. „To ci mała diablica — pomyślał Stephen Farr nie bez podziwu. — Zaskoczył ją mój widok, ale tylko na mgnienie oka”.

— Bardzo mi miło zawrzeć z panią znajomość, panno Estravados — rzekł.

— Dziękuję.

— Niech pan siądzie i opowiada mi wszystko o sobie — zapraszał Simeon. — Zostanie pan w Anglii na dłużej?

— Skoro już tu przyjechałem, muszę trochę pobyc! — śmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

— Jasne — powiedział Simeon. — Zostanie pan u nas w domu na jakiś czas.

— Ależ proszę pana, nie mogę się tu wpraszać, zostały tylko dwa dni do Bożego Narodzenia!

— Musi pan spędzić święta z nami, no, chyba że ma pan inne plany.

— Właściwie to nie mam, ale nie chciałbym...

— W takim razie to już ustalone — uciał Simeon i zwrócił się ku dziewczynie: — Pilar!

— Tak, dziadku?

— Idź i powiedz Lydii, że będziemy mieli jeszcze jednego gościa. Poproś ją, żeby tu przysłała.

Stephen powiódł wzrokiem za wychodzącą Pilar, co z rozbawieniem zauważył Simeon.

— Przyjechał pan prosto z Afryki Południowej?

— Bezpośrednio.

Zaczęli rozmawiać o tym kraju. Po paru minutach weszła Lydia.

— To jest pan Stephen Farr, syn mojego starego przyjaciela i wspólnika, Ebenezera Farra. Zostanie u nas na święta. Gdybyś mogła znaleźć dla niego pokój...

— Oczywiście — Lydia uśmiechnęła się. Studiowała uważnie powierzchowność przybysza: opaloną na brąz twarz, niebieskie oczy i swobodne, lekkie odchylenie głowy do tyłu.

— Moja synowa — dokończył prezentacji Simeon.

— Czuję się trochę skrępowany, wdzierając się... to bardzo rodzinne święta.

— Jesteś członkiem rodziny, mój chłopcze — powiedział Simeon. — Czuj się jednym z nas.

— Jest pan za dobry, sir.

Do pokoju powróciła Pilar. Usiadła w milczeniu przy kominku, sięgnęła po swój papierowy wachlarz i spuściła skromnie oczy.

Część III — 24 grudnia

Naprawdę chcesz, żebym został, tato? — spytał

Harry, odchylając głowę do tyłu. — A jeśli przeze mnie z domu zrobi się coś w rodzaju gniazda os?

— O czym ty mówisz? — spytał ostro Simeon.

— Alfreda, wzorowego brata Alfreda, bardzo męczy moja obecność.

— A do diabła, niech męczy! — warknął Simeon. — Ja jestem panem tego domu.

— Mimo wszystko wydaje mi się, że w niemałym stopniu zależysz od Alfreda. Nie chciałbym, żebyś przeze mnie...

— Zrobisz, co ci każe — przerwał mu ostro ojciec.

Harry ziewnął.

— Nie jestem pewien, czy będę się nadawał na domatora. Taki obieżyświat jak ja udusi się, siedząc w jednym miejscu.

— Lepiej się ożeń i usatkuj.

— Z kim mógłbym się ożenić? Jaka szkoda, że nie można poślubić własnej siostrzenicy. Ta Pilar jest diabelnie atrakcyjna.

— Zdążyłeś zauważyć?

— Skoro mówimy o ożenkach; ten grubas George nieźle wybrał, przynajmniej jeśli idzie o urodę. Kim ona jest?

— Skąd mam wiedzieć? George poznał ją chyba na pokazie mody. Mówi, że jej ojciec jest emerytowanym oficerem marynarki.

— Pewnie był pomocnikiem szypra na jakimś kabotażowcu — skrzywił się Harry. — George, jeśli nie będzie uważał, może mieć z nią kłopoty.

— George — oświadczył Simeon Lee — to dureń.

— Więc czemu za niego wyszła? Dla pieniędzy?

Simeon znowu wzruszył ramionami.

— Sądzisz, że wyperswadujesz Alfredowi — spytał Harry — te jego fochy?

— Zaraz to załatwimy — odrzekł poważnie Simeon.

Sięgnął po dzwonek stojący na podorędziu.

Horbury ukazał się natychmiast.

— Poproś tu pana Alfreda.

Horbury wyszedł.

— Ten człowiek podsłuchuje pod drzwiami! — wykrzyknął Harry.

— Prawdopodobnie.

Do pokoju wpadł Alfred. Wykrzywił się na widok brata.

— Chciałeś, żebym przyszedł, ojczy?

— Siadaj. Pomyślałem, że musimy to i owo pozmieniać, skoro mamy dwoje nowych domowników.

— Dwoje?

— Pilar zamieszka tu z nami, naturalnie. A i Harry wrócił do domu na dobre.

— Harry zamierza tu mieszkać?

— A czemu nie, stary? — spytał Harry.

Alfred zwrócił się gwałtownie ku niemu.

— Dobrze wiesz dlaczego nie!

— Przykro mi, ale nie wiem.

— Po tym wszystkim, co się stało? Postąpiłeś okropnie. Skandal...

— To wszystko przeszłość, stary — Harry machnął ręką.

— Zachowałeś się szkaradnie wobec ojca... po tym wszystkim, co zrobił dla ciebie.

— Wiesz co, Alfredzie, myślę, że to sprawa ojca, a nie twoja. Jeżeli on chce wybaczyć i zapomnieć...

— Tak, chcę wybaczyć — potwierdził Simeon. — Przecież Harry jest moim synem, Alfredzie.

— Tak, ale... jestem oburzony... ze względu na dobro ojca...

— W każdym razie Harry zostanie tutaj! Taka jest moja wola — położył delikatnie dłoń na ramieniu Harry'ego.

— Bardzo go lubię.

Alfred, blady jak papier, zerwał się i wyszedł. Harry, śmiejąc się, ruszył za nim.

Simeon usiadł. Chichotał. Nagle przycichł i rozejrzał się dookoła.

— Do diabła, kto tu jest? A, to ty, Horbury. Przestań się wreszcie skradać.

— Pokornie proszę o wybaczenie, sir.

— No dobra. Słuchaj, zamierzam ci coś polecić. Powiedz wszystkim, że mają przyjść tu do mnie zaraz po lunchu. Wszyscy!

— Tak, proszę pana.

— I jeszcze coś. Jak będą tu szli, wszyscy razem, idź z nimi i w połowie korytarza podnieś głos; tak żebym słyszał tu w pokoju, żebym wiedział, że już nadchodzą. Wymyśl byle powód i krzyknij. Rozumiesz?

— Tak, proszę pana.

Horbury zszedł na dół.

— Gdyby pan chciał znać moją opinię, to myślę, że zapowiadają nam się bardzo wesołe święta.

— Co to ma znaczyć? — spytał ostro Tressilian.

— Proszę tylko czekać i obserwować, panie Tressilian. Dzisiaj już Wigilia, a gdzie jest ta świąteczna atmosfera? Chyba gdzieś bardzo daleko stąd.

II

Weszli do pokoju i zatrzymali się przy drzwiach. Simeon rozmawiał przez telefon.

— Siadajcie wszyscy, ja tylko parę słów — powiedział, odrywając się od słuchawki. Zrobił zapraszający gest ręką i powrócił do rozmowy telefonicznej.

— Czy to kancelaria Charltona, Hodgkinsa i Bruce'a? To pan, Charlton? Mówi Simeon Lee... Tak... Nie, chciałbym, żeby wpadł pan do mnie, pragnę sporządzić nową wersję testamentu... No tak, to już sporo czasu minęło od napisania tego pierwszego, pewne rzeczy się Rozmieniały... Nie, nie ma pośpiechu. Nie chcę psuć panu Bożego Narodzenia... Powiedzmy w drugi dzieli świąt albo później. Jak pan przyjdzie, przedstawię moje życzenia. Nie, dziękuję, wszystko w porządku. Nie zamierzam się jeszcze przenosić na tamten świat.

Odłożył słuchawkę i powiódł oczami po twarzach ośmiu członków rodziny.

— Coście tacy smętni? — zachichotał. — O co chodzi?

— Zwołałeś nas tutaj... — zaczął Alfred.

— Och, przepraszam — pospiesznie wszedł mu w słowo Simeon — nic się za tym nie kryje. Spodziewaliście się jakiejś narady rodzinnej? Nie, jestem dziś zbyt zmęczony. Nikt z was nie musi tu już przychodzić po kolacji. Idę spać. Chcę być świeży i wypoczęty na Boże Narodzenie.

Uśmiechał się do nich.

— Oczywiście... Oczywiście — zgodził się gorliwie George.

— Święta Bożego Narodzenia, wspaniała tradycja, czas rodzinnej solidarności. Co myślisz o tym, Magdaleno?

Magdalena Lee omal nie podskoczyła. Otworzyła, potem zamknęła drobne usteczka.

— Och... och, tak! — zdołała w końcu wyjąkać.

— Mieszkałaś swego czasu sama z emerytowanym oficerem marynarki, twoim... — tu Simeon zrobił dłuższą pauzę — ojcem. Nie sądzę, byście urządzali wielkie święta. Do tego potrzeba licznej rodziny!

— Tak... Tak, racja.

Oczy Simeona zsunęły się wreszcie z Magdaleny.

— Nie chciałbym w tym szczególnym czasie mówić o rzeczach nieprzyjemnych, ale wiesz co, George, boję się, że będę musiał zmniejszyć nieco pensję, którą ci wypłacam. Wszystko wskazuje na

to, że niebawem wzrosną moje koszty utrzymania.

George zrobił się czerwony.

— Jak to, ojcze? Nie możesz tego zrobić!

— Czyżby? — spytał cicho Simeon.

— Już teraz mam ogromne wydatki. Ogromne. Nie wiem, doprawdy, jak udaje mi się związać koniec z końcem. I tak oszczędzam na czym się da.

— Więc niech twoja żona też zacznie oszczędzać — poradził Simeon. — Kobiety to potrafią. Oszczędzają w sposób, który mężczyźni nie przyszedłby do głowy. Na przykład same szyją sobie odzież. Moja żona, pamiętam, doskonale radziła sobie z igłą i nitką. To było właściwie wszystko, co umiała zrobić... Dobra kobieta, tylko śmiertelnie nudna...

David aż podskoczył.

— Siadaj, chłopcze, jeszcze coś strącisz... — przyhamował go ojciec.

— Moja matka...

— Twoja matka miała ptasi mózdzek! I zdaje mi się, że wszystkie dzieci go po niej odziedziczyły. — Simeon podniósł się nagle. Na jego twarzy pojawiły się wypieki.

— Nie jesteście warci złamanego grosza, żaden z was — zaczął krzyczeć ostrym tonem. — Mdli mnie na wasz widok. Jacy z was mężczyźni? Mięczaki, łamagi, ofermy! Pilar jest dwa razy więcej warta niż każdy z was! Klnę się na niebiosy, że mam lepszego syna gdzieś w świecie, choć wy wszyscy jesteście z prawego łoża!

— Ej, ojcze, licz się ze słowami! — krzyknął Harry, którego pogodną zwykle twarz wykrzywiła złość.

— To było również o tobie! — odparował Simeon. — Czego ty w końcu dokonałeś? Skamlałeś tylko z końca świata, żebym ci przysłał pieniądze! Powtarzam, obrzydzenie mnie bierze na wasz widok! Wynoście się wszyscy!

Opadł zadyszany na fotel.

Wychodzili, jeden po drugim. George był czerwony i wściekły, Magdalena wyglądała na wystraszoną. David pobladł i trząśł się wyraźnie. Harry wyleciał z pokoju jak z procy. Alfred poruszał się niczym lunatyk. Lydia kroczyła za nim z wysoko podniesioną głową. Tylko Hilda zatrzymała się przy drzwiach i powoli wróciła do Simeona.

Stała nad nim, aż otworzył oczy i drgnął zaskoczony widokiem. Coś groźnego było w jej spokoju i nieruchomej pozie.

— Co jest? — spytał z irytacją.

— Gdy nadszedł pana list, uwierzyłam, że naprawdę chce pan na Boże Narodzenie skupić całą rodzinę wokół siebie i namówiłam Davida do przyjazdu.

— No i co z tego?

— Rzeczywiście chciał pan tu mieć całą rodzinę — mówiła powoli Hilda — ale wcale nie w tym celu, o którym była mowa w liście. Zebrał pan ich tutaj, żeby wszystkich na siebie wzajemnie poszczuć. I, niech Bóg się nad panem ulituje, pan ma z tego zabawę!

— Zawsze miałem szczególne poczucie humoru — zachichotał Simeon. Nie zależy mi na tym, by innym podobały się moje żarty. Ważne, że ja się bawię!

Hilda milczała. Simeon Lee poczuł nagły przypływ obawy.

— O czym pani myśli? — spytał szorstko.

— Boję się...

— Boi się pani... mnie?

— Nie. Boję się o pana!

Niczym sędzia po ogłoszeniu wyroku odwróciła się i ciężkim krokiem powoli wymaszerowała z pokoju.

Simeon patrzył za nią dłuższą chwilę. Potem podniósł się i podszedł do sejfu.

— Zerknijmy na nasze śliczności — zamruczał.

III

Na kwadrans przed ósmą rozległ się dzwonek do drzwi.

Tressilian otworzył i wrócił do kredensu, gdzie zastał Horbury'ego, który podnosił filiżanki z tacy i szukał na nich znaków firmowych.

— Kto to był?

— Inspektor policji, Sugden. Niech pan uważa.

Horbury'emu wypadła z ręki filiżanka i roztrzaskała się o podłogę.

— Co pan wyrabia! — jęknął Tressilian. — Myłem ten serwis przez jedenaście lat i nie potłukłem ani jednej sztuki. Po co w ogóle brał to pan do ręki?

— Przepraszam, panie Tressilian, bardzo przepraszam — pot wystąpił Horbury'emu na czoło. — Sam nie wiem, jak to się stało. Czy pan powiedział, że przyszedł inspektor policji?

— Tak, pan Sugden.

Horbury oblizał zbielełe wargi.

— Czego... chciał?

— Kwestuje na sierociniec policyjny.

— Uff! — Horbury wyprostował się. — I dostał coś? — spytał spokojniejszym głosem.

— Zaniósłem listę dobroczyńców do starszego pana Lee, a on kazał mi zaprosić inspektora na górę i podać sherry.

— O tej porze roku ciągle ktoś przychodzi po pieniądze — zauważył Horbury. — Ten stary diabeł ma wiele wad, ale jest szczodry, muszę przyznać.

— Pan Lee zawsze odznaczał się hojnością — oświadczył z godnością Tressilian.

— To w nim jest najlepsze — kiwnął głową Horbury. — No, to ja wychodzę.

— Idzie pan do kina?

— Chyba tak. Pa, Tressilian.

Horbury wyszedł drzwiami dla służby.

Tressilian spojrzął na zegar wiszący na ścianie i ruszył do jadalni, by owinąć bułki w serwetki. Sprawdził, czy wszystko jest jak trzeba, i w holu uderzył w gong.

Dźwięk gongu jeszcze nie zamarł, gdy inspektor policji zszedł na parter. Sugden był okazałym, przystojnym mężczyzną. Miał na sobie dokładnie pozapinany granatowy mundur. Ruchy policjanta dawały świadectwo powadze jego funkcji.

— Przypuszczam, że noc będzie mroźna — odezwał się uprzejmie do Tressiliana. — Nareszcie normalnie, ostatnio przecież pogoda zupełnie nie pasowała do pory roku.

— W wilgotne dni mocniej odczuwam reumatyzm — pokiwał głową Tressilian.

Inspektor zauważył współczująco, że reumatyzm jest przykrą dolegliwością, i wyszedł drzwiami od frontu.

Stary kamerdyner zamknął za policjantem i powolutku powrócił do holu. W progu salonu spostrzegł Lydię, a George'a Lee na schodach. Czekał w gotowości. Gdy Magdalena, ostatnia z gości, weszła do salonu, Tressilian stanął w drzwiach i ogłosił:

— Podano do stołu.

Po swojemu był Tressilian koneserem damskich strojów. Zawsze dostrzegał i oceniał kreacje pań, krążąc wokół stołu z karafką w ręce.

Pani Alfredowa, zauważył, ubrała się w nową suknię z tafty, w czarno-białe kwiaty. Bardzo śmiały wzór, wyrazisty; wiele kobiet nie odważyłoby się w czymś takim pokazać, a pani Lydii jest dobrze. Suknia pani Magdaleny to model którejś z najmodniejszych pracowni, Tressilian nie miał co do tego wątpliwości. Musiała kosztować majątek. I pan George za nią zapłacił? Nigdy nie lubił wydawać pieniędzy

Z kolei pani Davidowa; taka przyzwoita kobieta, a nie ma pojęcia, jak się ubrać. Przy jej solidnej figurze najlepszy byłby gładki, czarny welwet. Natomiast aksamit we wzorki, na dodatek szkarłatny, jest fatalny. Co do panny Filar, to w ogóle nieważne, co ona ma na sobie; z taką figurą i włosami we wszystkim będzie wyglądać doskonale. Tak jak teraz w tej lichej białej sukience za grosze. Ale pan Lee pewnie się niedługo nią zajmie. Finansowo. Zawsze się tak dzieje ze starszymi panami. Z młodą buzią można ich zupełnie zawojować.

— Reńskie czy bordo? — pochylając się z szacunkiem, szeptał Tressilian do ucha pani George'owej. Kątem oka spostrzegł, że lokaj Walter znowu podaje jarzynę przed sosem do pieczenia. A tyle razy już się mu mówiło, że trzeba odwrotnie!

Tressilian krążył wokół stołu z sufletem. Teraz, kiedy otaksował już toalety pan i miał za sobą, jak mu się wydawało, potknięcia Waltera, zwrócił uwagę na szczególną ciszę, panującą przy stole. Cisza nie była wprawdzie absolutna; pan Harry gadał za dwudziestu. Nie, to nie pan Harry, to ten dżentelmen z Afryki Południowej. Inni też się czasem odzywali, ale dziwnie. Spazmatycznie, takie określenie przyszło do głowy Tressilianowi. Pan Alfred, na przykład, niewątpliwie wyglądał na

chorego. Jakby był w szoku. Grzebał widelcem w talerzu, ale nie jadł. Żona patrzyła na niego z wyraźnym zaniepokojeniem. Tressilian wszystko to widział, obserwował jednak gości dyskretnie, w sposób taktowny. Pan George, czerwony na twarzy, jadł żarłocznie, ale pewnie nawet nie wiedział, co bierze do ust. Jeżeli nie zacznie się pilnować, padnie kiedyś na apopleksję. Za to żona pana George'a nie jadła nic. Odchudza się? Ale z czego? Natomiast panie Pilar apetyt dopisywał i chyba jej wszystko smakowało. Śmiała się i rozprawiała żywo z dżentelmenem z Afryki. Kto wie, czy nie zawróciła mu już w głowie? Oboje wydawali się beztroscy!

Pan David? Tressilian martwił się o niego. Taki podobny do swojej matki. Bardzo młodo wygląda. Ale jest nerwowy, właśnie przewrócił kieliszek. Tressilian dyskretnie wytarł rozlane wino, a pan David chyba nawet niczego nie zauważył. Siedzi blady i patrzy przed siebie.

Pobladła twarz Davida przypomniała Tressilianowi Horbury'ego i popłoch, w jaki wpadł, słysząc o wizycie policjanta. Prawie jakby...

Och, znowu ten Walter! Przy podawaniu spadła mu gruszka z półmiska. Nie ma dziś dobrych lokajów. Oferma, nadaje się najwyżej na stajennego!

Tressilian z portwajnem obchodził stół dookoła. Pan Harry był wyraźnie nie w sosie tego wieczoru. Raz po raz spoglądał na pana Alfreda. Ci dwaj zawsze się nie cierpieli, jeszcze od lat chłopięcych. Panicz Harry był ulubieńcom ojca, a Alfred nigdy pana Lee nie obchodził. Szkoda, bo zawsze był taki oddany ojcu.

Pani Alfredowa właśnie wstała od stołu. Piękny jest ten wzór na jej taftowej sukni. Bolerko również doskonale się układa. Pełna wdzięku dama.

Tressilian zamknął drzwi jadalni, w której panowie pili portwajn. Tacę z kawą zaniósł paniom do salonu. Wszystkie cztery damy są chyba w złym nastroju, pomyślał. Siedzą i nie rozmawiają. W ciszy porozlewał kawę do filiżanek. Zostawił panie i gdy dotarł już do kredensu, usłyszał, jak otwierają się drzwi jadalni. David Lee szedł holem w stronę salonu.

Tressilian zwymyślał Waltera za jego niepoprawne gamoniestwo przy stole. Walter odpowiedział mu w sposób niemal impertynencki.

Tressilian był bliski popadnięcia w depresję. Jest Wigilia, a tu taka fatalna atmosfera... Coś straszego!

Podniósł się z wysiłkiem i ruszył pozbierać filiżanki po kawie. W salonie była tylko Lydia, na pół ukryta za kotarą okienną po przeciwnej stronie, wpatrzona najwyraźniej w mrok nocy. Słychać było fortepian zza ściany.

Grał pan David. Tylko dlaczego, dziwił się Tressilian, akurat dzisiaj gra marsza żałobnego? Wszystko tu stoi na głowie.

Powoli przeszedł przez hol do swojego kredensu. I wtedy właśnie usłyszał ten hałas na piętrze; brzęk tłuczonej porcelany, łomot przewracanych mebli, serię trzasków i uderzeń.

— Boże miłosierny! — przeraził się Tressilian. — Co starszy pan wyprawia na górze? Co się tam dzieje?

A potem rozległ się wyraźny, głośny krzyk, straszliwy, ostry, jękliwy, przechodzący w rżenie. I cisza.

Tressilian stał przez chwilę sparaliżowany, po czym wybiegł do holu i szerokimi schodami ruszył na piętro. Wszyscy już tam pędzili, bo krzyk słysząc było w całym domu.

Wbiegłszy na górę, skręcili w korytarz i minęli niszę z połyskującymi, białymi posągami. Pod drzwiami pokoju Simeona Lee był już pan Farr i pani Davidowa. Stephen szarpał się z klamką, a Hilda stała oparta plecami o ścianę.

— Drzwi są zamknięte! — wołał Farr. — Zamknięte na klucz!

Harry Lee odepchnął go i również zaczął szarpać za klamkę. Bezskutecznie.

— Ojcze! — krzyknął. — Ojcze, wpuść nas!

Uniósł rękę, uciszając wszystkich. Słuchali. Żadnej odpowiedzi, martwa cisza.

Od wejścia do budynku dał się słyszeć dzwonek, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Musimy wyważyć drzwi, to jedyny sposób — powiedział Stephen Farr.

— To nie będzie takie proste. Są strasznie mocne — stropił się Harry. — Alfred, pomóż mi.

Bezskutecznie napierali na drzwi i uderzali barkami. W końcu zaczęli tłuc w nie dębową ławą jak taranem. Wreszcie zawiasy pękły i drzwi runęły.

Przez chwilę stali stłoczeni, patrząc. Tego widoku nikt z nich nigdy nie zapomni...

Pokój musiał być przed paroma minutami miejscem straszliwej walki. Ciężkie meble leżały przewrócone. Na podłodze pełno potłuczonej porcelany. Na dywanie przed kominkiem, w którym palił się ogień, spoczywał Simeon Lee w wielkiej kałuży krwi... Wszystko było obryzgane krwią. Jak w rzeźni.

Najpierw ktoś jęknął, a potem, jedno po drugim, padły dwa zdania. Rzecz ciekawa, obydwie były cytatami.

— „Młyny boże mielą powoli...” — to był głos Davida Lee.

— „Och, kto by przypuszczał, że ten starzec miał w sobie tyle krwi?...” — drżącym szeptem spytała Lydia.

IV

Inspektor Sugden nacisnął dzwonek po raz trzeci. Wreszcie zdesperowany chwycił za kołatkę. Drzwi otworzył mu w końcu wystraszony Walter.

— Och! — lokajowi wyraźnie ulżyło. — Właśnie dzwoniłem na policję.

— Po co? — spytał ostro Sugden. — Co się tu dzieje?

— Ktoś załatwił starego pana Lee... — wyszeptał Walter. Inspektor odepchnął go i pobiegł ku schodom. Wpadł do pokoju, ale nikt go nie zauważył. Pilar schylona podnosiła coś z podłogi. David Lee stał, ukrywając twarz w dłoniach.

Alfred Lee znajdował się tuż przy zwłokach ojca. Przyglądał im się z pustą, pozbawioną wyrazu twarzą.

— Niczego nie dotykać, pamiętajcie, to bardzo ważne, niczego, aż do przybycia policji — ogłosił z wielką powagą George Lee.

— Przepraszam — Sugden przepchnął się do przodu, delikatnie odsuwając na bok panie.

— A, to pan, inspektorze — rozpoznał go Alfred. — Przybywa pan bardzo szybko.

— Tak, panie Lee. Co tu się stało?

— Mój ojciec został zabity... Zamordowany... — głos mu się załamał. Magdalena zaczęła nagle histerycznie szlochać.

Inspektor Sugden polecił rozkazującym tonem:

— Proszę wszystkich o opuszczenie tego pokoju. Pozostają tylko panowie Alfred i... ee... George Lee.

Wolno, niechętnie wychodzili na korytarz. Nagle policjant zatrzymał Pilar.

— Proszę wybaczyć, panienko — przestrzegł uprzejmie — ale tu nie wolno niczego ruszać ani nawet dotykać.

Patrzyła zdziwiona, a Stephen Farr odezwał się zniecierpliwiony:

— To oczywiste, ona o tym dobrze wie.

— Podniosła pani coś z podłogi przed chwilą? — zwrócił uwagę inspektor tym samym uprzejmym tonem.

— Ja? Podniosłam? — oczy Pilar zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— Tak, widziałem — głos Sugdena był wciąż uprzejmy, tylko nieco bardziej stanowczy.

— Och!

— Proszę mi oddać. Ma to pani w ręce.

Pilar powoli otworzyła dłoń. Ukazał się na niej strzęp gumy i jakiś mały drewniany przedmiot. Inspektor włożył wszystko do koperty, którą schował w kieszeni na piersi.

— Dziękuję pani. — Odwrócił się.

W oczach Stephena Farra pokazało się uznanie. Chyba nie docenił tego potężnego, przystojnego policjanta.

Powoli wyszli z pokoju. Za sobą słyszeli inspektora, mówiącego urzędowym tonem:

— A teraz, jeżeli pozwolą panowie...

— Nie ma to jak drewno — pułkownik Johnson wrzucił polano do paleniska i przysunął fotel bliżej kominka.

— Niech się pan częstuje — zapraszającym gestem wskazał barek i syfon w zasięgu ręki gościa.

Gość podniósł dłoń w geście odmowy. Również ostrożnie przysunął się z fotelem bliżej ognia, chociaż wątpił, by przysmażanie stóp (jak na torturach w średniowieczu) przy kominku mogło kogokolwiek uchronić przed skutkami lodowatego przeciągu mrożącego plecy.

Pułkownik Johnson, szef policji w Middleshire, mógł sobie wychwalać opalane drewnem kominki, Herkules Poirot dobrze jednak wiedział, że pod żadnym względem nie umywają się one do centralnego ogrzewania.

— Zdumiewający jest casus Cartwrighta — westchnął gospodarz. — I sam Cartwright! Ogłada, maniery. Niewiniątko, wydawało się, kiedy tu z panem przybył. Nigdy nie będziemy mieli czegoś takiego jak ta sprawa — Johnson pokręcił głową. — Nikotyna jako trucizna to rzadkość, na szczęście.

— Swego czasu twierdzono, że otrucie jest zbrodnią całkowicie w stylu nieangielskim — wspomniał Herkules Poirot. — Ze to dobre dla cudzoziemców! Coś zupełnie bez polotu!

— Bardzo naciągana opinia — skonstatował policjant.

— Otrucia arsenikiem notujemy często, a na pewno nie wszystkie wychodzą na jaw.

— Tak, to prawda.

— Trucicielstwo to z reguły ciężkie sprawy — stropił się Johnson. — Opinie biegłych są sprzeczne, lekarze wypowiadają się tak ostrożnie, że ława przysięgłych nie otrzymuje żadnych istotnych ustaleń. Jeżeli już, nie daj Boże, musimy zajmować się morderstwami, niech będą to przypadki jasne. Takie, w których przyczyna zgonu jest niewątpliwa.

— Rana postrzałowa, poderżnięte gardło, zmiażdżona czaszka? — kiwał głową Poirot. — To są pańskie preferencje?

— Och, niech pan nie nazywa tego preferencjami, mój drogi kolego. Nie sądzi pan chyba, że lubię morderstwa! Mam nadzieję, że już z żadną taką sprawą się nie zetknę. W każdym razie podczas pana pobytu powinniśmy mieć spokój.

— Moja reputacja... — zaczął skromnie Poirot.

— Czas Bożego Narodzenia to czas przebaczenia i dobrej woli — Johnson nie pozwolił mu kontynuować. — Wszyscy życzą sobie samych dobrych rzeczy, a spokoju przede wszystkim, świętują. Pokój całemu światu.

Herkules Poirot usiadł głębiej w fotelu, splótł dłonie i przypatrywał się w zadumie swojemu gospodarzowi.

— Czy według pana czas Bożego Narodzenia nie sprzyja popełnianiu zbrodni?

— To właśnie miałem na myśli — potwierdził Johnson.

— Dlaczego nie sprzyja?

— Dlaczego? — Johnson chyba stracił trochę pewności.

— No właśnie powiedziałem: to czas dobrej woli, dobrych życzeń, pojednania i tak dalej! Czas świętowania!

— Och, Brytyjczycy, tacy sentymentalni! — zamruczał Poirot.

— A jeśli nawet? — odpalił z mocą Johnson. — Kochamy tradycję, jesteśmy przywiązani do starych świątecznych obyczajów! Co w tym złego?

— Nic złego. To niezwykle urocze. Ale zajmijmy się przez moment faktami. Powiedział pan, że Boże Narodzenie to czas świętowania. A czyż świętowanie, co najmniej w części, nie polega na tym, że jest mnóstwo jedzenia i picia? To zaś prowadzi do przejedzenia! Przejedzenie kończy się niestrawnością, ta zaś powoduje rozdrażnienie!

— Zbrodni nie popełnia się z powodu rozdrażnienia — skrzywił się pułkownik Johnson.

— Nie jestem taki pewien. Weźmy teraz inną kwestię. Dobrą wolę i przebaczenie, które na pierwszym miejscu łączy pan z Bożym Narodzeniem. A więc w święta wypada darować stare winy, zapomnieć o urazach, dojść do zgody, choćby tylko tymczasowo.

— Zakopać topór wojenny — kiwnął głową Johnson.

— Rodziny, rozłączone w ciągu roku, zbierają się ponownie. I w tych warunkach, musi pan przyznać, przyjacielu, powstają nowe napięcia. Ludzie, którzy nie żywią do siebie odrobiny przyjaźni, czują się zobowiązani udawać przyjaźń. W ten sposób w czas Bożego Narodzenia gwałtownie nasila się hipokryzja. Bierze się ze wzniosłych pobudek, *pour le bon motif, c'est entendu*[1], ale jest to jednak hipokryzja!

— Ja tak tego nie widzę — odciął się pułkownik Johnson.

Poirot uśmiechnął się.

— Nie, nie. To jest moja ocena, a nie pańska. Chciałem zwrócić uwagę, że w tych warunkach

— napięcia psychicznego i fizycznej niedyspozycji — jest wielce prawdopodobne, iż drobne urazy i niepoważne konflikty nabrzmieją nagle i staną się czymś groźnym i wybuchowym. Udawana życzliwość i wielkoduszność wcześniej czy później doprowadza do zajadłości, nienawiści, bezwzględności. Sztucznie tamując naturalne odruchy, postępując nieszczerze, tworzy się napięcie, przyczynę późniejszego wybuchu i nieszczęścia!

Na twarzy Johnsona wyraźnie malowały się wątpliwości.

— Nigdy nie wiem, kiedy mówi pan serio, a kiedy kpi sobie ze mnie — zaburczał.

Poirot uśmiechnął się do pułkownika.

— To nie było serio! Wcale nie jestem serio! Ale była w tym prawda, gdy mówiłem, że sztuczne ograniczenia powodują naturalne reakcje.

Służący pułkownika wszedł do pokoju.

— Dzwoni inspektor Sugden, sir.

— W porządku. Już podchodzę.

Johnson przeprosił Poirota i zniknął za ścianą. Wrócił po trzech minutach z ponurą, wzburzoną twarzą.

— A niech to diabli! Morderstwo! W samą Wigilię! Poirot uniósł brwi.

— Czy to na pewno morderstwo?

— Co? Tak, nic innego nie wchodzi w grę! Ten przypadek absolutnie nie budzi wątpliwości. Morderstwo, i to bardzo brutalne.

— Kim jest ofiara?

— Stary Simeon Lee. Jeden z najbogatszych ludzi w tych stronach! Zrobił majątek w Afryce Południowej. Złoto. Nie, nie złoto, diamenty, zdaje się. Zainwestował ogromne pieniądze w produkcję jakiegoś urządzenia górniczego. Bodaj własnego pomysłu. W każdym razie to też przyniosło mu szybki zysk. Mówią, że zgromadził kilka milionów.

— Był lubiany?

— Nie sędzę, aby ktokolwiek go lubił — odpowiedział powoli Johnson. — To był dziwny facet. Od kilku lat poważnie chory. Nie wiem o nim dużo, ale z pewnością należał do znaczniejszych osób w tym hrabstwie.

— Więc ta sprawa będzie głośna?

— Tak. Muszę jak najprędzej udać się do Longdale. Chciał coś powiedzieć, ale popatrzył na

swojego gościa i zawahał się. Poirot odgadł jego myśli.

— Życzyłby pan sobie, bym pojechał tam również?

— Nie śmiałem pana prosić — Johnson był zakłopotany — ale wie pan, jak to jest. Inspektor Sugden to dobry policjant, lepszego nie ma. Dokładny, ostrożny, solidny, ale brakuje mu wyobraźni. Skoro pan tu jest, bardzo byłbym wdzięczny, gdybyśmy mogli skorzystać z pańskich rad.

— Z największą przyjemnością — szybko odrzekł Poirot.

— Może pan liczyć na wszelką możliwą pomoc z mojej strony. Nie wolno jednak zniechęcać tak dobrego policjanta jak inspektor. On poprowadzi sprawę, nie ja. Ja będę tylko nieoficjalnym konsultantem.

— Równy z pana facet, Poirot — powiedział kordialnie pułkownik Johnson.

W dobrym nastroju wyszli z domu.

VI

Szeregowy policjant otworzył im drzwi i zsalutował. Zaraz jednak z holu wyłonił się inspektor Sugden i powiedział:

— Miło mi pana widzieć, sir. Może pójdziemy tu na lewo, do gabinetu pana Lee? Chciałbym podać najważniejsze fakty. Cała sprawa wygląda bardzo dziwnie.

W pokoju, do którego weszli, stało wielkie biurko z telefonem i masą papierów. Wzdłuż ścian biegły półki z książkami.

— Sugden, to jest pan Herkules Poirot — pułkownik przedstawił gościa. — Pewnie pan słyszał to nazwisko. Tak się szczęśliwie złożyło, że akurat bawi u nas z wizytą. Inspektor Sugden.

Poirot skłonił się lekko i przyglądał się policjantowi. Miał przed sobą wysokiego, barczystego mężczyznę z orlim nosem, mocno zarysowaną szczęką i bujnymi wąsami koloru kasztanowego. Po prezentacji Sugden wbił wzrok w Herkulesa Poirota, który z kolei wpił się spojrzeniem w wąsy inspektora. Zdawały się go fascynować, były takie bujne.

— Oczywiście, że słyszałem o panu, panie Poirot. Był pan zresztą w tych stronach kilka lat temu, pamiętam doskonale. Sprawa śmierci sir Bartholomew Strange'a. Otrucie nikotyną. To nie mój rewir, ale, naturalnie, znam wszystkie szczegóły.

— Teraz, Sugden — pułkownik Johnson niecierpliwił się — proszę podać fakty. Powiedział pan, że jest to niewątpliwie morderstwo.

— Tak, sir, bez wątpienia. Pan Lee ma poderżnięte gardło. Przecięta została żyła szyjna, to stwierdził lekarz. Ale jest coś bardzo dziwnego w tym zabójstwie.

— To znaczy?

— Dziś wieczorem, o piątej, w komisariacie w Addlesfield odebrałem telefon od pana Lee. Prośba, którą przedstawił, była osobliwa. Chciał, żebym przyjechał do jego rezydencji o ósmej, dokładnie o ósmej, podkreślił. Ponadto poinstruował mnie, co mam powiedzieć kamerdynerowi przy wejściu: że kwestuję na sierociniec policyjny.

— Wersja dla domowników starszego pana? — rzucił bystre spojrzenie pułkownik.

— Tak jest, sir. Naturalnie, pan Lee to nie jest byle kto, zrobiłem więc, jak sobie życzył. Zapukałem do drzwi jego rezydencji nieco przed ósmą i powiedziałem, że zbieram datki na policyjny dom dziecka. Kamerdyner poszedł mnie zameldować i wrócił po chwili z zaproszeniem do pana Lee, do jego pokoju na pierwszym piętrze, bezpośrednio nad jadalnią. Zastałem go siedzącego w fotelu przy kominku. Był w szlafroku. Poprosił, żebym usiadł obok. Potem, z pewnym wahaniem, poinformował mnie, że został obrabowany. Ma powody przypuszczać, tak właśnie powiedział, iż z

jego sejfu skradziono diamenty wartości kilku tysięcy funtów. Diamenty nieoszlifowane, zdaje się o takich mówił.

— Diamenty? — powtórzył pułkownik.

— Tak, sir. Zadawałem mu różne rutynowe pytania, ale on był jakiś niepewny, udzielał niejasnych odpowiedzi. A w końcu powiedział tak: „Musi pan zrozumieć, inspektorze, ja mogę się całkowicie mylić”. Odpowiedziałem, że nie rozumiem, bo według mnie albo diamenty są, albo ich nie ma, jedno albo drugie. A on na to, że „diamentów nie ma na pewno, ale być może nie mamy tu do czynienia z kradzieżą, lecz z głupim żartem”. Wyznał mi, że podejrzewa dwie osoby o zabranie kamieni i jedna z nich rzeczywiście mogła zrobić to dla żartu. W wypadku drugiej w grę wchodzi tylko kradzież. Spytałem, czego ode mnie oczekuje w tej sytuacji. Jego odpowiedź była następująca: „Chciałbym, inspektorze, aby przyszedł pan tu jeszcze raz za godzinę, nie, trochę później, powiedzmy piętnaście po dziewiątej. Wtedy będę w stanie powiedzieć panu definitywnie, czy zostałem okradziony, czy nie”. Bardzo to było zagadkowe, ale zgodziłem się i wyszedłem.

— Dziwne, ogromnie dziwne — skomentował pułkownik Johnson. — Co pan na to, Poirot?

— Mogę spytać, inspektorze — podjął Poirot — jakie wnioski pan sam wyciągnął?

— Otóż — zaczął ostrożnie Sugden, pocierając podbródek — zastanawiałem się nad różnymi wariantami i doszedłem do konkluzji, że to na pewno nie jest żart. Diamenty zostały skradzione, tylko pan Lee nie wie, czyja to robota. Wydawało mi się, że mówi prawdę, wymieniając te dwie podejrzane, według niego, osoby. Prawdopodobnie jedna musiała być kimś ze służby, a druga członkiem rodziny obrabowanego.

— *Tres bien* [2]. — Poirot pokiwał głową z aprobatą. — Tak, to wyjaśnia postępowanie pana Lee.

— Stąd jego życzenie, abym przyszedł później. W tym czasie chciał porozmawiać z owymi dwiema osobami. Zapewne poinformowałby je o tym, że policja wie już o sprawie, i dał do zrozumienia, iż jest skłonny wszystko zatuszować. Jeśli naturalnie diamenty wrócą na miejsce.

— A jeżeli nie? — spytał pułkownik.

— W takim wypadku zniknięciem diamentów zajęłaby się policja.

— A dlaczego nie rozmawiał z tą dwójką przed wezwaniem pana? — pułkownik Johnson zmarszczył czoło i skubnął wąsa.

— Nie, nie — inspektor pokręcił przecząco głową. — Bez mojej wizyty nie wypadłoby to przekonująco. Sprawca pomyślałby sobie, że skoro stary nie wezwał policji, to albo na razie nie ma pojęcia, kto buchnął diamenty, albo nie chce robić skandalu.

— Hm... Być może. Ma pan jakieś podejrzenia, kim mógłby być ten członek rodziny?

— Nie, sir.

— Proszę mówić dalej.

— Przyszedłem więc do rezydencji ponownie dokładnie kwadrans po dziewiątej. Właśnie kiedy wyciągnąłem rękę do dzwonka, usłyszałem krzyk, a potem głośnie wołania i inne hałasy. Dzwoniłem kilka razy, pukałem również kołatką. Otworzono mi dopiero po trzech albo czterech minutach. Widząc twarz lokaja, nie miałem wątpliwości, że w tym domu musiało się wydarzyć coś strasznego. Trząsał się i wyglądał, jakby miał zemdleć. Zdołałem z niego wyciągnąć, że pan Lee został zamordowany. Popędziłem na piętro. Pokój pana Lee był w okropnym stanie, a on sam, z podejrzanym gardłem, leżał w kałuży krwi przed kominkiem.

— Nie mógł zrobić tego sam? — spytał Johnson.

— To niemożliwe, sir. Przede wszystkim, meble były powywracane, porcelana i inne naczynia potłuczone, no, pobojuwisko! Natomiast brak jakiegokolwiek ostrego narzędzia, brzytwy czy noża.

— Tak, to wydaje się przesądzać sprawę — zgodził się pułkownik. — Czy ktoś był w pokoju?

— Prawie cała rodzina. Stali przy zwłokach.

— Co pan sugeruje, Sugden?

— Ciężka sprawa, sir. Wygląda na to, że zbrodnię popełnił ktoś z nich. Nie jest możliwe, by ktoś z zewnątrz mógł to zrobić. Nie miałby czasu na ucieczkę.

— A okna? Były otwarte czy zamknięte?

— Ten pokój ma dwa okna, sir. Jedno było całkowicie zamknięte i zablokowane. Drugie uchylone na kilka cali, ale zabezpieczone ogranicznikiem antywłamaniowym. Sam sprawdzałem. Te okna nie były otwierane od lat. Ściana na zewnątrz jest gładka, nie ma na niej bluszczu ani innych pnączy. Oknem nikt nie mógł wyjść.

— Ile jest drzwi do pokoju?

— Tylko jedno. Pokój znajduje się na końcu korytarza. Drzwi były zamknięte od wewnątrz. Kiedy usłyszano odgłosy walki i krzyk mordowanego starca, wszyscy popędzili na górę, ale do pokoju weszli dopiero po paru minutach, po rozbiciu drzwi dębową ławą.

— I kto był w środku? — spytał ostro pułkownik.

— W pokoju nie było nikogo oprócz starszego pana, zabitego nie więcej niż kilka minut wcześniej.

VII

Pułkownik Johnson przyglądał się Sugdenowi dłuższą chwilę.

— Czy pan chce mi powiedzieć, inspektorze, że to jedna z tych historii, opisanych w lichych kryminałach, o facecie zamordowanym w zamkniętym pokoju przez siły nadprzyrodzone?

— Nie sędzę, żeby było aż tak źle, sir.

— Samobójstwo. To musiało być samobójstwo! — orzekł pułkownik.

— Ale czym on się zabił, panie pułkowniku? Gdzie jest narzędzie? Nie, sir, samobójstwo jest wykluczone.

— W takim razie któredy uciekł zabójca? Przez okno?

— Głowę daję, że nie.

— Więc przez okno nie, a drzwi były zamknięte od wewnątrz, jak sam pan mówił.

Inspektor skinął głową, wyjął z kieszeni klucz i położył na stole.

— Nie ma odcisków palców — poinformował. — Proszę jednak popatrzeć przez szkło powiększające.

Poirot pochylił się nad stołem. Razem z pułkownikiem uważnie oglądali klucz.

— Na Jowisza, już wiem. Poirot, widzi pan te drobne zadrapania na końcówce?

— Widzę, naturalnie. Z tego wynika, że drzwi zamknięto jednak od zewnątrz. Sprawca wsadził do dziurki od klucza jakieś proste narzędzie, może nawet zwykłą, małą pincetę, schwycił nim końcówkę klucza i przekręcił.

— Tak to musiało być — pokiwał głową inspektor.

— Chodziło o to, by rzecz wyglądała na samobójstwo, skoro nikogo oprócz denata nie było w pokoju, a drzwi zostały zamknięte kluczem wsadzonym od wewnątrz? — spytał Poirot.

— Bez wątplenia, taki był plan mordercy — potakiwał Sugden.

— A to pobojuwisko w pokoju? — Poirot pokręcił z powątpiewaniem głową. — Sam pan powiedział, że to wyklucza wersję samobójstwa. Sprawca, który chciał morderstwo upozować na samobójstwo, przede wszystkim starannie usunąłby ślady walki.

— Ale zabrakło mu czasu, panie Poirot. O to chodzi. Nie miał czasu. Możemy przypuścić, że

liczył na zaskoczenie starszego pana, ale mu się nie udało. Wywiązała się walka, której odgłosy doskonale było słychać na parterze, co więcej, pan Lee wołał o pomoc. Wszyscy rzucili się na górę. Morderca zdołał jedynie wymknąć się z pokoju i przekręcić klucz od zewnątrz.

— To prawda — przyznał Poirot. — Pański morderca się jednak nie popisał. Czemu nie pozostawił narzędzia zbrodni? Bez noża lub innego ostrego narzędzia, leżącego w pobliżu nieboszczyka, nie można mówić o samobójstwie. Taki elementarny błąd!

— Zbrodniarze zwykle popełniają błędy — stwierdził beznamiętnie inspektor Sugden. — Tak wynika z naszego doświadczenia.

— Ale mimo partactwa — westchnął Poirot — nasz zbrodniarz uciekł.

— Nie sądzę, by naprawdę uciekł.

— Przypuszcza pan, że jest wciąż w tym domu?

— Nie może być nigdzie indziej. To zrobił ktoś z domowników.

— Jednak, *tout de meme*[3] — delikatnie zwrócił uwagę Poirot — jak do tej pory sprawca nam się wymyka. Nie wie pan, kto to jest.

— Przypuszczam, że wkrótce się dowiemy — zapewnił Sugden. — Nie przesłuchiwaliśmy jeszcze domowników ani służby.

— Na jedną rzecz chcę zwrócić uwagę, Sugden — włączył się pułkownik Johnson. — Ten, kto przygotował tę sztuczkę z kluczem, musiał się znać na takiej robocie. Dość prawdopodobne, że ma kryminalną przeszłość. Ten numer wymaga pewnej wprawy.

— Chce pan powiedzieć, że to robota profesjonalisty, *sir*?

— Właśnie.

— Wiele na to wskazuje — zgodził się inspektor. — Idąc za tą wskazówką możemy się zastanawiać, czy wśród służby nie ma zawodowego złodzieja. Wyjaśniłaby się sprawa zniknięcia diamentów, a morderstwo stanowiłoby logiczny ciąg dalszy.

— No, co można zarzucić tej hipotezie?

— Wydawało mi się, że to jest właściwy punkt wyjścia, ale sprawa nie wygląda prosto. W domu jest ośmioro służących, w tym sześć kobiet. Pięć kobiet pracuje tu już ponad cztery lata. Dwaj mężczyźni to kamerdyner i lokaj. Kamerdyner służy u pana Lee prawie czterdzieści lat, a to jest imponujący szmat czasu. Lokaj, miejscowy chłopak, syn ogrodnika, tutaj się wychował. Też nie odpowiada charakterystyce zawodowego przestępcy. Jest jeszcze jedna osoba: osobisty służący pana Lee. Pracuje tu od niedawna. Akurat nieobecny. Wyszedł tuż przed ósmą.

— Ma pan pełną listę wszystkich osób, które były w domu? — spytał pułkownik Johnson.

— Mam, sir. Dostałem ją od kamerdynera — inspektor sięgnął po notes. — Przeczytać panu?

— Tak, proszę, Sugden.

— Pan Alfred Lee z żoną, pan George Lee, poseł do parlamentu, z żoną, pan Harry Lee, Pan David Lee z żoną, panna Pilar... — tu inspektor utknął i dopiero po chwili przesyłabizował — Elstravallos, pan Stephen Farr. Następnie służba: Edward Tressilian, kamerdyner, Walter Champion, lokaj, Emily Reeves, kucharka, Queenie Jones, podkuchenna, Gladys Spent, główna pokojówka. Grace Best, druga pokojówka, Beatrice Moscombe, trzecia pokojówka, Joan Kench, sprzątaczką, Sydney Horbury, osobisty służący pana Lee.

— To wszyscy, Sugden?

— Wszyscy, sir.

— Czy wiadomo, gdzie były poszczególne osoby w momencie, gdy popełniono morderstwo?

— Tylko z grubsza. Jak powiedziałem panu, nie przesłuchiwałem jeszcze nikogo. Według kamerdynera, panowie byli w tym czasie w jadalni, a panie w salonie. Tressilian podał damom kawę i gdy wrócił do kredensu, usłyszał hałas na piętrze, potem krzyk. Wybiegł do holu i wraz z innymi ruszył po schodach do góry.

— Ile osób z rodziny mieszka na stałe w tym domu? — spytał pułkownik.

— Tylko Alfred Lee i jego żona. Pozostali przyjechali jedynie z wizytą na święta.

— Gdzie są teraz?

— Poleciałem im czekać w salonie, dopóki nie będę gotów na zebranie ich zeznani.

— Chodźmy na górę obejrzyć miejsce zbrodni. Inspektor poprowadził Johnsona i Poirota szerokimi schodami do piętra i dalej korytarzem do pokoju Simeona Lee.

— Okropne! — powiedział Johnson, wzdychając głęboko. Stał bez ruchu, patrzył na poprzewracane krzesła, porozbijaną porcelanę, wielkie plamy krwi.

Chudy, starszy mężczyzna, który klęczał pochylony nad zwłokami, wstał i skłonił się.

— Dobry wieczór, panie Johnson — pozdrowił pułkownika. — Jatka, istna jatka.

— Co pan może o tym powiedzieć, doktorze?

— Mówiąc dosadnie, zarżnięty jak świnia. W niespełną minutę wykrwawił się na śmierć. I ani śladu narzędzia zbrodni.

Poirot oglądał okna. Tak jak mówił inspektor: jedno było zamknięte na stałe, a drugie uchylone u dołu na jakieś dziesięć centymetrów i sztywno utrzymywane w tej pozycji patentową śrubą

antywłamaniową.

— Kamerdyner twierdzi — Sugden zbliżył się do Poirota — że to okno nigdy nie było całkowicie zamykane, bez względu na pogodę. Na wypadek gdyby mocno lało, położono pod nim kawałek linoleum, choć nie było to w gruncie rzeczy konieczne, bo wystający dach dawał osłonę przed deszczem.

Poirot skinął głową i podszedł do trupa. Twarz zabitego starca wykrzywił straszny grymas, a ręce były zaciśnięte jak szpony.

— Nie wygląda na silnego — zauważył Poirot.

— Myślę, że nie był tak słabego zdrowia — nie zgodził się lekarz. — Wylizał się z paru chorób, które niejednego by uśmierciły.

— Miałem na myśli, że on był raczej wątłej postury.

— Tak, rzeczywiście, zdecydowanie drobny. Poirot odwrócił się od nieboszczyka. Pochylony oglądał mahoniowy fotel; potężny mebel leżał na podłodze do góry nogami obok obalonego okrągłego stołu, również z mahoniu. Pod tym szczątki wielkiej, porcelanowej lampy, trochę dalej wywalone dwa krzesła, książki, waza japońska rozbita na kawałki, brązowa statuetka nagiej dziewczyny, potłuczona karafka i kieliszki oraz, ocalały, szklany przycisk do papierów.

Poirot przyglądał się wszystkim przedmiotom z bliska, ale niczego nie dotykał. Marszczył brwi, coś mu się nie podobało.

— Coś się nie zgadza? — spytał pułkownik.

— Taki chuderlak i to rumowisko? — mruknął Poirot. Johnsona również to zdziwiło.

— Są jakieś odciski palców? — spytał sierżanta rejestrującego olady.

— Mnóstwo, sir, w całym pokoju.

— Na sejfie również?

— Również, ale tylko odciski palców ofiary.

— A krew? — Johnson zwrócił się do lekarza. — Zabójca musiał się chyba zabrudzić krwią?

— Niekoniecznie — odparł lekarz. — Denat krwawił niemal wyłącznie z żyły szyjnej. To nie tętnica, z żyły krew wypływa spokojnie.

— Ale krwi jest tu bardzo dużo.

— Tak — podchwycił Poirot — pełno krwi. To jest uderzające. Pełno krwi.

— Czy to może coś sugerować, panie Poirot? — spytał z respektem Sugden.

Twarz Poirota wyrażała jedynie wątpliwości.

— Coś tu jest... przemoc... — zamilkł na chwilę i zaraz powrócił do tej myśli. — Tak, to przemoc. I krew. Akcent na krew... Tu jest, jak to powiedzieć? Tu jest za dużo krwi. Krew na fotelach, na stole, na dywanie... Czy to jakiś rytuał, krwawa ofiara? Może? Taki drobny, wysuszony staruszek, chuchro... umiera... i tyle krwi w sobie...

Głos Poirota zamarł. Inspektor Sugden patrzył na niego rozszerzonymi oczami.

— Dziwne — odezwał się jakby nieco wystraszony. — To samo. To samo pan powiedział, co ona, jedna pani, tutaj.

— Jaka pani? — spytał ostro Poirot.

— Pani Lee, żona pana Alfreda. Stała koło drzwi i to właśnie powiedziała. Wydawało mi się wtedy, że to bez sensu.

— Co powiedziała pani Lee?

— Mniej więcej tak: „Kto by pomyślał, że w staruszku może być tyle krwi”.

Poirot wyrecytował cicho:

— „Och, kto by przypuszczał, że ten starzec miał w sobie tyle krwi?”. To Szekspir, słowa lady Makbet. Tak powiedziała żona pana Alfreda... To interesujące...

VIII

Alfred Lee i jego żona weszli do małego pokoju, w którym na stojąco oczekiwali ich Sugden z Poirotem i pułkownikiem.

— Dzień dobry, panie Lee. Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać, ale jak pan wie, jestem szefem policji w hrabstwie. Nazywam się Johnson. Jestem ogromnie wstrząśnięty tym, co się tutaj stało.

Alfred podniósł wzrok udręczonego psa i odpowiedział zachrypłym głosem:

— Dziękuję panu. To straszne... To naprawdę straszne. Ja... Pan pozwoli, to moja żona.

— To potworny szok dla mojego męża — Lydia była zupełnie opanowana. Dłoń położyła na ramieniu Alfreda.

— Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci, ale mój mąż szczególnie.

— Zechce pani usiąść, pani Lee? Przedstawiam pani pana Herkulesa Poirota.

Herkules Poirot skłonił się. Patrzył z zaciekawieniem na małżonków.

— Siadaj, Alfredzie — Lydia pociągnęła delikatnie męża.

— Herkules Poirot? Zaraz, kto? — zamruczał, siadając. Z roztargnieniem drapał się po głowie.

— Pułkownik Johnson chce ci zadać wiele pytań, Alfredzie.

Szef policji popatrzył na nią z aprobatą. Wdzięczny był pani Lee, że okazała się kobietą rozsądną i rzeczową.

— Oczywiście, oczywiście... — powiedział Alfred.

Shok, faktycznie, ten facet jest po prostu znokautowany, mam nadzieję, że się jakoś pozbiera, pomyślał Johnson, a głośno powiedział:

— Mamy tu listę osób, które dziś wieczór przebywały w tym domu. Zechce pan posłuchać i ewentualnie skorygować.

Sugden sięgnął po notes i czytał bez pośpiechu, a Alfred, wciągnięty w tę nieskomplikowaną, ale sensowną czynność sprawdzania spisu, powoli dochodził do siebie.

— Lista jest zgodna ze stanem rzeczy — powiedział, gdy inspektor odczytał ostatnie nazwisko.

— Zechce pan powiedzieć mi nieco więcej o gościach?

Pan George Lee i pan David Lee to krewni? — Johnson przystąpił do pytań.

— To moi młodszy bracia.

— Są tu tylko z wizytą?

— Tak, przyjechali do nas na święta. Z żonami.

— Czy pan Harry Lee to również brat?

— Tak.

— A dwoje pozostałych gości, panna Estravados i pan Farr?

— Panna Estravados jest moją siostrzenicą. Pan Farr jest synem wspólnika mojego ojca z jego czasów afrykańskich.

— Aha, stary przyjaciel.

— Nie. W ogóle nie znaliśmy go do tej pory — wtrąciła się Lydia.

— Rozumiem. Ale zaprosiliście go na Boże Narodzenie?

Alfred zawahał się i spojrzał na Lydię.

— Pan Farr pojawił się tutaj całkiem nieoczekiwanie wczoraj — wyjaśniła Lydia. — Był akurat w tych stronach i przy okazji poprosił mojego teścia o spotkanie. Kiedy teść zorientował się, że to syn jego starego przyjaciela i byłego wspólnika, zatrzymał go tu na święta.

— Ach, tak. A co do służby, pani Lee, czy ma pani do wszystkich zaufanie?

— Tak — odpowiedziała Lydia po chwili zastanowienia. — Jestem zupełnie pewna, że na wszystkich można całkowicie polegać. Większość z nich jest z nami od wielu lat. Tressilian, kamerdyner, służył tu już za dzieciństwa mojego męża. Tylko sprzątaczką Joan i osobisty służący mego teścia pracują od niedawna.

— Co pani o nich powie?

— Joan to jeszcze mała trzpiotka, ale myślę, że to przyzwoita dziewczyna. Niewiele wiem o Horburym. Jest u nas trochę ponad rok. Zna swoją pracę i mój teść wydawał się z niego zadowolony.

— Ale pani mniej? — wetknął swoje pytanie Poirot.

— Ja nie mam z nim do czynienia — wzruszyła ramionami Lydia.

— Ale pani prowadzi ten dom i nadzoruje służbę?

— Och tak, oczywiście. Horbury jest jednak osobistym służącym mojego teścia. Nie podlega

mojej władzy.

— Rozumiem.

— Przejdźmy do wypadków tego wieczoru — poprosił pułkownik Johnson. — Boję się, że będzie to bolesne, panie Lee, ale chciałbym usłyszeć pańską relację.

— Oczywiście — zgodził się cicho Alfred.

— Zacznijmy od ustalenia, kiedy po raz ostatni widział pan ojca.

— To było po herbacie — twarz Alfreda wykrzywił na moment bolesny grymas. — Zaszedłem do niego na chwilę. Życzyłem mu dobrej nocy i pożegnaliśmy się. Mogła być za kwadrans szósta.

— Życzył mu pan dobrej nocy? A więc nie spodziewał się pan zobaczyć go jeszcze tego wieczoru? — spytał Poirot.

— Nie. Ojcu podawano zawsze lekką kolację do pokoju o siódmej. Potem albo szedł spać, albo siedział w fotelu, ale nie przychodził już do niego nikt z rodziny, chyba że specjalnie posłał po kogoś.

— A często posyłał?

— Czasami. Jeżeli był w odpowiednim nastroju.

— Ale był to raczej wyjątek niż reguła?

— Wyjątek.

— Proszę kontynuować, panie Lee.

— Do kolacji siedliśmy o ósmej. Później moja żona przeszła z innymi paniami do salonu. Nie wstaliśmy jeszcze od stołu, gdy nagle — głos Alfreda zadrżał, a oczy znieruchomiały — z góry zaczęły docierać jakieś straszne hałasy. Łoskot przewracanych mebli, brzęk tłuczonego szkła, a potem, o Boże — Alfred wzdrygnął się — wciąż mam w uszach potworny, przeciągły krzyk, jęk człowieka w śmiertelnej agonii...

Drżącymi dłońmi zasłonił twarz. Lydia ujęła go za ramię.

— Co dalej? — spytał łagodnie pułkownik Johnson.

— Wszyscy osłupieli — Alfred ciągnął łamiącym się głosem — i przez chwilę nikt się nie ruszał. Potem rzuciliśmy się do drzwi, na schody i korytarzem w stronę pokoju ojca. Drzwi były zamknięte na klucz, nie mogliśmy dostać się do środka. Trzeba było je wyłamywać. Wreszcie, zobaczyliśmy...

— Nie musi pan opisywać tego widoku, panie Lee. Cofnijmy się — poprosił pułkownik — do

chwili, gdy był pan jeszcze w jadalni. Kto był tam z panem w momencie, kiedy rozległ się krzyk?

— Kto tam był? No, byliśmy wszyscy... Nie, zaraz. Mój brat był tam, mój brat Harry.

— I nikt więcej?

— Nikt więcej.

— A gdzie byli pozostali panowie?

Alfred westchnął i zmarszczył brwi, wysilając pamięć.

— Niech pomyślę... to wydaje się już tak dawno, jakby przed laty... jak to było? Och, oczywiście, George poszedł do telefonu. Potem zaczęliśmy rozmawiać o sprawach rodzinnych, Stephen Farr przeprosił, powiedział, że on nie powinien chyba w tym uczestniczyć. Zrobił to bardzo taktownie.

— A pański brat David?

Alfred zmarszczył czoło jeszcze mocniej.

— David? Czy on tam był? Nie, oczywiście, nie było go. Nie przypominam sobie, kiedy zniknął.

— A więc mówiliście o sprawach rodziny? — spytał delikatnie Poirot.

— No...tak.

— A więc miał pan sprawy do przedyskutowania z jednym tylko członkiem rodziny?

— Co pan ma na myśli, panie Poirot? — spytała Lydia.

— *Madame* — Poirot zwrócił się ku niej żywo — pani mąż mówi, że Stephen Farr odszedł od stołu, ponieważ omawiano przy nim sprawy rodziny. Ale nie była to *conseil de famille*[4], ponieważ brakowało i pana Davida, i pana George'a. A więc była to tylko rozmowa dwóch członków rodziny.

— Mój szwagier Harry — odparła Lydia — był przez wiele lat za granicą. To całkiem naturalne, że miał wiele spraw do omówienia z moim mężem.

— Aha! Rozumiem. No tak.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie i odwróciła oczy.

— Tak, to wydaje się jasne — ocenił pułkownik.

— Czy biegnąc do pokoju ojca, zauważył pan kogoś?

— Naprawdę... nie wiem. Ale chyba tak. Zbiegliśmy się z różnych stron. Obawiam się jednak,

że nie zwróciłem uwagi. Byłem przerażony tym krzykiem...

Pułkownik Johnson szybko zmienił temat.

— Dziękujemy, panie Lee. A teraz następna sprawa. Jest nam wiadome, że pański ojciec miał diamenty znacznej wartości.

— Tak — Alfred spojrział na Johnsona ze zdziwieniem. — Miał.

— Gdzie je przechowywał?

— W pokoju, w sejfie.

— Czy może pan jakoś opisać te diamenty?

— To były kamienie nie oszlifowane.

— Dlaczego trzymał je w swoim pokoju?

— Taki miał kaprys. Diamenty przywiózł z Afryki Południowej i nigdy nie oddał ich do oszlifowania. Cieszył się tym swoim skarbem i lubił mieć go koło siebie. To był jego kaprys.

— Rozumiem — powiedział pułkownik tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że nie rozumie. — Czy miały dużą wartość?

— Ojciec oceniał je na dziesięć tysięcy funtów.

— A więc były to bardzo cenne kamienie?

— Tak.

— Trochę to dziwny pomysł, trzymać takie kosztowności w sypialni.

— Mojego teścia — włączyła się Lydia — można uznać za oryginała. Nie był typem przeciętnym. Bardzo lubił oglądać te kamienie, dotykać ich.

— Być może przypominały mu przeszłość — domyślił się Poirot.

— Tak, na pewno.

— Czy diamenty były ubezpieczone? — spytał pułkownik.

— Chyba nie.

— Czy pan wie, panie Lee — Johnson pochylił się ku Alfredowi — że zostały skradzione?

— Co takiego?

— Ojciec nic panu nie mówił o ich zniknięciu?

— Nie.

— Nie wiedział pan, że wezwał tu inspektora Sugdena i poinformował go o kradzieży?

— O niczym nie miałem pojęcia!

— A pani?

— Nic nie słyszałam — Lydia pokręciła przecząco głową.

— Sądziła pani, że są nadal w sejfie?

— Tak. Czy to ma związek z morderstwem? Czy teścia zabito dla tych kamieni?

— Właśnie usiłujemy znaleźć odpowiedź na to pytanie — odrzekł pułkownik. — Czy kogoś mogłaby pani podejrzewać o dokonanie takiej kradzieży?

— Nie. Jestem pewna, że cała służba to uczciwi ludzie. Poza tym trudno byłoby im dostać się do sejfu. Teść zawsze był w swoim pokoju, nigdy nie schodził na dół.

— Kto sprzątał pokój?

— Horbury. Odkurzał, ścielił łóżko. Druga pokojówka codziennie rano wybierała popiół i rozpałała ogień w kominku. Wszystkim innym zajmował się Horbury.

— A więc najlepszy dostęp miał Horbury? — spytał Poirot.

— Tak.

— Czy sądzi pani, że to on skradł diamenty?

— To możliwe. Przypuszczam... Jemu byłoby najłatwiej. Och, nie wiem, co myśleć.

— Również panią chcemy prosić o opisanie wypadków tego wieczoru. Kiedy po raz ostatni widziała pani teścia? — spytał Johnson.

— Wszyscy byliśmy u niego w pokoju po południu, przed herbatą. Wówczas widziałam go po raz ostatni.

— Nie poszła już pani później życzyć mu dobrej nocy?

— Nie.

— A robiła to pani zwykle? — spytał Poirot.

— Nie — odpowiedziała twardo.

— Gdzie pani była, gdy popełniono zbrodnię? — zainteresował się pułkownik.

— W salonie.

— Słyszała pani odgłosy walki?

— Zdaje się, że słyszałam, jak coś ciężkiego się przewraca. Pokój teścia jest nad jadalnią, a nie nad salonem, toteż nie słyszałam wiele.

— Ale słyszała pani krzyk?

— Tak — Lydia wzdrygnęła się. — To było potworne. Jak... jak dusza w piekle. Byłam pewna, że stało się coś strasznego. Wybiegłam i popędziłam za mężem i Harrym po schodach.

— Kto był z panią w salonie w tym momencie?

— Naprawdę, nie pamiętam. David był obok w saloniku muzycznym i grał Mendelssohna. Zdaje się, że Hilda poszła tam do niego.

— A dwie pozostałe panie?

— Magdalena gdzieś telefonowała. Nie pamiętam, czy wróciła potem, czy nie. Nie wiem, gdzie była Filar.

— W gruncie rzeczy możliwe, że była pani całkiem sama w salonie? — odezwał się łagodnie Poirot.

— Tak, możliwe. I chyba tak rzeczywiście było.

— Wracamy do diamentów — zarządził pułkownik. — Czy zna pan kod cyfrowy, którego używał ojciec do otwierania sejfu, panie Lee? Zdaje się, że to raczej staroświecki skarbiec.

— Kombinację cyfrową znajdą panowie w notesiku, który ojciec trzymał w kieszeni szlafroka.

— W porządku, zaraz tam zajrzemy. Musimy chyba jednak przesłuchać następne osoby, bo panie chciałyby pewnie pójść spać.

Lydia podniosła się.

— Chodź, Alfredzie. Czy mam ich tu poprosić? — spytała pułkownika.

— Gdyby pani mogła, po jednej osobie.

— Oczywiście.

Lydia ruszyła ku drzwiom. Alfred podążał za nią, ale nagle zawrócił i podszedł do Poirota.

— Ach, to pan przecież jest tym sławnym Herkulesem Poirot! Zupełnie dzisiaj straciłem

głowę, dopiero teraz sobie uświadomiłem. — Alfred w wielkim podnieceniu wyrzucał z siebie potoki słów. — Niebo nam pana tu zsyła! Musi pan odsłonić prawdę, panie Poirot! Bez względu na koszty! Zapłacę każde pieniądze! Ale, błagam, niech pan znajdzie zabójcę! Mój ojciec zabity, zamordowany, w taki straszny sposób, z potwornym okrucieństwem! Panie Poirot, niech pan złapie mordercę! Ojciec musi być pomszczony!

— Zapewniam pana — odpowiedział ze spokojem Poirot — że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc pułkownikowi Johnsonowi i inspektorowi Sugdenowi.

— Chcę, aby pracował pan dla mnie. Mój ojciec musi zostać pomszczony.

Alfred drżał cały. Lydia ujęła go pod ramię.

— Chodź, Alfredzie, inni też muszą złożyć zeznania.

Poirot spojrzał w górę, prosto w oczy Lydii. Te oczy kryły swoje własne tajemnice. Lydia nie spuściła wzroku.

Poirot zaczął cicho recytować:

— „Och, kto by przypuszczał, że ten starzec...”

— Dość! Niech pan tego nie mówi!

— Ale pani to wypowiedziała, *madame*.

— Wiem... Pamiętam... To było tak potworne — westchnęła cicho Lydia i szybko wyszła z pokoju wraz z mężem.

IX

George Lee to była chodząca powaga i akuratność.

— Straszna rzecz — pokiwał głową. — Okropna! To musi być... to jest... dzieło szaleńca!

— Tak pan uważa? — uprzejmym tonem spytał pułkownik.

— Tak. Jestem o tym głęboko przekonany. Jakiś maniakalny morderca, być może uciekinier z domu wariatów gdzieś w okolicy.

— A jak szaleniec dostał się do tej rezydencji, panie Lee, i jak zdołał z niej wyjść? — odezwał się inspektor Sugden.

— To właśnie powinna wykryć policja — odparł z przekonaniem George.

— Bezpośrednio po morderstwie obeszliliśmy cały budynek — referował inspektor. — Wszystkie okna były pozamykane. Wejście główne i boczne zamknięte na klucz. Gdyby ktoś wychodził kuchennymi drzwiami, musiałyby go widzieć kucharki.

— Toż to absurd! — wykrzyknął George. — Zaraz powiedzą mi panowie, że mojego ojca w ogóle nikt nie zamordował!

— To jednak nie ulega wątpliwości — zapewnił Sugden.

— Zamordowano go z całą pewnością.

Szef policji odchrząknął i przystąpił do dalszej serii pytań.

— Gdzie pan był, panie Lee, w chwili, gdy popełniono zbrodnię?

— W jadalni. To było zaraz po kolacji. Nie, zdaje się, że byłem jednak tu, w tym pokoju. Właśnie skończyłem rozmowę telefoniczną.

— Aa, to pan dzwonił?

— Tak, połączyłem się telefonicznie z kwaterą konserwatystów w Westeringham, to jest mój okręg wyborczy. Miałem bardzo pilne kwestie do omówienia.

— I potem usłyszał pan ten krzyk?

George zadrżał z lekka.

— Tak, to było bardzo przykre. Ten krzyk przeszył mnie aż do szpiku kości. Zakończył się czymś w rodzaju rżenia lub charkotu.

Wyjął chusteczkę i wytarł obficie zroszone potem czoło.

— Potworność — wymamrotał.

— I wtedy pobiegł pan na piętro?

— Tak.

— Biegając, widział pan swoich braci, pana Alfreda i pana Harry'ego?

— Nie, oni byli na piętrze przede mną.

— Kiedy po raz ostatni widział pan ojca, panie Lee?

— Po południu. Wszyscy byliśmy u niego.

— Później już pan go nie zobaczył?

— Nie.

— Czy wiadomo było panu o nie oszlifowanych diamentach znacznej wartości, które ojciec przechowywał w sejfie w swojej sypialni?

— Tak — z powagą potwierdził George — to ogromny brak ostrożności z jego strony. Powtarzałem mu to często. Przecież ktoś mógłby go zamordować dla tych... to znaczy... chciałem powiedzieć...

— Czy pan wie, że kamienie zniknęły? — przerwał mu pułkownik Johnson.

George z otwartymi ustami, wytrzeszczając wyłupiaste oczy, wpatrywał się w szefa policji.

— A więc to dla diamentów został zamordowany?

— Wiedział o kradzieży i zawiadomił policję na parę godzin przed śmiercią — powiedział powoli pułkownik.

— Ale w takim razie... nie rozumiem... ja...

— My też nie rozumiemy — odezwał się cicho Herkules Poirot.

Harry Lee wszedł do pokoju z miną buńczuczną. Poirot na jego widok zmarszczył brew. Miał wrażenie, że gdzieś już tego mężczyznę widział. Ten wydatny, garbaty nos, arogancko zadarta głowa, wysunięta szczęka. Harry był słusznego wzrostu, jego ojciec zaś niewysoki, a jednak ich podobieństwo rzucało się w oczy.

Poirot zauważył coś jeszcze. Pod demonstracyjną pewnością siebie ukrywał Harry zdenerwowanie. Nie całkiem skutecznie.

— A więc, panowie, co chcecie ode mnie usłyszeć?

— Bylibyśmy wdzięczni, gdyby rzucił pan nieco światła na wypadki dzisiejszego wieczoru — odpowiedział szef policji.

— Ja nic nie wiem — Harry potrząsnął głową. — To wszystko jest straszliwe i absolutnie zaskakujące.

— Wrócił pan ostatnio z zagranicy, jeśli się nie mylę, panie Lee? — spytał Poirot.

— Tak. Wylądowałem w Anglii przed tygodniem.

— Długo pana nie było?

— Mogę walić prosto z mostu! — roześmiał się Harry.

— Ktoś i tak wam to wszystko powie. Jestem synem marnotrawnym, panowie! Nie było mnie w domu prawie dwadzieścia lat.

— Ale wrócił pan. Można spytać dlaczego? — indagował Poirot.

— To było dokładnie tak jak w ewangelicznej przypowieści o synu marnotrawnym — chętnie i szczerze wyjaśniał Harry. — Nie chciałem już dłużej jeść strąków (czy innego paskudztwa, zapomniałem) razem ze świniami. Uznałem, że utuczone cielełoby miłą odmianą. Dostałem list od ojca, zachęcający do powrotu. Posłuchałem i przyjechałem. To wszystko.

— Przybył pan z krótką wizytą czy na dłużej?

— Wróciłem do domu... na dobre!

— Co ojciec na to?

— Staruszek nie posiadał się z radości — znowu się roześmiał. Zmarszczki w kącikach oczu Harry'ego sprawiły, że jego twarz stała się ujmująca. — Wynudził się tu niczym mops, skazany na towarzystwo Alfreda! Alfred to bardzo zacy chłop, ale nudny jak flaki z olejem. Ojciec za młodu był

niezgorszym hulaką/ toteż stęsknił się za moją kompanią.

— A pański brat i jego żona też cieszyli się perspektywą życia z panem pod jednym dachem?
— spytał Poirot, unosząc lekko brwi.

— Alfred? Alfred był wściekły. Nie wiem, co myślała o tym Lydia. Pewnie, ze względu na męża, nie była zachwycona. Ale nie mam wątpliwości, że z czasem zaczęłoby to jej odpowiadać. Lubię Lydię, to urocza kobieta. Dogadalibyśmy się z nią, natomiast Alfred to zupełnie inna para kaloszy. Zawsze był o mnie piekielnie zazdrosny. Pilny, grzeczny synuś, domator, całe życie taki. I co mu z tego przyszło? Jak każdy przykładowy lalusz dostał kopa w tyłek i tyle. Panowie, ja wam to mówię, cnota nie popłaca. Mam nadzieję, że nie zszokowała was moja szczerość. Waszym zadaniem jest przecież ustalanie prawdy. I tak wyciągniecie na światło dzienne wszelkie brudy rodzinne. Mogę wam od razu pokazać te swoje. Serce nie krwawi mi zbyt obficie po śmierci ojca, ostatni raz widziałem przecież tego starego diabła, kiedy jeszcze byłem chłopcem. No, jest to jednak mój ojciec i został zamordowany, dlatego domagam się, by pomszczono tę śmierć. Naszą rodzinę zawsze cechowała mściwość. Kto nazywa się Lee, ten nie przebacza łatwo. Żądam stanowczo, by morderca mojego ojca został schwyty i powieszony.

— Może pan nam ufać, dołożymy wszelkich starań, by tak się stało, panie Lee — zapewnił Sugden.

— Jeśli nic nie wskóracie, wezmę sprawy w swoje ręce — przestrzegł Harry Lee.

— Ma pan jakieś podejrzenia, kto może być mordercą? — ostrym tonem zapytał pułkownik Johnson.

— Nie. Nie mam. Długo się nad tym zastanawiałem i jestem przekonany, że to nie mógł być nikt z zewnątrz...

— Aha — Sugden skinął głową.

— A skoro tak — ciągnął Harry — to mordercą musi być ktoś z tego domu... Ale kto, do diabła, mógłby to zrobić? Nie podejrzewam służby. Tressilian jest tu od początku świata. Ten półgłówek lokaj? Wykluczone. Horbury wygląda na nieco podejrzanego typa, ale Tressilian powiedział mi, że fagas był akurat w kinie. Kto więc pozostaje? Stephen Farr raczej odpada; przecież facet nie przyjechał z drugiego końca świata, by zamordować staruszka, którego pierwszy raz widzi na oczy. Po skreśleniu Farra mamy już tylko rodzinę. I głowę daję, że nikt z rodziny też nie miał powodu, by zrobić coś takiego. Alfred? On uwielbiał ojca

George? Taki mięczak? David? Marzyciel i mazgaj, który mdleje na widok własnego skaleczonego palca? Bratowe? Kobieta nie podejdzie do mężczyzny z nożem, by poderżnąć mu gardło! Więc kto zabił? Nie mam bladego pojęcia. Cholerna zagadka!

Pułkownik Johnson odchrząknął, jak miał w zwyczaju, i zapytał:

— Kiedy po raz ostatni widział pan ojca?

— Zaraz po herbacie. Ojciec trochę się akurat posprzeczał z Alfredem na temat tu obecnego pokornego sługi panów. Staruszek nudził się w samotności i lubił aranżować konflikty, takie draki. Pewnie dlatego nikogo nie uprzedził o moim powrocie. Chciał się napatrzeć, jak pierze będzie leciało, kiedy nagle wyskoczę pośród rodzinki! Dlatego też mówił o zmianie testamentu.

— Więc pański ojciec wspominał o testamencie? — poruszył się Poirot.

— Tak, ściągnął do siebie całą rodzinę i przy wszystkich gadał do telefonu o zmianie testamentu, obserwując, jak na to reagujemy. Umówił się z notariuszem po świętach. Miał być spisany nowy dokument.

— O jakich zmianach myślał? — spytał Poirot.

— Tego nie zdradził. To chytry lis! Przypuszczam, to znaczy — miałem nadzieję, że chodziło o zmiany na korzyść pokornego sługi panów. W pierwszym testamencie na pewno byłem wykluczony z grona spadkobierców, a teraz, tak sędzę, ojciec zamierzał mnie dopisać. Paskudna wiadomość dla moich drogich krewnych. Na dodatek nie jedyna, bo również Pilar awansowałaby prawdopodobnie do godności spadkobierczyni. Staruszek od razu ją polubił. Nie widzieliście jeszcze Pilar? Śliczne stworzenie. Jest w niej cudowne ciepło Południa. I okrucieństwo też. Ech, gdybym nie był jej wujem...

— Mówi pan, że ojciec przywiązał się do Pilar?

— Tak, doskonale wiedziała, jak go zawojować. Stale u niego przesiadywała. Dobrze się orientowała, co może wysiedzieć! No, ale on nie żyje. Testament nie będzie zmieniony na korzyść Pilar ani moją. Przeszło koło nosa.

Przerwał na chwilę, zmarszczył brwi i zaczął mówić nieco innym tonem.

— Odszedłem od tematu. Chciał pan wiedzieć, kiedy po raz ostatni widziałem ojca? Tak jak powiedziałem, po herbacie. To mogło być parę minut po szóstej. Staruszek był w niezłym nastroju, tylko może trochę zmęczony. Zostawiłem go z Horburym.

— Gdzie był pan w chwili śmierci ojca?

— W jadalni z Alfredem. Rozmowa po kolacji niezbyt kochających się braci. Właśnie się o coś zażarcie kłóciliśmy, gdy zaczął się ten hałas piętro wyżej. Jakby dziesięciu chłopów wdało się w bijatykę. A potem biedny stary ojciec krzyknął. To brzmiało jak kwik zarzynanej świni. Ten krzyk sparaliżował Alfreda. Siedział sztywny z otwartymi ustami. Dopiero jak nim zdrowo potrząsnąłem, ruszył za mną ku schodom. Drzwi były zamknięte na klucz. Trzeba było je rozbić, mieliśmy z tym trochę roboty. Nie mogę pojąć, jakim sposobem ktoś je zamknął. W pokoju nie było nikogo oprócz ojca, a głowę daję, że oknem nikt nie mógł wyjść.

— Drzwi zostały zamknięte od zewnątrz — powiedział inspektor Sugden.

— Co? — wytrzeszczył oczy Harry. — Przysięgam, że klucz był w zamku od środka!

— Więc pan to zauważył? — mruknął Poirot.

— Ja mam oczy otwarte, jestem spostrzegawczy — odburknął Harry.

— Czy panowie chcą wiedzieć jeszcze coś? — Harry spojrział na twarze trzech mężczyzn.

— Dziękujemy panu, panie Lee — skinął głową pułkownik Johnson. — Na razie wystarczy. Zechce pan poprosić następną osobę?

— Oczywiście. — Harry wyszedł, nie oglądając się.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Co pan sądzi, Sugden? — spytał pułkownik.

— On się czegoś obawia. Ciekawe czego? — inspektor kiwał głową w zamyśleniu.

Magdalena Lee dla większego efektu zatrzymała się w drzwiach. Smukłą dłonią poprawiała lśniące, platynowe włosy. Welwetowa suknia w kolorze żywej zieleni doskonale układała się na jej delikatnej figurze. Wyglądała na bardzo młodą i nieco wystraszoną.

Trzej mężczyźni przez chwilę byli całkowicie skupieni na tym widoku. W oczach Johnsona pojawił się nagły błysk zachwytu. Inspektor Sugden nie przejawiał ożywienia, choć zdradzał lekkie zniecierpliwienie, być może zależało mu na szybkim wykonaniu czynności służbowych. We wzroku Poirota wyczytała Magdalena uznanie, ale nie domyśliła się, że ceni on nie tyle jej urodę, ile sztukę używania walorów zewnętrznych. Nie miała pojęcia, iż detektyw powtarza w duchu: „*Jolie mannequin, la petite. Mais elle a les yeux durs*”[5].

Pułkownik Johnson myślał natomiast tak: „Diabelnie przystojna babka. George Lee może mieć z nią problemy. Zawróci w głowie, komu zechce”. Inspektor Sugden nie zachwycił się, liczył tylko na sprawne przesłuchanie kolejnej osoby.

— Zechce pani spocząć, pani Lee.

Siadła na krześle wskazanym przez pułkownika i podziękowała ciepłym uśmiechem, który mówił: „Przecież policjanci to tylko mężczyźni, więc nie muszą być wcale straszni”. Uśmiech adresowany był także do Poirota; cudzoziemcy tak łatwo ulegają damom. Natomiast inspektor Sugden Magdaleny nie obchodził.

— To wprost potworne. Jestem taka przerażona — załamywała ręce w wystudiowanym geście rozpacz.

— Tak, to zrozumiałe, pani Lee — powiedział pułkownik Johnson ze współczuciem wprawdzie, ale i z pośpiechem. — Ogromny szok, oczywiście, ja wiem, ale to już przeszło. Teraz chcemy tylko usłyszeć od pani, co wydarzyło się tego wieczoru.

— Ale ja nic nie wiem! — krzyknęła. — Naprawdę! Przyjechaliśmy dopiero wczoraj. George tak bardzo nalegał, żebyśmy tu spędzili Boże Narodzenie. Och, czemu nie zostaliśmy w domu? Chyba już się z tego nigdy nie otrząsnę!

— Tak, to ciężkie przeżycie.

— Prawie nie znam rodziny męża, pan rozumie. Teścia widziałam chyba dwa razy w życiu: na weselu i kiedyś potem. Oczywiście z Alfredem i Lydią spotykałam się częściej, ale ogólnie biorąc, rodzina Lee to dla mnie obcy ludzie.

— Tak. Proszę powiedzieć, kiedy po raz ostatni widziała pani teścia żywego.

— Dzisiaj po południu. To było okropne!

— Okropne? Dlaczego?

— Byli tacy wściekli!

— Kto był wściekły?

— Och, wszyscy... Nie mówię o George'u. Jemu ojciec nic nie powiedział ale innym zdrowo wygarnął.

— Ale co właściwie zaszło?

— Teść wezwał nas wszystkich, a kiedy przyszliśmy, akurat głośno rozmawiał przez telefon z notariuszem o zmianie testamentu. Potem zbeształ Alfreda za ponurą minę. A Alfred, zdaje się, był wściekły w związku z powrotem Harry'ego. Następnie teść powiedział, że jego żona, która nie żyje już od wielu lat, miała ptasi mózdzek, czy coś w tym rodzaju. Na to skoczył ku niemu David, który wyglądał tak, jakby chciał ojca zamordować... — Och! — urwała nagle, w oczach błysnęło przerażenie. — Nie to chciałam powiedzieć... miałam na myśli co innego!

— Rozumiem, to tylko taka metafora — uspokajał Magdalенę pułkownik Johnson.

— Więc tam, u teścia, żona Davida, Hilda, odciągała go na bok i uciszała. Teść zaś wyrzucił nas wszystkich i oświadczył, że dzisiaj nie chce już nikogo widzieć. Więc poszliśmy sobie.

— A teraz proszę nam powiedzieć, gdzie pani była, gdy popełniono zbrodnię.

— Zaraz, niech pomyślę. Wydaje mi się, że byłam w salonie.

— Nie jest pani pewna?

Magdalena zamrugnęła oczami i spuściła powieki.

— Oczywiście! Jaka głupia jestem... Poszłam zadzwonić. Wszystko mi się już poplątało.

— Więc telefonowała pani. Czy tutaj, z tego pokoju?

— Tak, to jedyny telefon oprócz tego na piętrze, w pokoju teścia.

— Czy ktoś jeszcze był tutaj z panią? — spytał inspektor Sugden.

Magdalena otworzyła szeroko oczy.

— Och, nie. Byłam zupełnie sama.

— Długo pani tu była?

— No, trochę. Dzisiaj wieczorem nie tak łatwo o połączenie.

— A więc to była rozmowa zamiejscowa?

— Tak. Rozmawiałam z Westeringham.

— A potem?

— A potem rozległ się ten straszny krzyk i wszyscy pobiegli, drzwi były zamknięte, trzeba je było wyłamać. Och! Prawdziwy koszmar! Nigdy tego nie zapomnę!

— Naturalnie, naturalnie — pocieszał ją mechanicznie pułkownik. — Czy wiedziała pani, że teść trzymał w sejfie diamenty znacznej wartości?

— Nie. Diamenty? — Magdalena wyglądała na szczerze zdumioną. — Prawdziwe diamenty?

— Diamenty warte dziesięć tysięcy funtów — dodał Herkules Poirot.

— Ooch! — w tym westchnieniu zawarła się kwintesencja kobiecej chciwości.

— Dobrze — skonkludował pułkownik Johnson. — Myślę, że na razie to wszystko. Nie będziemy pani dłużej kłopotać.

— O, dziękuję — wstała, uśmiechnęła się do Johnsona i Poirota tak, jak uśmiechają się małe dziewczynki, gdy mają okazać wdzięczność. Wyszła z podniesioną głową.

— Może pani poprosi tu szwagra, pana Davida Lee — krzyknął za nią pułkownik, zamykając drzwi.

Wrócił do stołu i powiedział:

— Więc co panowie sądzą? Coś wyławiamy. Zwróciliście uwagę, że George Lee usłyszał krzyk, kiedy telefonował, i jego żona usłyszała krzyk, kiedy telefonowała. Ktoś tu się mija z prawdą. Co pan o tym sądzi, Sugden?

— Nie chciałbym obrażać tej damy, ale wygląda mi ona na mistrzynię w obskubywaniu mężczyzn z pieniędzy, chyba jednak nie jest zdolna do podrzynania im gardeł. Wielu pozbawi trzosu, ale nikomu nie odbierze życia.

— Nigdy nie wiadomo, *mon vieux*[6] — mruknął Poirot. Pułkownik zwrócił się teraz do niego:

— A pan, Poirot, co pan sądzi?

Herkules Poirot pochylił się nad stołem, poprawił bibularz i strącił jakieś niewidoczne brudy z podstawy lichtarza.

— Pragnę zwrócić uwagę, że coraz wyraźniej rysuje nam się charakter zmarłego pana Simeona Lee. A charakter ofiary ma zwykle podstawowe znaczenie dla czynów kryminalnych.

— Nie bardzo pana rozumiem — inspektor Sugden skierował ma Poirota niedowierzające spojrzenie.

— Jest mnóstwo przykładów związku między cechami ofiary a zbrodnią, którą na ofierze popełniono. Szczerłość i prostolinijność Desdemony to bezpośrednia przyczyna jej śmierci. Bardziej podejrzliwa kobieta przejrzałaby machinacje Jagona i uszłaby z życiem. Marata gnębiła choroba skóry i dlatego zginął w wannie, a zapalczliwość Merkucja była powodem jego śmierci w pojedynku, od ciosu miecza.

— Do czego pan zmierza konkretnie, Poirot? — pułkownik Johnson skubnął wąsa.

— Twierdzę, że to szczególne cechy osobowości Simeona Lee rozpięły pewne siły, które w rezultacie przyniosły mu śmierć.

— Więc pan uważa, że diamenty nie wiążą się z tą zbrodnią?

Poirot uśmiechnął się, widząc zdumienie na twarzy pułkownika Johnsona.

— *Mon cher*[7] — wyjaśnił — to szczególne cechy charakteru kazały Simeonowi trzymać kamienie warte dziesięć tysięcy funtów w sypialni! Naprawdę niewiele osób by tak postąpiło. — Tak rzeczywiście jest, panie Poirot — inspektor Sugden odczuwał wręcz intelektualną satysfakcję; wreszcie pojął, o co chodzi rozmówcy. — Z pana Lee był kawał oryginała.

Trzymał te tak cenne kamienie stale koło siebie, by móc codziennie brać je do ręki i wspominać dawne lata. I dlatego wołał ich nie szlifować.

— Właśnie tak! Tak dokładnie myślę! — Poirot przytaknął żywo. — Jest pan bystrym człowiekiem, inspektorze.

Inspektor Sugden wydawał się nieco zakłopotany tym komplementem.

— Jeszcze jedna rzecz, Poirot — zaczął Johnson. — Nie wiem, czy pan spostrzegł...

— *Mais oui*[8] — Poirot nie dał mu dokończyć — wiem, do czego pan zdąża. Pani Magdalena powiedziała nam więcej, niż się jej wydaje. Dzięki niej mamy już dość wyraźny obraz ostatniego spotkania rodzinnego. A więc Alfred złościł się na ojca, a David wyglądał tak, jakby chciał ojca zamordować. Nie ma powodu wątpić w trafność tych obserwacji, ale przede wszystkim dają nam one możliwość wydedukowania, co się właściwie zdarzyło podczas tej rodzinnej kłótni. Po co Simeon Lee ściągnął wszystkich do siebie? Dlaczego, gdy przyszli, rozmawiał akurat z prawnikiem? *Parbleu*[9], to nie był przypadek. Simeon chciał, żeby usłyszeli jego słowa o testamencie! Biedny staruszek, siedzi w swoim fotelu, pozbawiony uciech, w których tak zasmakował za młodu! Wymyślił więc sobie zabawę. Zręcznie wyzwała skrywane namiętności swoich bliskich, zwłaszcza te grzeszne, chciwość w szczególności. I patrzy z upodobaniem na nieunikniony konflikt emocji i żądz. Ta superintryga obejmuje wszystkich. George'a Lee tak samo jak innych, choć żona milczy na jego temat. Prawdopodobnie zresztą i w jej kierunku Simeon posłał jakąś zatrutą strzałę, albo i dwie. Dowiemy się od innych o tym, co starzec powiedział George'owi Lee i jego żonie...

Poirot przerwał, bo drzwi otworzyły się i wszedł David Lee.

David Lee trzymał się w garści. Zachowywał się w sposób wręcz nienaturalnie powściągliwy. Podszedł do nich, przysunął sobie krzesło, usiadł i z powagą patrzył pytająco na pułkownika Johnsona.

Światło lampy padało na jego jasne włosy i podkreślało delikatną linię policzków. Wyglądał wprost niewiarygodnie młodo jak na syna pomarszczonego staruszka, którego zwłoki spoczywały na piętrze.

— A więc co, panowie, mógłbym wam powiedzieć?

— Słyszeliśmy, panie Lee — zaczął pułkownik Johnson — że w pokoju pańskiego ojca odbyło się dziś po południu coś w rodzaju spotkania rodzinnego?

— Tak, ale nie była to żadna ważna narada rodzinna.

— Jak to wyglądało?

— Mój ojciec nie miał dobrego nastroju. To był już mocno starszy człowiek, schorowany, dlatego trzeba go zrozumieć. Zdaje się, że ściągnął nas tam do siebie w celu... po to, by sobie ulżyć, a nam dokuczyć.

— Pamięta pan, co powiedział?

— Nagadał głupstw. Mówił, że nie ma z nas żadnego pożytku, wszyscy jesteśmy do niczego i w całej rodzinie nie sposób znaleźć jednego prawdziwego mężczyzny. Pilar, moja hiszpańska siostrzenica, jest warta dwa razy tyle co każdy z nas, oświadczył. Powiedział... — David przerwał.

— Proszę, panie Lee — zachęcał Poirot. — Proszę powtórzyć jak najdokładniej.

— Powiedział, że przypuszcza — David wspominał to z wyraźnym ociąganiem — iż gdzieś w świecie ma synów dużo lepszych od nas, chociaż nieślubnych...

Na wrażliwej twarzy Davida pojawił się wyraz zdegustowania. Inspektor Sugden, który bacznie go obserwował, wychylił się do przodu i spytał:

— Czy ojciec zwracał się bezpośrednio do pańskiego brata George'a?

— Do George'a? Nie pamiętam. A, tak, rzeczywiście, powiedział George'owi, że musi ograniczyć wydatki, bo będzie miał zmniejszoną pensję. Pensję wypłaca mu ojciec. George zrobił się czerwony jak indor i wymamrotał, że nie zwiąże końca z końcem. Ojciec radził, by Magdalena też zaczęła żyć oszczędniej. Szczególna złośliwość, bo George był zawsze strasznym dusigroszem, a właśnie jego żona szasta pieniędzmi, by zaspokoić swoje ekstrawaganckie gusta.

— A więc Magdalenie też się dostało?

— Tak. Ojciec wspomniał coś, co zabrzmiało bardzo paskudnie: że Magdalena żyła swego czasu z oficerem marynarki. Powiedział wprawdzie, że ma na myśli jej ojca, ale to było perfidnie dwuznaczne. Magdalena spurpurowiała. Wcale jej się nie dziwię.

— Czy ojciec mówił coś o swojej zmarłej żonie, pańskiej matce? — spytał Poirot.

David poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Kurczowo zacisnął ręce na krawędzi stołu, drżał.

— Tak. Obraził jej pamięć — wykrztusił.

— Co powiedział? — drążył Johnson.

— Nie pamiętam. Po prostu użył jakiegoś znieważającego określenia — rzucił ostro David.

— Pańska matka nie żyje już od lat? — spytał delikatnym tonem Poirot.

— Umarła, kiedy byłem chłopcem.

— Nie czuła się zbyt szczęśliwa w tym domu?

— Kto mógłby być szczęśliwy z takim człowiekiem jak mój ojciec? — David zaśmiał się gorzko. — Moja matka była święta. Zmarła ze zgryzoty.

— Czy śmierć żony wstrząsnęła pańskim ojcem? — dochodził Poirot.

— Nie wiem. Odszedłem z domu.

Zrobił pauzę, a potem mówił dalej:

— Może nie jest panu wiadome, że nie widziałem ojca od niemal dwudziestu lat. A więc nie mogę wiele powiedzieć ani o jego zwyczajach, ani o jego wrogach, czy o tym, co tu się działo.

— Czy słyszał pan, że ojciec przechowywał diamenty w sypialnianym sejfie? — zmienił temat pułkownik Johnson.

— Tak? Nie wydaje się to rozsądne — David przyjął informację raczej obojętnie.

— Proszę powiedzieć, co pan robił wieczorem?

— Ja? Szybko wstałem od stołu po kolacji. Nudzi mnie wysiadywanie przy lampce porto. Poza tym widziałem, że zanosi się na kłótnię Alfreda z Harrym. Nienawidzę awantur. Wymknąłem się do saloniku muzycznego i grałem na fortepianie.

— To pokój obok dużego salonu?

— Tak. Grałem tam jakiś czas, aż to się zdarzyło.

— Co pan słyszał, dokładnie?

— Och! Łoskot mebli wywracanych gdzieś dość daleko na piętrze. A potem ten straszliwy krzyk — David znowu kurczowo zacisnął ręce. — Krzyk duszy potępionej! Boże, to było potworne!

— Czy w saloniku muzycznym był pan sam?

— Nie, moja żona, Hilda, była tam również. A potem razem z innymi pobiegliśmy na górę.

— Nie chce pan chyba — rzucił pośpiesznie i nerwowo — abym opowiadał, co tam zobaczyłem?

— Nie, to nie jest potrzebne — Johnson uspokoił Davida.

— Dziękujemy panu, to już właściwie wszystko. Przypuszczam, że nie domyśla się pan, panie Lee, kto mógłby chcieć zabić pańskiego ojca?

— Mnóstwo ludzi by chciało! — rzucił bez ogródek David — ale nie mam żadnych konkretnych podejrzeli co do sprawcy.

Wyszedł szybko i głośno zatrzęsął drzwiami za sobą.

Pułkownik Johnson ledwie zdążył odchrząknąć, nim drzwi otworzyły się ponownie i weszła Hilda Lee.

Herkules Poirot przyglądał się jej z zaciekawieniem. Pomyślał, że żony braci Lee naprawdę zasługują na uwagę. Żywa inteligencja i arystokratyczny wdzięk Lydii, podniecająco prowokujący seksapil Magdaleny, a teraz wewnętrzna siła i równowaga wyczuwalne natychmiast u Hildy — Poirot był pod wrażeniem.

Spostrzegł, że niemodna fryzura i strój postarzają Hildę, a przecież nie pojawił się jeszcze pierwszy siwy włos na jej skroni. Spokojne orzechowe oczy w pełnej twarzy promieniowały życzliwością. Miła kobieta, pomyślał.

— To straszny cios dla wszystkich państwa — pułkownik

Johnson zaczął najuprzejmiej jak umiał. — Od męża dowiedzieliśmy się, że to pani pierwsza wizyta w Gorston Hali?

Skłoniła potakująco głowę.

— I nigdy wcześniej nie widziała pani swojego teścia?

— Nie. Pobraliśmy się wkrótce potem — również głos Hildy był miły — jak David odszedł z domu. Nigdy nie chciał mieć nic wspólnego ze swoją rodziną. To nasze pierwsze spotkanie z krewnymi męża.

— Jak do niego doszło?

— Teść napisał do Davida. Bardzo prosił, żeby przyjechać na to Boże Narodzenie, bo on jest już w podeszłym wieku i raz chciałby mieć wszystkie dzieci koło siebie na święta.

— I mąż dał mu się przekonać?

— Obawiam się, że to moja robota. Ja go namówiłam. Błędnie oceniłam sytuację.

— Byłaby pani uprzejma wyjaśnić to bliżej? — poprosił Poirot. — Komentarz pani może być dla nas cenny.

— Nie znałam teścia, nie widziałam go nigdy. Nie miałam pojęcia, czym się naprawdę kieruje. Pomyślałam, że pewnie czuje się stary i samotny i dlatego zapragnął pojednania z dziećmi.

— A jakie były motywy rzeczywiste? Czym kierował się naprawdę, jak pani sądzi?

Wahała się przez chwilę, a potem powiedziała powoli:

— Nie mam wątpliwości, że teściowi nie chodziło o szukanie zgody, lecz przeciwnie, dążył do wzniecenia waśni we własnej rodzinie.

— W jaki sposób?

— On się bawił wyzwaniem najniższych instynktów w ludziach. Powodowała nim, jak to nazwać, diaboliczna złośliwość. Marzył o tym, by wszyscy w rodzinie skoczyli sobie do gardeł.

— I co, udało mu się? — spytał Johnson.

— Tak. Doprowadził do tego.

— Słyszeliśmy o popołudniowym spotkaniu u teścia — powiedział Poirot. — Dość burzliwym.

Hilda kiwnęła potakująco głową.

— Mogłaby pani nam to opisać?

— Kiedy weszliśmy do pokoju, teść rozmawiał przez telefon.

— Z prawnikiem, tak?

— Tak, prosił właśnie pana Charltona, nie jestem całkiem pewna, czy dobrze zapamiętałam nazwisko, o przyjście, ponieważ chce poczynić zmiany w testamencie. Stary zapis nie pasuje do nowych okoliczności, tak powiedział.

— Proszę się zastanowić nad takim pytaniem: czy teść z rozmysłem pozwolił państwu usłyszeć tę rozmowę telefoniczną, wręcz zaaranżował ją specjalnie dla waszych uszu, czy też był to przypadek?

— Jestem prawie pewna, że chciał, byśmy wszystko słyszeli.

— Po to, by zasiać w was niepokój i podejrzenie?

— Tak.

— A więc, być może, tak naprawdę wcale nie zamierzał zmieniać testamentu?

— Nie, wydaje mi się, że miał taki zamiar. Prawdopodobnie zamierzał spisać nowy testament, ale przy okazji bawił się, siejąc wśród nas niepokój i niezgodę.

— *Madame* — powiedział Poirot — to nie ja prowadzę oficjalne śledztwo i pytań, które zadaję, nie postawiłby pewnie policjant angielski. Bardzo chciałbym jednak znać pani przypuszczenia co do zmian w testamencie. Nie pytam o wiadomości, lecz o domysły pani. Dzięki Bogu, *les femmes*[10], one nie potrzebują wiele czasu, by wysnuć jakieś domysły.

Hilda Lee uśmiechnęła się leciutko.

— Chętnie powiem o swoich domniemaniach. Jennifer, siostra mojego męża, poślubiła Hiszpana, Juana Estravadosa. Jej córka, Pilar, akurat przyjechała tu na święta. To bardzo piękna dziewczyna i jedna jedyna wnuczka Simeona Lee, który był nią zachwycony. Według mnie, miał zamiar zapisać jej znaczną sumę w nowym testamencie. A w starym? Nie wiadomo, czy w ogóle pojawiła się wśród spadkobierców.

— Czy pani знаła swoją szwagierkę?

— Nie. Nigdy jej nie widziałam. Jej hiszpański mąż zginął w tragicznych okolicznościach. To było chyba niedługo po ich ślubie. Jennifer zmarła rok temu i Pilar została sierotą. Dlatego pan Lee zaprosił ją do Anglii, by zamieszkała razem z nim.

— A inni członkowie rodziny, czy przyjęli ją życzliwie?

— Myślę, że wszyscy ją polubili. To przyjemne mieć kogoś młodego i pełnego życia w tym domu.

— A ona, spodobało jej się tutaj?

— Nie wiem. Anglia musi się wydawać zimna i obca dziewczynie wychowanej na Południu, w Hiszpanii.

— No, obecnie w Hiszpanii nie jest wcale wesoło — polemizował Johnson. — A teraz, pani Lee, chcielibyśmy usłyszeć pani streszczenie tej popołudniowej rozmowy u teścia.

— Gdy teść odłożył słuchawkę, popatrzył na nas i zaczął się z nas śmiać, powiedział, że wyglądamy bardzo smętnie. Zakomunikował, iż jest zmęczony i powinien położyć się wcześniej spać, niech więc już nikt nie zagląda do niego wieczorem. Potrzebuje odpoczynku, bo chce być w dobrej formie na Boże Narodzenie. Coś takiego powiedział. Później — zmarszczyła brwi, mobilizując pamięć — oświadczył, że trzeba być w gronie licznej rodziny, by odpowiednio powitać Boże Narodzenie. Następnie przeszedł do pieniędzy, których, jak twierdził, będzie potrzebował w przyszłości znacznie więcej. Zapowiedział George'owi i Magdalenie, że muszą żyć oszczędniej, a ona powinna sama sobie szyc stroje. Pomysł raczej nie na te czasy, obawiam się. Wspomniał, że jego własna żona zręcznie posługiwała się igłą i nitką.

— Czy tyle tylko powiedział o swojej żonie?

— Wygłosił też obrzydliwą uwagę o jej możliwościach umysłowych. Mój mąż, tak ogromnie oddany matce, poczuł się dotknięty do żywego. Wtedy nagle teść zaczął na nas krzyczeć. Był coraz bardziej rozjuszony. Mogę zrozumieć, oczywiście, jak on się czuł...

— A jak się czuł? — przerwał jej cicho Poirot.

Zwróciła ku niemu swoje spokojne oczy.

— Był nieszczęśliwy, że nie ma ani jednego wnuka, że po mieczu ród Lee wygasa. Musiało go to gnębić od długiego czasu, a w tym momencie nie mógł opanować wściekłości i zwymyślał swoich

synów. Nazwał ich łamagami i ofermami, starymi babami. Współczułam mu, bo zrozumiałam, że brak wnuka ranił jego dumę.

— A potem?

— A potem wszyscy wyszliśmy.

— Więcej go już pani nie widziała?

— Nie.

— Gdzie była pani, gdy popełniono morderstwo?

— Byłam z mężem w saloniku muzycznym. Grał mi na fortepianie. Nagle usłyszeliśmy hałas wywracanych mebli na piętrze, brzęk tłuczonego szkła, odgłosy jakiejś strasznej walki i wreszcie ten potworny krzyk, kiedy podrywano mu gardło...

— Czy to naprawdę był taki straszny krzyk? Czy brzmiał jak... krzyk potępieńca? Jęk duszy potępionej?

— Jeszcze straszniej!

— ???

— To był krzyk istoty, która nie ma duszy... Coś nieludzkiego, wrzask potwora.

— A więc... pani go osądziła, *madame*? — powiedział z powagą Poirot.

Hilda machnęła bezradnie ręką. Spuściła oczy i patrzyła w podłogę.

Pilar weszła do pokoju z czujnością zwierzęcia, które zwęszyło pułapkę. Rzuciła szybkie spojrzenia na lewo i prawo. Wyglądała nie tyle na wystraszoną, ile niezwykle nieufną.

Pułkownik wstał i podsunął jej krzesło.

— Przypuszczam, że pani rozumie język angielski, panno Estravados?

— Oczywiście — Pilar zrobiła wielkie oczy — przecież moja matka była Angielką. Więc w gruncie rzeczy ja też jestem prawdziwą Angielką.

Uśmiech pojawił się na twarzy pułkownika Johnsona. Prawdziwa Angielka! No rzeczywiście; z tymi czarnymi, lśniąco-ciemnymi włosami, ciemnymi oczami i bujnością czerwonych warg!

— Simeon Lee był pani dziadkiem. Napisał do Hiszpanii, wysłał zaproszenie. I pojawiła się pani tutaj przed paroma dniami. Zgadza się?

— Tak było — Pilar kiwnęła głową. — Miałam mnóstwo przygód podczas podróży z Hiszpanii. Na szofera spadła bomba i z głowy została mu tylko krwawa plama. A ja nie umiem prowadzić auta i musiałam iść kawał drogi na piechotę, czego strasznie nie lubię. Okropnie bolały mnie nogi...

— W końcu jednak jakoś tu pani dotarła — uśmiechnął się Johnson. — Panno Estravados, czy matka często wspominała pani dziadka?

— O, tak. Nazywała go starym czortem.

Teraz uśmiechnął się również Poirot.

— A co pomyślała pani — spytał — widząc go tutaj na własne oczy, *mademoiselle*?

— Ze jest bardzo stary, siedzi cały czas w fotelu i twarz ma ogromnie pomarszczoną. Ale spodobał mi się. Myślę, że musiał być przystojny za młodu, bardzo przystojny... tak jak pan — Pilar ze szczerą lubością wpiła się oczami w twarz inspektora Sugdena, którą zalał ceglasty rumieniec.

Pułkownik Johnson z trudem ukrywał rozbawienie; Sugden, ten wielki, rutynowany policjant zupełnie zapomniał języka w gębie.

— Ale nigdy, oczywiście, nie był taki wysoki — uzupełniła z ubolewaniem Pilar.

— Podobają się pani wysocy mężczyźni, *señorita*? — westchnął Herkules Poirot.

— Och, tak. Podobają mi się wysocy, potężni, barczyści i bardzo, bardzo silni.

— Dużo czasu spędzała pani z dziadkiem po przybyciu tutaj? — Johnson wyrwał Pilar z rozmarzenia.

— Och, tak, przesiadywałam z nim. Opowiadał mi różne rzeczy, jaki był z niego ladaco, o tym, co robił w Afryce Południowej.

— Czy powiedział o diamentach, które trzymał w sejfie?

— Tak, pokazywał mi je. Ale one w ogóle nie wyglądały jak diamenty, tylko jak zwykłe kamyki i były bardzo brzydkie. Naprawdę.

— A nie dał pani ani jednego? — zainteresował się inspektor Sugden.

— Nie, nie dał. Myślę, że może pewnego dnia dostałabym parę, gdybym była bardzo miła i często przychodziła do niego na pogaduszki. Bo starsi panowie bardzo lubią młode dziewczyny.

— Czy pani wie, że te diamenty zostały skradzione? — spytał pułkownik Johnson.

— Skradzione? — Pilar wybałuszyła oczy.

— Tak. Domyśla się pani, kto mógłby to zrobić?

— Och, tak. To Horbury.

— Horbury? Ten służący?

— Tak.

— A czemu podejrzewa pani akurat Horbury'ego?

— Bo on ma złodziejstwo wypisane na gębie. Te rozbiegane oczka... Poza tym podsłuchuje pod drzwiami i chodzi cicho jak kot, a wszystkie koty to złodzieje.

— Aha — powiedział pułkownik Johnson. — Przejdźmy teraz do popołudniowego spotkania w pokoju pani dziadka. Czy nie było to coś w rodzaju awantury?

— Tak — uśmiechnęła się Pilar. — Było czego posłuchać.

Dziadek strasznie ich wkurzył!

— A, więc podobało się pani?

— Tak. Lubię patrzeć, jak ludzie się złoścą, bardzo lubię. Ale tutaj, w Anglii, to jest nic. W Hiszpanii, tam umieją się awanturować! Wymachują nożami, klną i wrzeszczą. A w Anglii? Robią się tylko czerwoni na twarzy i to właściwie wszystko, nawet się nie wyzywają.

— Pamięta pani, o czym była wówczas mowa?

— Tylko trochę. Dziadek powiedział, że oni są do kitu, bo nie mają dzieci. Dziadek powiedział, że jestem lepsza od nich wszystkich. Lubił mnie, bardzo.

— Czy mówił coś o pieniądzach albo o testamencie?

— O testamencie? Nie... chyba nie. Nie pamiętam.

— I jak to się skończyło?

— Wszyscy wyszli. Oprócz Hildy, tej grubej, żony Davida. Ona została.

— Naprawdę została?

— Tak. A David wyglądał strasznie śmiesznie. Trząśł się cały i był blady jak płótno! Myślałam, że zaraz zemdleje.

— Co było potem?

— Wyszłam i odnalazłam Stephena. Tańczyliśmy przy gramofonie.

— Ze Stephenem Farrem?

— Tak. On jest z Afryki Południowej. To syn człowieka, który był współnikiem dziadka. Stephen też jest bardzo przystojny. Wysoki, ma oliwkową cerę i ładne oczy.

— Gdzie pani była w chwili, gdy popełniono zbrodnię?

— Poszłam do salonu z Lydią, a potem do swojego pokoju, żeby się umalować. Chciałam jeszcze potańczyć ze Stephenem. I wtedy, gdzieś z daleka, usłyszałam krzyk, potem wszyscy zaczęli biec, więc ja też. Drzwi do pokoju dziadka trzeba było wyłamać. Harry i Stephen to zrobili, obaj są bardzo silni.

— A w pokoju?

— Straszny widok. Wszystko rozwalone i powywracane. Dziadek leżał w kałuży krwi z gardłem poderżniętym o tak — Pilar dramatycznie przejechała dłonią po szyi — aż po ucho.

Tu zrobiła pauzę, wyraźnie podobała jej się własna opowieść.

— Nie poczuła się pani słabo na widok krwi?

— Nie, dlaczego? Zawsze jest krew, jak ktoś jest zabity. Krwi było pełno, wszędzie!

— Czy ktoś coś powiedział? — spytał Poirot.

— David odezwał się dziwacznie. Powiedział: „Młyny boże...”. Co to by miało znaczyć? Młyny mielą ziarno na mąkę, prawda?

— Myślę, że to na razie wszystko, panno Estravados — skwitował pułkownik Johnson.

— Wobec tego pójdę sobie — Piłar podniosła się posłusznie i wszystkim po kolei posłała czarujący uśmiech.

— „Młyny boże mielą powoli, ale dokładnie”. I to powiedział David Lee! — westchnął pułkownik Johnson.

Gdy drzwi otworzyły się ponownie, pułkownikowi Johnsonowi zdawało się przez chwilę, że to Harry Lee stanął w nich raz jeszcze. Był to jednak Stephen Farr.

— Obawiam się, że niewiele panom pomogę — powiedział Farr, przenosząc spojrzenie chłodnych, inteligentnych oczu z pułkownika na inspektora i Poirota — ale spróbuję odpowiedzieć na wszystkie pytania. Może na wstępie powiem, kim jestem. Mój ojciec, Ebenezer Farr, był współnikiem Simeona Lee w Afryce Południowej, ponad czterdzieści lat temu. Wiele opowiadał mi o panu Simeonie, z tych wspomnień wynikało, że był to człowiek niezwykle. Wywiózł do Anglii fortunę, a mój ojciec pozostał w Afryce, też z niezłym majątkiem. Tato powtarzał mi zawsze, że kiedy znajdę się w Wielkiej Brytanii, muszę odwiedzić Simeona Lee. Obawiałem się, że on może nie pamiętać, kim jestem. To wszystko było tak dawno temu... Ale ojciec powiedział mi, że nie zapomina się takich przeżyć, jakich doświadczyli z Simeonem. Ojciec zmarł parę lat temu. W tym roku po raz pierwszy w życiu przyjechałem do Anglii i postanowiłem spełnić życzenie ojca i pojawić się u Simeona Lee.

Uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— Trochę się obawiałem tej wizyty, ale niepotrzebnie. Pan Lee powitał mnie serdecznie i nalegał stanowczo, bym pozostał tu na całe Boże Narodzenie. Czulem się trochę zakłopotany, bo to taka rodzinna okazja, ale on nie chciał słyszeć o odmowie. Wszyscy byli bardzo mili dla mnie. Pan Alfred Lee i jego żona, trudno wyobrazić sobie lepsze przyjęcie. Toteż tym bardziej jest mi ogromnie przykro, że spadło na nich takie wielkie nieszczęście.

— Jak długo pan tu jest, panie Farr?

— Od wczoraj.

— Czy dzisiaj widział pan Simeona Lee?

— Tak. Pogawędziliśmy trochę z rana. Był w dobrym nastroju. Chciał uzyskać ode mnie wiadomości o różnych osobach i miejscach.

— I wtedy widział go pan po raz ostatni?

— Tak.

— Czy wspominał panu o sporej liczbie nieoszlifowanych diamentów, które trzymał w sejfie?

— Nie. Czy to znaczy, że było to morderstwo na tle rabunkowym?

— Nie jesteśmy jeszcze pewni — odrzekł Johnson.

— Przejdźmy teraz do wydarzeń tego wieczoru. Proszę mi powiedzieć, co robił pan wieczorem?

— Po wyjściu pań z jadalni byłem tam jeszcze przez chwilę, piłem porto. Ponieważ jednak panowie rozmawiali o sprawach rodzinnych, uznałem, że jako obcy... Przeprosiłem i wyszedłem.

— Dokąd pan poszedł?

Stephen Farr przez chwilę pocierał wskazującym palcem podbródek. Wreszcie powiedział raczej obojętnym tonem:

— Ja... hm... poszedłem do dużego pokoju z parkietem. Coś jak sala balowa. Jest tam gramofon i płyty z melodiami do tańca. Puściłem jakąś muzykę.

— Czekał pan, być może, że ktoś do pana dołączy? — spytał Poirot.

— Tak, czekałem. Zawsze warto mieć nadzieję — Farr uśmiechnął się.

— *Señorita Estravados* jest śliczna — zauważył Poirot.

— Niczego ładniejszego nie widziałem od chwili, gdy przybyłem do Anglii — oświadczył Stephen.

— Czy więc panna Estravados przyszła do pana? — spytał pułkownik Johnson.

Stephen pokręcił głową.

— Byłem w tej sali, gdy rozległ się okropny hałas. Wskoczyłem na korytarz i popędziłem jak szalony ku schodom, by zobaczyć, co się stało. Razem z Harrym Lee rozbiliśmy drzwi.

— I to jest wszystko, co ma pan nam do powiedzenia?

— Obawiam się, że absolutnie wszystko.

— Ja jednak myślę, *monsieur* — odezwał się cicho Poirot — że mógłby pan nam jeszcze sporo powiedzieć, gdyby pan chciał.

— O czym? — spytał ostro Farr.

— Mógłby pan powiedzieć o czymś bardzo istotnym w tej sprawie: o charakterze pana Lee. Chyba pan sporo zapamiętał ze wspomnień ojca.

— Myślę, że wiem, do czego pan zmierza. Jaki był Simeon Lee w młodości? Oczekuje pan szczerzej odpowiedzi?

— Tak właśnie, jeśli łaska.

— Zacznę od tego, że Simeona Lee trudno uznać za wzór cnót. Nie chcę powiedzieć, że był oszustem czy w inny sposób naruszał prawo, ale bardzo często ocierał się o jego granicę. Miał jednak wielki urok i był zdumiewająco hojny. Kto, będąc w tarapatkach, zgłosił się do niego, nigdy nie prosił na darmo. Nie wylewał za kołnierz, ale nie był pijakiem. Miał poczucie humoru, podobał się kobietom.

Ale trzeba też powiedzieć, że Simeon Lee to był człowiek okropnie mściwy. Ojciec opowiadał mi parę historii o tym, jak jego przyjaciel latami czekał na sposobność do wyrównania rachunku. Czas nie osłabiał w nim żądzę odwetu.

— Zawsze jest ta druga strona — zauważył inspektor Sugden. — Czy nie wiadomo panu, panie Farr, o kimś, może podobnie mściwym i pamiętliwym, kto miałby rachunki do wyrównania z Simeonem Lee? Czy jest jakaś sprawa z przeszłości, wyjaśniająca zbrodnię popełnioną tutaj dzisiaj wieczoru?

— Naturalnie miał wrogów — pokręcił głową Farr — taki ktoś jak on musi mieć wrogów. Nie wiem jednak nic o żadnym mścicielu ani też powódzie do zemsty. Poza tym — Stephen przymrużył oczy — wiem, bo pytałem Tressiliana, że nie było tu dzisiaj nikogo obcego.

— Z wyjątkiem pana, *monsieur* Farr — wtrącił Poirot.

Stephen obrócił się szybko ku niemu.

— Ach tak? Więc to ja mam być podejrzany jako obcy? Nie znajdziecie nic na potwierdzenie. Simeon Lee nie wyrządził Ebenezerowi Farrowi żadnych krzywd, które po tylu latach miałyby wyrównywać jego syn! Nie, nie było żadnego konfliktu między współnikami. Przybyłem tu, jak powiedziałem, z czystej ciekawości. A płyty, krótkie przecież, które puszczałem, są zupełnie niezłym alibi. Puszczałem je bez przerwy, ktoś to musiał słyszeć. Jedna płyta nie kręci się tak długo, bym zdążył przebiec po schodach, potem przez ten kawał korytarza na piętrze, poderżnąć staruszkowi gardło, sprać krew z ubrania i pojawić się pod drzwiami jeszcze przed resztą domowników! To zupełny nonsens!

— My pana o nic nie oskarżamy, panie Farr — zapewnił pułkownik Johnson.

— Wydawało mi się, że pan Herkules Poirot jednak mnie oskarża.

— Och, to przykro mi — Poirot uśmiechnął się dobrotliwie do Farra, któremu jednak złość nie mijała.

— Dziękujemy panu, panie Farr — odezwał się pośpiesznie pułkownik Johnson. — To chwilowo wszystko. Pan, oczywiście, pozostanie na razie w tym domu.

Stephen Farr kiwnął głową i wyszedł swobodnym, kołyszącym krokiem.

— Tego dżentelmena trzeba dokładnie sprawdzić — powiedział pułkownik, gdy tylko drzwi się zamknęły. — Wygląda na to, że mówi szczerze, ale to jest człowiek z najmniej znaną nam kartoteką. Mógł wykorzystać tę historię współpracy ojca z Simeonem jako sposób na wślizgnięcie się

tutaj, a potem buchnąć diamenty. Sugden, lepiej zdejmijcie mu odciski palców. Trzeba sprawdzić, czy nie był notowany.

— To już zrobione.

— Dobrze, Sugden, widzę, że nie przeoczył pan istotnych rzeczy. A inne czynności?

— Poleciałem sprawdzić rozmowy telefoniczne — wyliczał na palcach inspektor — następnie Horbury’ego, kiedy wyszedł, czy ktoś go widział. Dalej: kto inny wychodził i wchodził, kiedy. Zwłaszcza służba. Kazałem zbadać sytuację finansową wszystkich członków rodziny, skontaktować się z prawnikiem w sprawie testamentu. I wreszcie przeszukać cały dom w poszukiwaniu narzędzia zbrodni i śladów krwi, a także ukrytych diamentów.

— No, to chyba wszystko, co podpowiada rutyna — stwierdził z aprobatą pułkownik Johnson.
— Czy ma pan jakieś sugestie, Poirot?

— Pan inspektor naprawdę nie zapomniał o niczym — pochwalił Poirot.

— Szukanie diamentów w takim domu to nie żarty. W życiu nie widziałem tylu zakamarków, ozdóbek, bibelotów — stęknął Sugden.

— Tak, nie brakuje tu schowków — zgodził się Poirot.

— I nie ma pan absolutnie żadnych sugestii, Poirot? — szef policji wyglądał jak rozczerowany właściciel psa, któremu nie chce się demonstrować wyuczonej sztuczki.

— Czy panowie pozwolą mi działać po swojemu? — spytał Poirot.

— Naturalnie... naturalnie — bąknął Johnson, a inspektor Sugden spytał raczej podejrzliwie:

— Co to znaczy „po swojemu”?

— Chciałbym porozmawiać sobie jeszcze, i to nie jeden raz, z tymi ludźmi.

— Chce pan ich jeszcze raz przesłuchiwać? — zdziwił się pułkownik.

— Nie, nie. Nie przesłuchiwać! Porozmawiać!

— Dlaczego? — rzucił pytanie Sugden.

— W rozmowie wyjaśniają się pewne rzeczy. Podczas długiej rozmowy bardzo trudno jest ukryć prawdę!

— Więc pan sądzi, że ktoś kłamie? — spytał Sugden.

— *Mon cher*, każdy kłamie. Warto oddzielać niewinne łgarstwa od kłamstw istotnych.

— Ale przecież to nieprawdopodobne! — wykrzyknął pułkownik. — Jest to przypadek wyjątkowo okrutnego morderstwa i kogo mamy do wyboru w charakterze podejrzanych? Alfreda Lee i jego żonę; ludzi miłych, spokojnych, o znakomitych manierach. George’a Lee, powszechnie szanowanego posła do parlamentu. Jego żonę, śliczny okaz nowoczesnej kobietki. Łagodnego niczym baranek Davida Lee, który na widok krwi mdleje, jak wspominał jego brat Harry. Żona Davida wydaje się samą przyzwoitością. Pozostaje siostrzenica z Hiszpanii i facet z Afryki Południowej. Iberyjskie piękności odznaczają się temperamentem, ale jakoś trudno mi wyobrazić sobie to czarujące stworzenie w scenie zarzynania staruszka, zwłaszcza że Pilar miała wyłącznie powody, by chronić życie dziadka, przynajmniej do chwili kiedy podpisze testament w nowej wersji. Stephen Farr? To jest pewna możliwość; zawodowy przestępca, który przybył tu, by ukraść diamenty. Staruszek spostrzegł ich utratę, więc Farr podciął mu gardło, żeby rzecz się nie wydała. Tak mogło być, alibi z gramofonem jest takie sobie.

Poirot pokręcił głową.

— Drogi przyjacielu, niech pan tylko porówna posturę Farra i Simeona. Gdyby Farr chciał go zabić, zrobiłby to bez trudu w parę sekund. To kwestia jednego ciosu. Czy można uwierzyć, że lichy, zasuszony staruszek toczył zażartą walkę z takim okazem mężczyzny, walkę, w której trakcie powywracali masywne meble i wytlukli całą porcelanę? W tym nie ma odrobiny prawdopodobieństwa!

— Czy chce pan powiedzieć — oczy Johnsona zwięziły się — że to jakiś cherlawy mężczyzna zabił Simeona Lee?

— Albo kobieta? — dołączył się do pytania Sugden.

Pułkownik Johnson spojrział na zegarek.

— Chyba nie mam tu już nic więcej do roboty. Doskonale pan sobie ze wszystkim radzi, Sugden. A, jeszcze jedno. Powinniśmy wezwać tu kamerdynera. Wiem, że pan go przesłuchiwał, ale teraz mamy lepszą orientację w wydarzeniach. Musimy zweryfikować niektóre informacje podane przez przesłuchiwanym.

Tressilian wszedł wolnym krokiem. Szef policji poprosił go, by usiadł.

— Dziękuję panu, sir. Chętnie usiądę, jeżeli można. Jestem bardzo zmęczony, ogromnie zmęczony. Moje nogi, sir, moja głowa, wszystko mnie boli.

— Tak, przeżył pan prawdziwy szok — powiedział ze współczuciem Poirot.

— Taka zbrodnia — wzdrygnął się kamerdyner. — W tym domu! Przecież zawsze był tu spokój.

— To był spokojny dom, tak? — podchwycił Poirot. — Ale czy szczęśliwy?

— Nie, tego bym nie powiedział, sir.

— A dawniej, gdy mieszkała tu cała rodzina, czy wtedy był to dom szczęśliwy?

— Być może — odpowiedział po krótkim namyśle Tressilian — nie było tu idealnej harmonii, sir.

— Pani Lee była raczej słabego zdrowia?

— Tak, wiecznie chorowała.

— Czy dzieci ją kochały?

— Pan David ogromnie był do niej przywiązany, bardziej może jak córka niż jak syn. Po jej śmierci załamał się, nie mógł żyć dłużej w tym miejscu.

— A pan Harry? Jaki był?

— O, to był hulaka w młodości, ale serce miał złote. O Boże, co za chwila, zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje, kiedy rozległ się dzwonek, a potem jeszcze raz, taki niecierpliwy, ja otwieram, a tu obcy mężczyzna. I nagle słyszę głos pana Harry'ego: „Witaj, Tressilian, ty wciąż tutaj?” Taki sam jak zawsze.

— No tak, to musiało być przeżycie — przytaknął ze zrozumieniem Poirot.

— Czasem wydaje mi się — Tressilian zaróżowił się lekko na policzkach — że przeszłość powraca! W Londynie grali kiedyś sztukę na ten temat. Coś w tym jest, sir, naprawdę. Takie ma się wrażenie, że to już było, że już się coś przeżywało. Znowu dzwonek, idę otworzyć, a tam pan Harry i nawet jeśli jest to naprawdę pan Farr lub jakaś inna osoba, mówię sobie: przecież to już było...

— To bardzo interesujące, bardzo interesujące — powiedział Poirot.

Nieco zniecierpliwiony Johnson odchrząknął i zabrał głos:

— Chcę posprawdzać pewne szczegóły zeznań paru osób. Gdy zaczęły się te hałasy na piętrze, w jadalni był tylko pan Alfred z panem Harrym?

— Naprawdę nie potrafię powiedzieć, sir. Wszyscy panowie siedzieli tam, gdy podawałem kawę, ale to było chyba kwadrans wcześniej.

— Pan George Lee telefonował. Czy pan może to potwierdzić?

— Zdaje się, że ktoś dzwonił, bo przy podnoszeniu słuchawki z widełek u mnie w kredensie słychać brzęczenie. Pamiętam, że ten brzęczyk się wtedy odzywał, ale nie zwracałem na to uwagi.

— Nie pamięta pan dokładnie, kiedy to było?

— Nie potrafię powiedzieć, sir. Pamiętam tylko, że wcześniej zaniósłem panom kawę.

— Czy wie pan, gdzie znajdowały się panie?

— Pani Lydia była w salonie, kiedy wchodziłem tam pozbierać filiżanki po kawie. Nie dalej niż dwie minuty później usłyszałem ten krzyk z piętra.

— Co robiła pani Lydia? — spytał Poirot.

— Stała przy zasłonie, odchyłała ją lekko i wyglądała za okno.

— I żadnej innej pani nie było w tym pokoju?

— Nie, sir.

— A gdzie były?

— Nie mam pojęcia, sir.

— Nie wie pan nic o innych osobach?

— Zdaje się, że pan David grał w saloniku muzycznym.

— Słyszał pan, jak gra?

— Słyszałem — kamerdyner znowu się wzdrygnął. — To było jak znak, jakiś omen, sir, tak

sobie pomyślałem potem. Bo on grał marsza żałobnego. Pamiętam, że od razu wtedy skóra mi ścierpła.

— A to ciekawe — szepnął Poirot.

— Teraz zajmijmy się Horburym, tym służącym — zarządził szef policji. — Czy jest pan gotów przysiąc, że o ósmej nie było go w domu?

— O tak, proszę pana. Pamiętam, że wyszedł zaraz po przybyciu pana Sugdena. Zapamiętałem ten moment, bo Horbury stłukł filiżankę.

— Stłukł filiżankę? — zainteresował się Poirot.

— Tak, proszę pana. Filiżankę ze starego serwisu z Worcester. Przez jedenaście lat podawałem w nich kawę i żadna się nie stłukła, a on wziął do rąk i od razu...

— Co właściwie robił Horbury z tymi filiżankami?

— Hm, on zasadniczo nie powinien ich w ogóle dotykać. Po prostu brał do ręki i oglądał, bo mu się podobały. Akurat wspomniałem o przyjsciu pana Sugdena i on tę filiżankę upuścił.

— Wymienił pan nazwisko, czy też użył pan słowa „policja”? — dopytywał się Poirot.

Tressilian wyglądał na zdziwionego.

— Wydaje mi się, że powiedziałem mu o przyjsciu inspektora policji.

— I w tym momencie Horbury upuścił filiżankę — powtórzył Poirot.

— To zastanawiające — przyznał pułkownik Johnson.

— Czy Horbury pytał, dlaczego inspektor przyszedł?

— Tak, spytał mnie, czego chce ten policjant. Powiedziałem mu, że inspektor kwestuje na sierociniec policyjny i poszedł w tej sprawie na piętro do pana Lee.

— Czy to uspokoiło Horbury'ego?

— Teraz, kiedy pan o to spytał, uświadomiłem sobie, że tak właśnie było. Horbury powiedział o panu Lee, że staruch nie jest przynajmniej kutwą, jakoś tak powiedział, zupełnie bez szacunku. I wtedy właśnie wyszedł.

— Którędy?

— Kuchennymi drzwiami.

— To się zgadza — potwierdził Sugden. — Kucharka i podkuchenna widziały, jak Horbury

przechodził przez kuchnię.

— A teraz, Tressilian, niech się pan zastanowi. Czy jest możliwe, by Horbury ukradkiem powrócił i wszedł do domu nie zauważony?

Stary kamerdyner pokręcił głową.

— Nie wiem, jak mógłby to zrobić. Wszystkie drzwi są zamykane od wewnątrz.

— Może miał klucz?

— Oprócz zamków są blokady wewnętrzne.

— To jak on wchodzi do domu?

— Ma klucz, ale tylko do drzwi kuchennych. Cała służba wchodzi tamtędy.

— Więc może Horbury tamtędy wrócił?

— Ale musiałby przejść przez kuchnię, a tam zawsze ktoś jest prawie do dziesiątej.

— To zdaje się rozstrzygać sprawę — zakonkludował pułkownik. — Dziękuję, Tressilian.

Stary sługa wstał i wyszedł, kłaniając się. Już po chwili jednak był z powrotem.

— Właśnie wrócił Horbury, sir. Chce go pan zobaczyć w tej chwili?

— Tak, proszę przysłać go tu natychmiast.

XVII

Sydney Horbury raczej nie miał miłej powierzchowności. Wszedł do pokoju, stał, pocierając jedną dłoń o drugą, i rzucał szybkie spojrzenia na wszystkich trzech mężczyzn. Nie wzbudzał zaufania. — Czy to pan jest Sydney Horbury? — spytał Johnson.

— Tak, sir.

— Osobisty służący zmarłego pana Lee?

— Tak, sir. Och, jakie to straszne, nie? Aż mi się słabo zrobiło, kiedy Gladys powiedziała mi o wszystkim. Biedny stary pan...

— Proszę tylko odpowiadać na pytania.

— Tak, oczywiście, sir.

— O której godzinie wyszedł pan dziś wieczór i gdzie pan był?

— Wyszedłem z domu tuż przed ósmą, sir. Byłem w kinie Superb, sir. To pięć minut stąd spacerkiem. Grali „Miłość w starej Sewilli”, sir.

— Czy ktoś widział tam pana?

— Młoda kasjerka, sir, ona mnie zna. I ten gość przy drzwiach, który sprawdza bilety, też mnie zna. No i... prawdę mówiąc, byłem w kinie z młodą damą, sir. Byłem z nią umówiony.

— Ach tak, nie był pan sam? Jak się nazywa ta osoba?

— Doris Buckle, sir. Pracuje w mleczarni, Combined Dairies, sir, przy Markham Road 23.

— Dobrze. Sprawdźmy. Z kina przyszedł pan prosto tutaj?

— Najpierw odprowadziłem moją młodą damę do domu, sir. Potem prosto tutaj. Zobacz pan, że wszystko było tak, jak mówię, sir. Nie mam z tym nic wspólnego. Byłem...

— Nikt pana nie oskarża — przerwał mu pułkownik Johnson.

— Oczywiście, sir. Ale to nie jest zbyt przyjemne, gdy w domu zdarza się morderstwo.

— Pewnie, że nie. Jak długo był pan na służbie u Simeona Lee?

— Trochę ponad rok, sir.

— Podobała się panu ta praca?

— Tak, sir. Byłem całkiem zadowolony. Płacili mi dobrze. Pan Lee miewał czasami humory, ale jestem przyzwyczajony do zajmowania się chorymi.

— To nie była pańska pierwsza praca w tym charakterze?

— Och nie, sir. Wcześniej byłem u majora Westa i u czciwego Jaspera Fincha...

— Te szczegółowe informacje poda pan później inspektorowi Sugdenowi. Teraz proszę mi powiedzieć, kiedy po raz ostatni widział pan Simeona Lee?

— To było około wpół do ósmej, sir. Codziennie o siódmej panu Lee przynoszono lekką kolację. Potem przygotowywałem mu już wszystko do spania. A on zasiadał w szlafroku przed kominkiem i kiedy miał na to ochotę, szedł do łóżka.

— O której godzinie kładł się zwykle?

— Różnie, sir. Czasami nawet już o ósmej, kiedy czuł się zmęczony. Ale czasem siedział do jedenastej, a nawet dłużej.

— Co robił, kiedy chciał się położyć?

— Zwykle dzwonił na mnie, sir.

— I pan przychodził pomóc mu?

— Tak, sir.

— Dzisiaj wieczorem miał pan jednak wychodne. W każdy piątek miał pan wolny wieczór?

— Tak, sir. Co piątek.

— A w piątki kto pomagał, gdy pan Lee chciał pójść spać?

— Mógł zadzwonić i wezwać Tressiliana albo Waltera.

— Nie był całkowicie niedołężny, mógł chodzić?

— Tak, proszę pana, z trudem, ale mógł. Cierpiał na artretyzm, reumatyzm. Raz mu było lepiej, raz gorzej.

— Nigdy nie chodził do innych pokojów?

— Nie, sir. Wolał być stale w jednym pokoju. Pan Lee miał skromne wymagania. Ten pokój jest duży i słoneczny.

— Pan Lee dostawał kolację o siódmej?

— Tak, sir. Kiedy skończył jeść, zabierałem tacę, a na biurku stawiałem sherry i dwa kieliszki.

— Dlaczego dwa?

— Tak sobie życzył.

— Codziennie?

— Nie. Od czasu do czasu. Zasadą było, że nikt z rodziny nie przychodził do pokoju pana Lee wieczorem, jeśli nie został zaproszony. Czasami chciał być sam. Kiedy indziej posyłał po pana Alfreda, jego żonę albo oboje naraz, by posiedzieli z nim po kolacji.

— Ale tego wieczoru nie posyłał po nikogo?

— Mnie nie posyłał.

— Nie czekał więc na nikogo z rodziny?

— Mógł zaprosić kogoś osobiście, *sir*.

— Naturalnie.

— Sprawdziłem, czy wszystko jest w porządku, życzyłem panu Lee dobrej nocy i wyszedłem.

— Czy dorzucił pan do ognia przed wyjściem? — spytał Poirot, a Horbury zawahał się chwilę, zanim odpowiedział.

— Nie, nie było potrzeby. Paliło się dobrze.

— Czy pan Lee mógł sam dołożyć do ognia?

— Och nie, *sir*. Może pan Harry Lee dokładał.

— Harry był w pokoju Simeona Lee, kiedy wchodził pan tam przed kolacją?

— Tak, *sir*. Wszedł, gdy ja wszedłem.

— Simeon i Harry byli w zgodzie?

— Pan Harry wydawał się w doskonałym nastroju, *sir*. Śmiał się do rozpuku z głową odrzuconą do tyłu.

— A starszy pan Lee?

— Nie odzywał się i był raczej zamyślony.

— Rozumiem. Chcę wiedzieć coś jeszcze. Co może pan powiedzieć o diamentach, które Simeon Lee trzymał w sejfie?

— Diamenty? *Sir*, ja nigdy nie widziałem żadnych diamentów.

— Pan Lee miał w sejfie nieoszlifowane diamenty. Musiał pan kiedyś widzieć, jak po nie sięgał.

— A, te śmieszne kamyczki? Tak, widziałem, że miał coś takiego w rękach raz czy dwa razy. Nie miałem pojęcia, że to są diamenty. Pokazywał je tej młodej cudzoziemce zaledwie wczoraj... a może to było przedwczoraj?

— Kamienie zostały skradzione — powiedział ostrym tonem pułkownik Johnson.

— Chyba nie myśli pan, że ja mam z tym cokolwiek wspólnego!

— Nie formułuję żadnych oskarżeń. Czy pan może powiedzieć coś o tej sprawie?

— O diamentach, *sir*, czy o morderstwie?

— O jednym i drugim.

Horbury myślał intensywnie. Obliznął zbiegłe wargi. Z oczu przeziarała mu niepewność.

— Ja nic nie wiem, *sir*.

— Nie usłyszał pan niczego w czasie wykonywania swoich obowiązków, co pomogłoby nam wyjaśnić tę sprawę? — spytał Poirot.

Horbury zamrugnął oczami.

— Nie, *sir*, chyba nie. Było małe nieporozumienie między panem Lee a paroma osobami z rodziny.

— Którymi osobami?

— Zauważyłem, że powrót pana Harry'ego Lee spowodował trochę kłopotów. Pan Alfred Lee był zły. Zdaje się, że trochę pospierał się na ten temat ze swoim ojcem. Ale pan Lee nie oskarżał pana Alfreda o kradzież diamentów. Nie, skąd! Jestem zresztą pewien, że pan Alfred nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Poirot spytał szybko:

— Kiedy pan Simeon rozmawiał z synem, wiedział już o zniknięciu diamentów, tak?

— Tak, *sir*.

Poirot przysunął się do przesłuchiwanego.

— Skąd pan to wie, Horbury? Przecież o kradzieży diamentów usłyszał pan dopiero przed chwilą od nas!

Horbury zrobił się czerwony jak burak.

— Nie ma co kłamać — poradził Sugden.

— Proszę mówić! Jak pan się dowiedział o kradzieży?

— Słyszałem, jak pan Lee mówił o tym do kogoś przez telefon — powiedział ponuro Horbury.

— Był pan przy tej rozmowie?

— Nie, byłem za drzwiami. Niewiele mogłem usłyszeć, tylko kilka słów.

— Więc co pan usłyszał, dokładnie? — spytał Poirot.

— Słyszałem słowa „diamenty”, „kradzież” i zdanie „nie wiem, kogo mógłbym podejrzewać”.
Aha, jeszcze dotarło do mnie „dziś wieczorem o ósmej”.

Inspektor Sugden kiwnął głową.

— Rozmawiał ze mną, chłopcze. Jakies dziesięć po piątej, tak?

— Tak jest, sir.

— Kiedy pan potem wszedł do pokoju, czy Simeon Lee wyglądał na przygnębionego?

— Tak, trochę, sir. Robił wrażenie zmartwionego i był taki jakiś... nieobecny.

— Bardzo zmartwionego? I wtedy obleciał pana strach?

— Panie Sugden, proszę tak nie mówić. Ja nie tknąłem żadnych diamentów. Naprawdę. I pan nie może mi nic udowodnić. Nie jestem złodziejem.

Inspektor niezbyt się przejął zapewnieniami Horbury'ego.

— To się okaże. — Sugden spojrzał pytająco na szefa policji, a gdy ten skinął głową, powiedział: — Na razie wystarczy, mój chłopcze. Nie będziemy już dzisiaj pana potrzebować.

Horbury ochoczo wybiegł z pokoju.

— Doskonała robota, panie Poirot — chwalił Sugden. — Pokazowo złapał go pan w pułapkę. Może ukradł, a może nie ukradł, ale kłamczuchem jest stuprocentowym!

— Paskudny typ — skrzywił się Poirot.

— Tak, szubrawiec — zgodził się Johnson. — Pytanie: co sądzić o jego zeznaniach?

— Są trzy możliwości — podsumował Sugden. — Pierwsza to taka, że Horbury jest złodziejem i mordercą. Druga: jest złodziejem, ale nie jest mordercą. I trzecia: Horbury to człowiek niewinny.

Wiele przemawia za pierwszą możliwością. Horbury podsłuchał rozmowę telefoniczną i zorientował się, że kradzież została wykryta. Wyczuł, że pan Lee podejrzewa właśnie jego. Obmyślił więc odpowiedni plan. Dopilnował, by jego wyjście z domu o ósmej zostało zauważone i zorganizował sobie alibi. Z kina łatwo się wymknąć niepostrzeżenie i powrócić przed końcem seansu. Musi być bardzo pewny tej dziewczyny, chyba nie boi się, że go sypnie. Jutro zobaczę, co mi się uda z niej wyciągnąć.

— A jak wszedł z powrotem do domu?

— To trudniejsza sprawa — przyznał Sugden. — Znalazł jakiś sposób. Powiedzmy, że któraś ze służących wpuściła go bocznym wejściem.

Poirot spojrzał na Sugdena ironicznie.

— A więc zdaje się całkowicie na łaskę dwóch kobiet. To jest krok ryzykowny z jedną, z dwiema to gwarancja wpadki.

— Niektórzy przestępcy myślą, że zawsze im się jakoś uda! Popatrzmy teraz na wariant drugi. Horbury tylko buchnął diamenty. Wyniósł je z domu tego wieczoru i być może przekazał jakiemuś współnikowi. Wygląda to na prawdopodobne. Trzeba jednak założyć równocześnie, że inny przestępca wybrał tę samą noc na dokonanie zabójstwa pana Lee. I zbrodniarz ten nie miał pojęcia o sprawie diamentów. Niby to możliwe, ale dziwny zbieg okoliczności. I wreszcie wariant trzeci z zupełnie niewinnym Horburym. Ktoś inny ukradł diamenty i zabił staruszka. Naszą rzeczą jest ustalenie prawdy.

Pułkownik Johnson ziewnął, popatrzył na zegarek i wstał.

— Och, mamy już prawie środek nocy. Lepiej zajrzyjmy jeszcze na koniec do sejfu. Może te cholerne diamenty leżą tam spokojnie. To by dopiero było...

Diamentów jednak nie było w sejfie. Dostali się do skarbczyka bez trudu po odnalezieniu kombinacji cyfr w notesie wyjętym z kieszeni szlafroka Simeona Lee, tak jak powiedział im Alfred. W sejfie znaleźli pusty woreczek irchowy i dokumenty, wśród których jeden tylko okazał się interesujący. Był to testament sporządzony przed piętnastoma laty. Po dłuższej sekwencji formułek prawnych następował jasny opis podziału majątku. Jego połowę otrzymywał Alfred Lee. Druga połowa w równych częściach przechodziła na pozostałe dzieci Simeona: Harry'ego, George'a, Davida i Jennifer.

Część IV — 25 grudnia

W jasnym słońcu świątecznego południa Poirot spacerował po ogrodach okalających Gorston Hall, zwaliste domisko, zbudowane solidnie i bez szczególnych ambicji architektonicznych.

Tutaj, po południowej stronie, ciągnął się szeroki taras, zamknięty po bokach cisowymi żywopłotami. Niewielkie rośliny wypełniały kwatery między kamiennymi płytami. Wzdłuż tarasu w równych odstępach były rozstawione misy z wyczarowanymi zręczną ręką miniaturami egzotycznych krajobrazów.

Poirot oglądał je z pewnym podziwem i zamruczał do siebie:

— *C'est bien imaginé, ça!*[11]

Gdy odwrócił się od tarasu, zobaczył dwie postacie zmierzające ku sadzawce odległej o jakieś trzysta metrów od domu. W jednej z osób rozpoznał natychmiast Pilar. Zrazu myślał, że towarzyszący jej mężczyzna to Stephen Farr, ale szybko zorientował się, że pomylił go z Harrym Lee. Harry najwyraźniej słuchał z wielką uwagą słów siostrzenicy. Co jakiś czas odrzucał głowę do tyłu, roześmiany, potem znowu pochylał się ku dziewczynie.

— Z pewnością nie wyglądają na pogrążonych w żałobie — mruknął Poirot.

Cichy dźwięk za plecami kazał mu się odwrócić. To była Magdalena Lee. Również spoglądała za oddalającą się parą. Promienny uśmiech skierowała do Poirota.

— Jaki piękny dzień, co za słońce! Aż trudno uwierzyć w koszmar ostatniej nocy, prawda, panie Poirot?

— Rzeczywiście, nie chce się wierzyć, *madame*.

— Po raz pierwszy w życiu stykam się bezpośrednio z tragedią — westchnęła Magdalena. — Dopiero teraz stałam się w pełni dorosła. Za długo byłam dzieckiem. To pewnie niedobrze — znowu westchnęła. — Pilar zachowała się w sposób nadzwyczaj opanowany. Przypuszczam, że to sprawa jej hiszpańskiej krwi. To wszystko jest bardzo dziwne, prawda?

— Co jest dziwne?

— To, że się pojawiła tak nagle. Wzięła się nie wiadomo skąd.

— Dowiedziałem się, że pan Lee od pewnego czasu prowadził poszukiwania wnuczki. Korespondował z konsulem w Madrycie i z wicekonsulem w Aliquara, gdzie zmarła matka Pilar.

— Musiał trzymać to w sekrecie — zdziwiła się Magdalena. — Alfred nie wiedział o niczym, ani Lydia.

Magdalena przysunęła się do Poirota. Wyczuł delikatny aromat jej perfum.

— Wie pan, panie Poirot, z przedwczesną śmiercią męża Jennifer, Estravadosa, wiąże się jakaś tajemnica. Tak niedługo po ślubie! Alfred i Lydia chyba coś wiedzą o tym. Nie całkiem czysta sprawa...

— To rzeczywiście smutne — zgodził się Poirot.

— Mój mąż uważa, a ja się z nim zgadzam, że rodzina powinna dowiedzieć się czegoś więcej o hiszpańskich krewnych Pilar. No bo jeżeli jej ojciec był przestępcą...

Urwała, ale Poirot nie podjął kwestii. Wydawał się całkowicie pochłonięty podziwianiem uroków zimy, jakie natura wyeksponowała na gruntach Gorston Hali.

— Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że sposób, w jaki zadano śmierć mojemu teściowi, to nie jest rzecz przypadku. To takie nieangielskie!

Zwrócił się ku niej powoli. W poważnych oczach Poirota Magdalena napotkała zwykłe zaniepokojenie.

— Aha, pani sądzi, że to hiszpański koloryt?

— Oni są przecież okrutni, prawdą? — w głosie Magdaleny brzmiał dziecięcy przestach. — No, choćby te walki byków!

— Chce pani powiedzieć, że to *señorita* Estravados poderznęła gardło własnemu dziadkowi? — spytał rozweselony Poirot.

— Och nie, panie Poirot! — gwałtownie zaprzeczyła Magdalena. — Wcale nie powiedziałam niczego takiego! Skąd!

— Dobrze, może nie powiedziała pani.

— Ale sądzę, że ona jest... że to jest podejrzana osoba. A co pan powie na przykład na to, że wczoraj wieczorem, tam w pokoju, ukradkiem podniosła coś z podłogi?

— Podniosła coś z podłogi? — w głosie Poirota nie było już rozweselenia.

— Tak, od razu, gdy tylko weszliśmy do pokoju — Magdalena złośliwie wykrzywiła dziecinne usteczka. — Rzuciła okiem dokoła, czy ktoś na nią nie patrzy i natychmiast złapała coś z podłogi. Ale cieszę się, że inspektor policji to zauważył i kazał jej oddać, co znalazła.

— Co to było, widziała pani, *madame*?

— Nie. Niestety, stałam za daleko. To było coś małego.

— Bardzo interesujące — mruknął do siebie Poirot i zmarszczył brwi.

— Uważam, że pan powinien o tym wiedzieć — dodała pospiesznie Magdalena. — My przecież nie mamy pojęcia o tym, jak Filar była wychowywana i jakie życie wiodła tam w Hiszpanii. — Zamilkła, a po chwili dodała: — Pójdę lepiej i zobaczę, czy nie trzeba pomóc Lydii, może są jakieś listy do napisania.

— Odeszła z uśmiechem zaspokojonej złości na wargach.

Poirot, pogrążony w myślach, pozostał na tarasie.

II

Na tarasie pojawił się ponurawy inspektor Sugden.

— Dzień dobry, panie Poirot. Nie jestem pewien, czy w tych okolicznościach można sobie życzyć wesołych świąt.

— Mon dier collègue[12], rzeczywiście nie wygląda pan radośnie.

— Mam nadzieję, że podobne Boże Narodzenie już mi się nie zdarzy.

— Coś nowego w sprawie, panie Sugden?

— Sprawdziłem sporo wątpliwych punktów z zeznań. Alibi Horbury'ego potwierdził bileter. Widział go wchodzącego do kina z dziewczyną, potem widział ich wychodzących po filmie. Mówi, że musiałby zauważyć Horbury'ego, gdyby opuszczał salę w czasie projekcji. I ta jego dziewczyna przysięga, że Horbury siedział koło niej przez caluteńki film.

Poirot uniósł brwi.

— Chyba więc alibi Horbury'ego jest pewne.

— Z dziewczynami to nigdy nie wiadomo — zauważył nieco cynicznie Sugden. — Skłamią w żywe oczy, byle tylko uratować chłopaka.

— Robią to z dobrego serca.

— Z dobrego serca czy z głupoty, co to ma do rzeczy? — burknął Sugden. — Przecież to utrudnia działanie wymiaru sprawiedliwości.

— Sprawiedliwość to bardzo dziwna rzecz. Zastanawiał się pan kiedyś nad tym?

— Dziwnie to pan mówi, panie Poirot.

— Wcale nie, ja tylko myślę logicznie. Ale nie ma co się spierać w tej materii. Uważa pan więc, że panienska z mleczarni nie mówi prawdy?

— Nie — Sugden pokręcił głową — wcale nie. W gruncie rzeczy sędzę, że ona mówi prawdę. To prosta dziewczyna, gdyby próbowała bujać, zorientowałbym się od razu.

— Ma pan doświadczenie?

— Otóż to, panie Poirot. Ktoś, kto spędził życie na wysłuchiwanie zeznań, z reguły czuje, czy delikwent mówi prawdę, czy kłamie. Myślę, że ta dziewczyna powiedziała prawdę, a jeśli tak, to znaczy, że Horbury nie mógł zabić starszego pana Lee, a my musimy przyjrzeć się rodzinie

zamordowanego.

Westchnął głęboko.

— Ktoś z nich popełnił tę zbrodnię, panie Poirot, ktoś z nich. Ale kto?

— Ma pan jakieś nowe informacje?

— Tak. Poszczyliło mi się trochę w sprawie telefonów. Okazało się, że George Lee dzwonił do Westeringham dwie minuty przed dziewiątą i rozmawiał niecałe sześć minut. I nie było żadnej innej rozmowy. Nie było drugiego telefonu do Westeringham ani nigdzie indziej.

— Bardzo interesujące — powiedział z uznaniem Poirot.

— Pan George Lee twierdzi, że właśnie zakończył rozmowę telefoniczną, gdy usłyszał hałas na piętrze. A naprawdę zakończył ją dziesięć minut wcześniej. Gdzie był przez te dziesięć minut? Jego żona twierdzi, że też dzwoniła, ale naprawdę nie dzwoniła. Gdzie była?

— Widziałem, że rozmawiał pan z nią, panie Poirot.

— Jest pan w błędzie!

— Jak to?

— Ja milczałem, to Magdalena Lee do mnie mówiła. Specjalnie przysłała do mnie, żeby powiedzieć o paru rzeczach.

— I co powiedziała?

— Chciała mi zwrócić uwagę na parę szczegółów, a mianowicie: na nieangielski charakter zbrodni, na przestępczą, być może, naturę przodków *señority* Pilar po mieczu oraz na to, że panna Estravados ukradkiem podniosła coś z podłogi, tam w pokoju, o dwa kroki od denata.

— Powiedziała panu o tym?

— Tak. Więc co znalazła *señorita* na podłodze?

Sugden westchnął.

— Nigdy by pan nie zgadł. Zaraz pokażę. To taka rzecz, która w powieściach kryminalnych oczywiście okazuje się kluczem do całej zagadki. Jeżeli pan zdoła zrobić z niej jakikolwiek użytek, to ja wycofuję się ze służby!

— Niech pan pokaże.

Sugden wyjął kopertę z kieszeni i wysypał na dłoń jej zawartość. Nikły uśmiech pojawił mu się na twarzy.

— Proszę bardzo. I co panu to da?

Na szerokiej dłoni inspektora leżał mały, trójkątny kawałek różowej gumy i niewielki drewniany kołeczek. Sugden uśmiechnął się szerzej, gdy Poirot wziął przedmioty do ręki i zmarszczył brwi.

— Przyda to się na coś, panie Poirot?

— Ten kawałek gumy mógł być wycięty z jakiejś kosmetyczki?

— Tak jest. To strzęp woreczka na gąbkę z pokoju pana Lee. Ostryymi nożyczkami ktoś wyciął trójkąt. Mógł to zrobić sam pan Lee. Ale po co? Horbury nie potrafi podać żadnego wyjaśnienia. Jeżeli chodzi o ten ćwiek, to jest podobny do sztyftów używanych w karcianej grze cribbage, ale one są na ogół z kości słoniowej. A tu mamy surowe drewno, trochę ostrugane.

— Bardzo interesujące — mruknął Poirot.

— Jeśli pan chce, proszę to zatrzymać — zaproponował uprzejmie Sugden. — Ja nie potrzebuję.

— Mon ami[13], nie chciałbym pozbawiać pana tych rzeczy!

— A czy cokolwiek one panu mówią?

— Muszę wyznać, że absolutnie nic!

— Wspaniale! — powiedział Sugden z przekąsem, chowając drobiazgi do kieszeni. — Idzie nam jak z płatką!

— Pani Magdalena Lee powiedziała, że Pilar podniosła te przedmioty z podłogi ukradkiem. Czy pan to potwierdza? Sugden zastanawiał się chwilę.

— Nie... — odpowiedział z wahaniem. — Nie wiem, czy można to tak określić. Ona nie wyglądała na winną, nic w tym rodzaju, ale rzeczywiście pozbierała te rzeczy szybko, nie zwracając na siebie uwagi. I nie zorientowała się, że spostrzegłem, co robi! Tego jestem pewien. Aż skoczyła, kiedy podszedłem do niej.

— A więc coś w tym jest — zadumał się Poirot. — Ale z czym te dwa drobne przedmioty można w ogóle powiązać? Kawałek gumy jest całkiem świeży. Nie był do niczego używany. Może to w ogóle nie ma żadnego znaczenia, a jednak...

— Pan może sobie rozmyślać o tym do woli, panie Poirot. Ja mam inne rzeczy na głowie — niecierpliwiał się Sugden.

— A w jakim punkcie jesteśmy według pańskiej oceny? — spytał Poirot.

— Zerknijmy na fakty — Sugden wyjął notes. — Zacznijmy od skreślenia osób, które nie mogły

popęlnić zbrodni. A więc Alfred i Harry Lee. Mają niepodważalne alibi. To samo pani Lydia, skoro Tressilian widział ją w salonie na minutę zaledwie przed nieszczęściem na górze. Tych troje jest poza podejrzeniami. Teraz pozostali. Tu jest lista — Sugden podał Poirotowi otwarty notes.

W chwili popełnienia zbrodni

George Lee ?

Magdalena Lee ?

David Lee grał na fortepianie w saloniku muzycznym (potwierdziła żona)

Hilda Lee była w saloniku muzycznym (potwierdził mąż)

panna Estravados była w swoim pokoju (brak potwierdzenia)

Stephen Farr puszczał płyty w sali balowej (trzy osoby słyszały muzykę gramofonową w pomieszczeniu dla służby za ścianą)

— I jakie wnioski? — spytał Poirot, zwracając notes.

— Z tego wynika, że Simeona Lee mógł zabić George Lee. Mogła to zrobić Magdalena Lee lub Pilar Estravados. Także David i Hilda Lee pozostają w kręgu podejrzanych, z tym że nie mogli oni popełnić zbrodni wspólnie.

— A więc kwestionuje pan alibi Davida i Hildy?

— Jasne! Mąż i żona? Przykładne małżeństwo? Potwierdzą sobie nawzajem każde alibi. Przysięgną na wszystko. Według mnie nie ulega wątpliwości, że ktoś grał na fortepianie w saloniku muzycznym. Mógł to być David Lee i pewnie to rzeczywiście był on, bo jest biegłym pianistą. Natomiast nie ma żadnego potwierdzenia, że Hilda również była w saloniku. Tylko zgodne zeznania obojga małżonków. Nie można wykluczyć jednak, że to Hilda grała, a tymczasem David Lee poszedł na piętro i zabił swojego ojca! To zupełnie co innego niż alibi z jadalni Alfreda i Harry'ego Lee.

Dwaj bracia tak mocno się nie cierpią wzajemnie, że nie ma mowy, by jeden krył drugiego.

— A co ze Stephenem Farrem?

— Pozostaje wśród podejrzanych, bo jego gramofonowe alibi jest trochę cienkie. Ale z drugiej strony, może to świadczyć o jego niewinności; po prostu nie miał powodu przygotowywać żelaznego alibi. Te na pierwszy rzut oka niepodważalne okazują się sfingowane w dziewięciu wypadkach na dziesięć!

— Wiem, o czym pan mówi — pokiwał głową Poirot. — To alibi faceta, któremu przez myśl nie przeszło, że będzie mu ono potrzebne.

— Otóż to! A poza tym trudno mi uwierzyć, by ktoś obcy był zamieszany w tę zbrodnię.

— Zgadzam się z panem — przytaknął pośpiesznie Poirot.

— To sprawa w rodzinie. Między krewniakami. Do tej krwi na dobre wmieszała się trucizna. Myślę, że nienawiść, znajomość zwyczajów... — Machnął ręką. — Nie wiem, to trudne!

Inspektor Sugden słuchał z szacunkiem, lecz nie wyglądało na to, by słowa Poirota zrobiły na nim większe wrażenie.

— Tak jest, panie Poirot. Ale dojdziemy, nie ma strachu, za pomocą eliminacji i logiki. Ustaliliśmy już, kto miał możliwość popełnić zbrodnię: George Lee, Magdalena Lee, David Lee, Hilda Lee, Pilar Estravados i, dodam jeszcze, Stephen Farr. A teraz sprawa motywu. Kto miał motyw, żeby wykończyć starego pana Lee? Tu przeprowadzimy następną eliminację. Pierwsza odpada panna Estravados. Zgodnie z obecnym testamentem nie dostaje ona nic w spadku po Simeonie Lee. Gdyby Simeon Lee zmarł wcześniej niż jego córka, część majątku zapisana Jennifer przeszłaby na Pilar. Ponieważ jednak stało się odwrotnie, część Jennifer przechodzi na jej rodzeństwo. A więc z pewnością w interesie panny Estravados leżało, by staruszek pozostał przy życiu. On ją od razu polubił i niewątpliwie w nowym testamencie zapisałby dziewczynie niezłą sumkę. Śmierć Simeona to dla niej wielka strata, a korzyści nie może oczekiwać żadnych. Zgadza się pan ze mną?

— Całkowicie.

— Pozostaje jeszcze możliwość, że poderżnęła dziadkowi gardło w szale, podczas awantury, ale wydaje mi się to niemal zupełnie nieprawdopodobne. Przecież polubili się natychmiast i po prostu za mało minęło czasu od przyjazdu dziewczyny, by się to mogło tak gruntownie zmienić. Dlatego uważam, że panna Estravados nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią, mimo że morderstwo popełniono w sposób zupełnie nieangielski, jak twierdzi pańska przyjaciółka Magdalena Lee.

— Proszę nie nazywać jej moją przyjaciółką — zaprotestował pośpiesznie Poirot — bo zacznę mówić o pańskiej przyjaciółce Pilar Estravados, na której jako mężczyzna zrobił pan wielkie wrażenie!

Poirot miał ponownie przyjemność oglądać, jak ceglasty rumieniec wpływa na oblicze funkcjonariusza, którego próżność została połechtana. To zawsze działa, pomyślał ze złośliwym

rozbawieniem.

— Pańskie wąsy są zaiste olśniewające... Proszę powiedzieć, czy używa pan specjalnej pomady?

— Pomady? A Boże broń!

— To czego?

— Niczego nie używam. One... po prostu rosną.

— Natura jest szczodra dla pana — Poirot westchnął i pogładził swój własny, czarny wąs. — Nawet najdroższe odświeżacze niszczą włos — mruknął.

Inspektor Sugden, nie wykazując zainteresowania kwestiami zarostu i fryzjerstwa, powrócił do sprawy zbrodni. — Ze względu na brak motywów do popełnienia tego morderstwa — mówił rzeczowym tonem — proponowałbym wyeliminować również Stephena Farra. Być może jego ojciec padł kiedyś ofiarą szachrajstwa Simeona Lee, ale nie wierzę, by Farr przyjechał wyrównać rachunki. Mówił o tej sprawie tak swobodnie i bez emocji. Nie sądzę, byśmy tu coś znaleźli.

— Nie sądzę, by pan znalazł — zawtórował Poirot.

— Jest jeszcze jedna osoba wielce zainteresowana obecnością Simeona Lee wśród żywych, przynajmniej przez jakiś czas — Harry. Wprawdzie okazało się teraz, iż figurował jako spadkobierca w testamencie, ale aż po dzień wczorajszy wszyscy byli pewni, że nie ma go na liście, że po odejściu z domu został wydziedziczony. Kiedy przyjechał na święta, wrócił do łask ojca i mógł się spodziewać nowego, korzystnego dla siebie zapisu. Głupcem byłby, mordując ojca w takim momencie. A poza tym wiemy już, że nie mógł tego zrobić. Jak pan widzi, idziemy do przodu, wyeliminowaliśmy już ładnych parę osób.

— Rzeczywiście. Niedługo nie będzie już nikogo!

— Ktoś będzie, nie ma obawy — zaśmiał się Sugden. — Pozostaje George i David oraz ich żony. Im wszystkim śmierć Simeona przynosi korzyści, a George Lee, jak zdołałem się dowiedzieć, bardzo pilnie potrzebuje pieniędzy. Co więcej, ojciec groził mu obcięciem pensji. Jest więc motyw, a wcześniej stwierdziliśmy, że George mógł dokonać zbrodni.

— Niech pan mówi dalej — Poirot słuchał z uwagą.

— A jego żona? Łasa na pieniądze jak kot na szperkę. I założyłbym się, że jest po uszy w długach. Diabelnie zazdrosna o tę małą z Hiszpanii, która błyskawicznie zawojowała Simeona. Magdalena usłyszała, że stary chce zmieniać testament, i uderzyła natychmiast. Można by z tego zrobić akt oskarżenia.

— Być może.

— Ale jest jeszcze David Lee i jego żona. Dostaną spadek zgodnie z obecnym testamentem, ale

nie sądzę, by w ich wypadku najistotniejszy był motyw majątkowy.

— Myśli pan, że nie?

— Myślę, że nie. David Lee wygląda na marzyciela, zrobić forszę — to nie jest chyba to, na co choruje. Ale on... on jest dziwny. Widzę trzy możliwe motywy tej zbrodni: komplikacje po kradzieży diamentów, testament i zwykłą nienawiść.

— A więc i to pan dostrzega?

— Naturalnie. Nienawiść jako motyw mam na uwadze przez cały czas. Jeżeli David Lee zabił swojego ojca, to na pewno nie dla pieniędzy. A gdyby to on był sprawcą, mielibyśmy odpowiedź na pytanie o krew, dlaczego tak dużo krwi!

— Tak — Poirot spojrzał na Sugdena z uznaniem — zastanawiałem się, jak spróbuje pan to wyjaśnić. „Aż tyle krwi”, to słowa pani Lydii. Nasuwają się skojarzenia ze starożytnymi rytuałami, z oczyszczeniem przez krew, z rozmazywaniem krwi ofiary...

— Uważa pan, że ktokolwiek to zrobił, był szaleńcem? — Sugden zmarszczył się.

— *Mon cher*, gdzieś głęboko w człowieku drzemią instynkty, których on sam nie jest świadom. Żądza krwi, nakaz złożenia ofiary!

— David Lee wygląda na spokojnego, łagodnego człowieka.

— Nie rozumie pan tajników psychiki, Sugden. David Lee żyje przeszłością, pamięć matki jest dla niego sprawą najważniejszą. Nie utrzymywał żadnych kontaktów z ojcem przez tak wiele lat, bo nie mógł mu wybaczyć złego traktowania matki. Przypuśćmy, że teraz przyjechał z intencją przebaczenia. Ale mogło się okazać, że do przebaczenia nie jest jednak zdolny. Wiemy na pewno, że kiedy David Lee stanął przy zwłokach ojca, jakaś część Davidowej duszy ucieszyła się, odczuła satysfakcję. Powiedział przecież: „Młyny boże mielą powoli, ale dokładnie”. Jest więc kara, jest odpłata! Zło karą wymazane!

— Niech pan już przestanie, panie Poirot — nagły dreszcz przeszedł Sugdena. — Umie pan napędzić stracha. Może tak było, jak pan mówi. W takim wypadku pani Hilda musi o wszystkim wiedzieć i stanie na głowie, by męża osłonić. W tej roli ją widzę, natomiast w charakterze morderczyni nie bardzo. Taka skromna, zwyczajna kobieta.

— Tak pan ją widzi? — Poirot patrzył na inspektora z zainteresowaniem.

— No, tak. Poczciwa, zacna. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Rozumiem doskonale.

— Panie Poirot, coś mi mówi, że pan ma już jakieś hipotezy w sprawie. Niech pan coś zdradzi.

— Mam pewne przypuszczenia — powiedział powoli Poirot — ale jeszcze raczej mgliste.

Chciałbym najpierw usłyszeć pańskie podsumowanie.

— Dobrze. Jak wyliczyłem, trzy motywy wchodzą w grę: nienawiść, chciwość i sprawa diamentów. Uporządkujmy wydarzenia chronologicznie. O wpół do czwartej rodzina zbiera się u Simeona Lee, który rozmawia przez telefon tak, żeby wszyscy słyszeli, a potem ich beszta, wyzywa i wyrzuca. Kładą uszy po sobie i wychodzą.

— Hilda Lee zostaje — przypomniał Poirot.

— Tak, na krótko. Następnie, koło szóstej, Alfred ma rozmowę z ojcem, nieprzyjemną rozmowę. Alfred jest niezadowolony, że Harry powraca na dobre. Oczywiście Alfred mógłby być naszym głównym podejrzanym, bo ma najsilniejszy motyw. Ale powróćmy do zdarzeń. Po Alfredzie przychodzi arogancki Harry. On uzyskał to, na czym mu zależało, miejsce przy ojcu. Ale przed spotkaniem z synami Simeon Lee stwierdził kradzież diamentów i zadzwonił do mnie. O zniknięciu diamentów nie powiedział żadnemu z synów.

Dlaczego? Bo był całkowicie pewien, że żaden z nich nie ma z kradzieżą nic wspólnego. Przypuszczam, że Simeon podejrzewał Horbury'ego i jeszcze jedną osobę. I wiem, co zamierzał zrobić. Zapowiedział kategorycznie, pamięta pan, że nie życzy sobie żadnych odwiedzin w pokoju tego wieczoru. Dlaczego? Bo przygotowywał się na dwie inne wizyty: moją i tej drugiej podejrzanej osoby od diamentów. Komuś kazał przyjść zaraz po kolacji. Komu? Kto to mógł być? George Lee? Bardziej prawdopodobne, że jego żona. I jeszcze jedna osoba pojawia się na scenie: Filar Estravados. Simeon pokazywał jej diamenty. Powiedział, ile są warte. Skąd wiemy, że ta dziewczyna nie jest złodziejką? Niech pan przypomni sobie te tajemnicze aluzje do niechlubnego postępowania jej ojca. Może był zawodowym złodziejem i w końcu trafił za to do więzienia.

— Więc powiada pan — odezwał się wolno Poirot — na scenie pojawia się Pilar Estravados...

— Tak, jako złodziejka. Nie ma innej możliwości. Mogła stracić głowę, gdy zobaczyła, że wszystko się wydało. Rzuciła się na dziadka i...

— To jest możliwe, owszem... — zgadzał się bez przekonania Poirot, a Sugden patrzył na niego przenikliwie.

— Ale pan widzi to inaczej, panie Poirot? Jakie są pańskie przypuszczenia?

— Ja powracam do mojego pytania o charakter ofiary. Jakim typem człowieka był Simeon Lee?

— Żadnych zagadek co do jego charakteru raczej nie ma.

— Więc niech mi pan powie, Sugden, co tutaj, w okolicy, było o nim wiadomo?

Inspektor gładził się po brodzie z powątpiewaniem. Wyglądał na zdezorientowanego.

— Ja właściwie nie jestem stąd. Pochodzę z Reeveshire, z sąsiedniego hrabstwa. Ale, oczywiście, pan Lee był znany dość szeroko. Znałem go ze słyszenia.

— I co o nim mówiono?

— Miał opinię twardej sztuki bez skrupułów, mało kto miał o nim lepsze zdanie. Ale też znany był z hojności. Trudno uwierzyć, że taki kutwa jak George Lee może być jego synem.

— W tej rodzinie zaznaczają się dwie linie. Alfred, George i David są podobni do matki. Oglądałem dziś rano portrety.

— Był bardzo popędliwy — inspektor Sugden powrócił do charakterystyki Simeona Lee. — Za młodu, rzecz jasna, uganiał się za dziewczynami, później zresztą też. Ale w razie kłopotu nie skąpił grosza i zazwyczaj wydawał dziewczuchę za męża. Żonę traktował źle, łajdaczył się z innymi kobietami, zaniedbywał ją. Mówią, że umarła ze zgrzyoty. To takie pospolite określenie, ale chyba oddaje prawdę, bo ta kobieta była bardzo nieszczęśliwa. Wiecznie chorowała i prawie nie wychodziła z domu. Bez wątplenia pan Lee miał dziwny charakter. Był mściwy i pamiętliwy. Jeżeli ktoś zrobił mu coś złego, mógł być pewien, że zemsta Simeona Lee osiągnie go, choćby po wielu latach.

— „Młyny boże miałą powoli, ale dokładnie” — zamruczał Poirot.

— Boże! Raczej diabelskie! — rzucił wzburzony inspektor Sugden. — Nic bożego w nim nie było. Można powiedzieć, że Simeon Lee zaprzedał duszę diabłu i cieszył się, że zrobił dobry interes! A jaki był pyszny! Pyszny jak Lucyfer!

— Pyszny jak Lucyfer! — powtórzył Poirot. — Ciekawa sugestia jest w tym, co pan mówi.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że Simeona Lee zamordowano, bo był pyszny? — inspektor patrzył na Poirota nieco zdezorientowany.

— Chcę powiedzieć, że pewne cechy się dziedziczy. Synowie Simeona Lee pychę przejęli po ojcu...

Urwał. Hilda Lee wyszła z domu i patrzyła na taras.

III

— Szukałam pana, panie Poirot.

Inspektor Sugden przeprosił i wszedł do budynku.

— Nie wiedziałam, że inspektor jest tutaj z panem. Myślałam, że rozmawia z Pilar. Inspektor wygląda na miłego człowieka, jest uprzejmy.

— Chciała pani porozmawiać ze mną?

— Myślę, że pan może mi pomóc.

— Z wielką radością, *madame*.

— Jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem, panie Poirot. Stwierdziłam to wczoraj wieczorem. Pan szybko rozgryza trudne sprawy. Chciałabym, żeby pan zrozumiał problem mojego męża.

— Tak, *madame*?

— Nie poszłabym z tą sprawą do inspektora Sugdena.

On by tego nie pojął. Ale pan na pewno zrozumie.

— Robi mi pani zaszczyt, *madame*.

— Mój mąż od dawna, właściwie przez wszystkie lata naszego małżeństwa jest psychicznym kaleką.

— Ach!

— Ofiara urazu fizycznego doznaje bólu i wstrząsu, ale powoli dochodzi do siebie, w miarę jak kości się zrastają, a rany goją. Rzadko pozostaje jakiś niedowład, częściej blizna, lecz generalnie rzecz mija. Mój mąż, panie Poirot, doznał urazu psychicznego w wieku, gdy jego odporność była jeszcze minimalna. Uwielbiał swoją matkę i patrzył na jej śmierć. Był pewien, że za tę tragedię odpowiedzialność moralną ponosi ojciec. Przeżyty szok pozostawił trwałe ślady w psychice Davida. Jego nienawiść do ojca nigdy nie wygasła. To ja przekonałam męża, że powinniśmy przyjechać tu na Boże Narodzenie, w nadziei, że pojedna się z ojcem. Pragnęłam tego ze względu na Davida, chciałam, by ta rana w jego psychice wreszcie się zagoiła. Teraz widzę, że wizyta tutaj była błędem. Simeon Lee zabawiał się, rozdrapując tę starą ranę. A było to... bardzo niebezpieczne...

— Czy pani chce mi powiedzieć, *madame*, że mąż pani zamordował swojego ojca?

— Chcę panu powiedzieć, że on to naprawdę mógł zrobić... I równocześnie informuję, że tego

nie uczynił! Gdy mordowano Simeona Lee, jego syn grał marsza żałobnego. W sercu miał pragnienie, by ojca zabić. Spływało mu po palcach na klawiaturę i gasło wraz z dźwiękami muzyki. Taka jest prawda.

Poirot milczał przez dłuższą chwilę, a potem zapytał:

— A jaki jest pani werdykt, *madame*, w tej sprawie sprzed lat?

— Mówi pan o śmierci żony Simeona Lee?

— Tak.

— Życie nauczyło mnie, by w żadnej sprawie nie sądzić po pozorach. Wydawałoby się, że za wszystko winę ponosi Simeon Lee, który traktował żonę haniebnie. Wiem jednak, że jest rodzaj uległości, predyspozycja do cierpiętnictwa, która w mężczyznach pewnego typu wyzwala najgorsze instynkty. Myślę, że Simeon Lee szanowałby, a może nawet podziwiał kogoś odważnego, z silnym charakterem. Łzy i potulność żony tylko go złościły.

— Pani mąż powiedział wczoraj wieczorem o swojej matce, że ona nigdy się nie skarżyła. Czy to prawda?

— Oczywiście, że nie! Bez przerwy wylewała żale przy Davidzie. Cały ciężar swojego cierpienia złożyła na wątłe barki syna. On był jeszcze o wiele za młody, by to wszystko udźwignąć!

Poirot patrzył na nią zamyślony. Zarumieniła się pod tym spojrzeniem i przygryzła wargę.

— Rozumiem.

— Co pan rozumie?

— Domyślam się, że musiała pani być matką dla swojego męża, a wolałaby być tylko żoną.

Hilda odwróciła się.

W tym momencie z domu wyszedł David i skierował się ku nim.

— Hildo, czyż to nie wspaniały dzień? Pogoda całkiem wiosenna — powiedział, podchodząc.

Głowę miał odrzuconą do tyłu, na czoło spadał mu kosmyk jasnych włosów, pobłyskiwały niebieskie oczy. Wyglądał zdumiewająco młodo, jak chłopiec. Zdawał się promieniować młodzieńczą bez troską.

— Chodźmy nad staw, Hildo — namawiał.

Uśmiechnęła się, wsunęła mu rękę pod ramię. Gdy odchodzili, odwróciła się i rzuciła Poirotowi szybkie spojrzenie. Troska była w tych oczach czy strach, zastanawiał się detektyw.

Herkules Poirot przechadzał się niespiesznym krokiem wzdłuż tarasu.

— Zawsze uważałem się za ojca spowiednika. A ponieważ kobiety chodzą do spowiedzi częściej niż mężczyźni, mam tego ranka kolejkę pań. Ciekawe, która następna?

Gdy zbliżył się ku końcowi tarasu, znalazł już odpowiedź na to pytanie. Pojawiła się tam Lydia Lee.

IV

— Dzień dobry, panie Poirot. Tressilian powiedział mi, że jest pan tutaj z Harrym, cieszę się wszakże, spotykając pana samego. Mąż chciał się z panem widzieć, ale boi się tej rozmowy.

— Ach tak? Czy powinienem pójść do niego teraz?

— Może trochę później. Nie spał całą noc, aż nad ranem dałam mu nalewkę nasenną. Nie chciałam go teraz budzić.

— Oczywiście, rozumiem. Bardzo dobrze pani zrobiła.

Zauważyłem wczoraj, że to był dla niego ogromny wstrząs.

— Widzi pan, panie Poirot, on naprawdę kochał ojca jak nikt inny.

— Tak, wiem.

— Czy pan albo inspektor macie jakieś podejrzenia co do sprawcy tej zbrodni?

— Wiemy już z dość dużą dozą pewności, kto jej nie popełnił.

— To naprawdę koszmarnie, nie mogę uwierzyć, że to prawda! A co z Horburym? Naprawdę był w kinie, tak jak mówił?

— Tak, *madame*, jego wyjaśnienia potwierdziły się. Mówił prawdę.

Lydia zatrzymała się i skubnęła gałązkę cisu. Lekko przybladła.

— Ale to straszne. Wobec tego pozostaje już tylko... rodzina!

— Właśnie.

— Panie Poirot, ja nie mogę w to uwierzyć!

— *Madame*, już pani w to wierzy!

Chciała zaprotestować, ale tylko uśmiechnęła się smutnawo.

— Hipokrytka ze mnie!

— Jeśli jednak będzie pani szczerą, przyzna pani, że nie ma w tym nic zaskakującego. Nie dziwi mnie, że to ktoś z najbliższej rodziny zamordował pani teścia.

— Och, jak można mówić takie straszne rzeczy, panie Poirot!

— A pani teść nie był strasznym człowiekiem?

— Biedny starzec. Teraz mi go żal, ale za życia wzbudzał we mnie tylko złość i niechęć.

— Wyobrażam sobie.

Poirot pochylił się nad jedną z kamiennych mis.

— Bardzo pomysłowe są te miniatury dalekich stron. Podobają mi się ogromnie.

— Cieszę się, że przypadły panu do gustu. A co pan sądzi o tym krajobrazie antarktycznym z pingwinami i górą lodową?

— Urocze. A to, co to jest?

— To jest Morze Martwe, to znaczy ma być, ale nie jest jeszcze skończone. Proszę lepiej popatrzeć tutaj na wybrzeże Korsyki. To miejsce nazywa się Piana. Różowe skały schodzą do błękitnego morza.

Lydia spojrzała na zegarek.

— Pójdę chyba sprawdzić, czy Alfred się nie obudził. Kiedy odeszła, Poirot cofnął się do kamiennej misy z nie dokończonym Morzem Martwym. Przyglądał się jej z wielkim zainteresowaniem. Podniósł kilka kamyczków i obracał je w palcach.

Nagle zmienił się na twarzy. Przysunął kamyki bliżej do oczu.

— *Sapristi!*[14] Ale niespodzianka! Co by to mogło oznaczać?

Część V — 26 grudnia

I

Szef policji i inspektor patrzyli z niedowierzaniem na Poirota, który podsunął im tekturowe pudełko z garścią kamyków w środku.

— Nie ulega wątpliwości. To diamenty — stwierdził Johnson. — I pan mówi, że znalazł je gdzie? W ogrodzie?

— Na tarasie. W jednej z tych kamiennych mis, w których pani Lydia wyczarowuje miniatury obcych krajów.

— Pani Lydia? Nie chce się wierzyć! — pokręcił głową Sugden.

— Przypuszczam, że na tej podstawie nie uzna pan jednak za prawdopodobne, że Lydia poderznęła gardło teściowi?

— Wiemy, że ona tego nie zrobiła — zaprzeczył pospiesznie Sugden. — Chciałem powiedzieć, że nie wydaje się również prawdopodobne, by Lydia ukradła diamenty.

— Rzeczywiście, trudno ją wziąć za złodziejkę.

— Każdy mógł ukryć diamenty na tarasie — przyznał Sugden.

— To prawda — potwierdził Poirot. — W misie, gdzie znalazłem diamenty, Lydia stworzyła akurat wybrzeże Morza Martwego, podobnych kamyków było tam więc sporo.

— Chce pan powiedzieć, że wcześniej przygotowała na nie miejsce? — spytał Sugden.

— Ani przez chwilę bym w to nie uwierzył — zaprotestował gorąco Johnson. — Po pierwsze, dlaczego miałyby brać te diamenty?

— No, jeżeli chodzi o to...

— Można znaleźć na to odpowiedź — wtrącił się Poirot.

— Wzięła te kamienie, by poszukiwania motywu morderstwa skierować na fałszywy trop. By zasugerować, że był to mord na tle rabunkowym. To znaczy wiedziała o planowanej zbrodni, chociaż sama nie brała w niej bezpośredniego udziału.

— To zupełnie nie wytrzymuje krytyki — Johnson zmarszczył brwi. — Robi pan z niej współniczkę, ale czyją? Lydia mogłaby być najwyżej współniczką swojego męża. A ponieważ wiemy, że on nie miał nic wspólnego z morderstwem, cała teoria upada.

— Tak — Sugden gładził się po brodzie. — Jeżeli pani Lydia zabrała diamenty, tu naturalnie wielki znak zapytania, to mogła to być tylko zwykła kradzież. I rzeczywiście mogła przygotować to

swoje Morze Martwe jako odpowiedni schowek na czas zamętu po zbrodni. Inna możliwość to zwykły zbieg okoliczności. Ta misa na tarasie z kamyczkami podobnej wielkości i koloru co diamenty mogła przyciągnąć uwagę złodzieja, bez względu na to, kim on był.

— Możliwe — zgodził się Poirot. — Nigdy nie wykluczam jednego zbiegu okoliczności.

— Pani Lydia to bardzo miła dama — dodał Sugden. — Nie wydaje się prawdopodobne, by była zamieszana w coś takiego, ale oczywiście nigdy nie wiadomo.

— W każdym razie — stanowczym tonem obwieścił Johnson — jakkolwiek rzeczy się mają z kradzieżą diamentów, pani Lee nie ma nic wspólnego z morderstwem. Kamerdyner widział ją na parterze w salonie dokładnie wtedy, gdy na piętrze dokonywała się zbrodnia. Pamięta pan o tym, Poirot?

— Tak. Nie zapomniałem.

Szef policji zwrócił się do swego podkomendnego:

— Ma pan coś nowego do zameldowania?

— Tak jest, sir. Mam parę nowych informacji. Zaczniemy od Horbury'ego. Już wiem, dlaczego boi się policji.

— Złodziejstwo, co?

— Nie, sir. Wymuszanie pieniędzy groźbami. Rodzaj szantażu. Został zwolniony z braku dowodów, ale podejrzewam, że to nie było po raz pierwszy. Ma nieczyste sumienie i dlatego wpadł w taki popłoch, gdy Tressilian powiedział mu o mojej wizycie.

— To znaczy, że Horbury już nas raczej nie interesuje. Co jeszcze?

Inspektor zakaszłał.

— Dowiedzieliśmy się co nieco o Magdalenie z lat, gdy nie była jeszcze żoną George'a Lee. Mieszkała z pewnym komandorem o nazwisku Jones. Podawała się za jego córkę, ale córką nie była. Stary Lee doskonale znał się na kobietach, ledwie na którą spojrział, a już wiedział, co za jedna. Tak dla zabawy, w ciemno, strzelił z tym oficerem marynarki przy całej rodzinie. I trafił w dziesiątkę!

— To może być dodatkowy motyw — głośno myślał pułkownik Johnson — oprócz pieniędzy. Może obawiała się, że Simeon Lee wie wszystko o przeszłości i rozbije jej małżeństwo. Sprawa rzekomego telefonu wieczorem. Hm, przecież ona nie dzwoniła.

— Może poprosimy ich tu razem i wyjaśnimy kwestię telefonu? — zaproponował Sugden.

— Dobra myśl — poparł go Johnson i zadzwonił po Tressiliana, który zjawił się natychmiast.

— Niech pan tu poprosi George'a Lee i jego żonę.

— Tak jest, *sir*.

Stary sługa odwrócił się do drzwi, ale zatrzymał go Poirot.

— Na kalendarzu, tam na ścianie, data jest wciąż z dnia zabójstwa?

Tressilian rzucił okiem na kalendarz i podszedł bliżej. Gdy był w odległości zaledwie pół metra, rzekł:

— Pan wybaczy, *sir*, ale dzisiaj mamy dwudziesty szósty grudnia i ta sama data jest na kalendarzu. Kartki są zrywane na bieżąco.

— Ach, rzeczywiście, przepraszam. Kto zrywa te kartki?

— Pan Alfred Lee. To jest jego gabinet. Zrywa kartkę codziennie rano. To bardzo systematyczny dżentelmen.

— Rozumiem. Dziękuję bardzo.

Tressilian wyszedł. Sugden był bardzo zaintrygowany.

— O co chodzi z tym kalendarzem, panie Poirot? — spytał.

— Czy ja coś przegapiłem?

— Kalendarz nie ma znaczenia — Poirot wzruszył ramionami. — To był tylko mały eksperyment.

— Jutro trzeba załatwić formalne orzeczenie przyczyn zgonu. Śledztwo oczywiście zostanie przedłużone — przypomniał pułkownik.

— Tak jest, *sir*. Rozmawiałem z koronerem, wszystko jest przygotowane — zapewnił Sugden.

II

George Lee z żoną wszedł do pokoju.

— Mam kilka pytań, które chciałbym zadać obojgu z państwa — zaczął pułkownik Johnson. — Nie wszystko jest jasne.

— Z chęcią udzielę panu wszelkiej możliwej pomocy — zapewnił George nieco pompatycznie.

— Oczywiście — zawtórowała cieniutko Magdalena.

Pułkownik skinął na Sugdena.

— Jak to było z rozmowami telefonicznymi tego fatalnego wieczoru? Pan mówił nam, że dzwonił wówczas do Westeringham, prawda?

— Tak, dzwoniłem — odparł chłodno George — do agenta w moim biurze poselskim. Mogę pana do niego odesłać i...

— Tak, oczywiście, oczywiście — inspektor, podnosząc rękę, przerwał wartką wypowiedź pana Lee. — Co do tego nie mamy wątpliwości. Chodzi natomiast o czas. Zadzwoił pan dokładnie na dwie minuty przed dziewiątą.

— Może... tak dokładnie co do minuty nie potrafię powiedzieć.

— Ale my potrafimy! Te rzeczy zawsze bardzo uważnie sprawdzamy. Z wielką dokładnością. Rozmowa rozpoczęła się dwie minuty przed dziewiątą, a zakończyła cztery minuty po dziewiątej. Pański ojciec został zabity o dziewiątej piętnaście. Muszę więc jeszcze raz zadać panu pytanie, co pan robił w tym momencie.

— Powiedziałem panu przecież, że rozmawiałem przez telefon.

— Nie, panie Lee, nie rozmawiał pan.

— Nonsens, musiało się panu pomylić! No dobrze, może wtedy już zakończyłem rozmowę. Pewnie zastanawiałem się, czy nie zadzwonić jeszcze w inne miejsce, czy warto wydawać na to pieniądze, kiedy rozległ się ten hałas na piętrze.

— No chyba nie zastanawiał się pan przez dziesięć minut nad tym, czy warto zadzwonić?

George spurpurowiał i spienił się.

— Co to ma wszystko znaczyć? Czego, do diabła, pan chce? Co za bezczelność! Pan śmie kwestionować moje słowa? Pan wie, kim ja jestem? Dlaczego miałbym się panu wyliczać z każdej minuty?

— To normalna rzecz — odpowiedział inspektor Sugden z flegmą, która wzbudziła uznanie Poirota.

George zwrócił się ze złością ku szefowi policji.

— Pułkowniku Johnson, pan coś takiego toleruje?

— To sprawa o morderstwo — odpowiedział szorstko pułkownik. — Musimy postawić pewne pytania i musimy otrzymać na nie odpowiedzi.

— Już odpowiedziałem! Skończyłem jedną rozmowę i zastanawiałem się nad drugą.

— Czy był pan tu, w tym pokoju, gdy na piętrze rozległ się hałas?

— Byłem... tak, byłem tutaj.

Johnson zwrócił się ku Magdalenie.

— Wydaje mi się, że pani powiedziała nam, iż telefonowała stąd w momencie, kiedy na górze rozpoczęły się hałasy. Mówiła pani, że była w tym pokoju sama.

Magdalena zupełnie straciła głowę. Przez chwilę z zapartym tchem patrzyła to na George'a, to na Sugdena, a w końcu utkwiała przerażony wzrok w twarzy pułkownika.

— Och, naprawdę... ja nie wiem... nie pamiętam, co powiedziałam... byłam taka wstrząśnięta...

— Pani zeznania mamy na piśmie — przypomniał Sugden.

Robiła co mogła, rzucała mu powłóczyście spojrzenia wielkich, wilgotnych oczu, rozchyłała drżące wargi. Na darmo: chyba po prostu zupełnie nie była w typie pełnego chłodu i rezerwy surowego funkcjonariusza.

— Ja... ja... oczywiście telefonowałam. Nie jestem całkiem pewna kiedy...

— Co to ma znaczyć? — krzyknął na nią George. — Skąd dzwoniłaś? Bo na pewno nie stąd!

— Według mnie pani wcale nie dzwoniła. Wobec tego proszę powiedzieć, gdzie pani była i co pani robiła?

Magdalena omiotła wszystkich mężczyzn rozpaczliwym spojrzeniem i zalała się łzami.

— George, nie pozwól im — szlochała — znęcać się nade mną! Wiesz dobrze, że kiedy ktoś na mnie krzyczy i mnie straszy, to wszystko zapominam. Ja... ja nic nie pamiętam, co mówiłam tamtej nocy. To wszystko było takie straszne, ja byłam przerażona, a oni się teraz pastwią nade mną...

Zerwała się i szlochając wybiegła z pokoju.

George Lee również się poderwał i zadudnił:

— Co to wszystko ma znaczyć? Nikomu nie pozwolę poniżyć mojej żony! Ona jest taka wrażliwa! To jest podłe! Złożę interpelację w Izbie Gmin w związku ze skandalicznymi praktykami policji!

Wymaszerował z pokoju i trzasnął drzwiami.

Inspektor Sugden odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

— Ale się zaplątali! Zobaczymy, co będzie dalej!

— Nadzwyczajne! — Johnson uniósł brwi. — Żałosne widowisko. Musimy wydostać od niej następne zeznania.

— Och! Ona tu wróci za minutę albo dwie. Kiedy tylko obmyśli jakąś historyjkę. Prawda, panie Poirot?

Poirot, gwałtownie wyrwany z zamyślenia, aż drgnął.

— Pardon?

— Powiedziałem, że ona wróci.

— Prawdopodobnie... tak, możliwe... tak!

— Co się dzieje, panie Poirot? Zobaczył pan ducha?

— Wie pan... nie jestem pewien, czy to mi się właśnie nie zdarzyło.

— No, Sugden, coś jeszcze? — spytał niecierpliwie pułkownik.

— Próbowałem ustalić, w jakiej kolejności domownicy pojawili się na miejscu zbrodni. Kiedy rozległ się krzyk ofiary, morderca wybiegł z pokoju i przekręcił klucz w zamku pincetą albo czymś podobnym. Już po chwili musiał dołączyć do wszystkich, którzy pędzili na górę, za alarmowani potwornym krzykiem. Niestety, trudno ustalić kolejność, bo nikt wtedy nie pomyślał, że to może być ważne. A ludzie po prostu nie pamiętają dokładnie. Prawie pewne jest jednak, że najwcześniej pod drzwi dotarł Farr, pani Magdalena i pani Hilda. Ale każda z tych trzech osób twierdzi, że przybiegła trzecia lub co najwyżej druga. Jak poznać, kto kłamie, a kto naprawdę nie pamięta? Toteż udało mi się ustalić tylko prawdopodobną kolejność.

— Sądzi pan, że to takie ważne? — spytał Poirot.

— Tu chodzi o czas. Jak pan wie, zbrodniarz miał czasu bardzo mało.

— Zgadzam się z panem, czas jest bardzo ważny w tej sprawie.

— Rzecz komplikuje — ciągnął Sugden — rozkład pomieszczeń w tym budynku. Są tu w holu schody główne, w jednakowej odległości od jadalni i salonu, i są jeszcze drugie schody na przeciwległym krańcu domu. Właśnie tymi drugimi schodami nadbiegł pan Farr i później panna Estravados. Reszta pędziła po schodach głównych.

— To rzeczywiście wprowadza komplikacje — przyznał Poirot.

Drzwi otworzyły się i w pośpiechu weszła Magdalena. Była zdyszana i w pąsach. Zbliżyła się do stołu.

— Mój mąż myśli, że jestem w łóżku, a ja się tu po cichutku wymknęłam. Pułkownikowi Johnson, jeżeli powiem panu prawdę, zachowa pan to dla siebie? Chyba nie musi pan wszystkiego publicznie ogłaszać?

— Ma pani na myśli coś, co, przypuszczam, nie wiąże się ze zbrodnią?

— Nie, w ogóle nie. To jest coś... to moja czysto prywatna sprawa.

— Proszę nam sprawę przedstawić, pani Lee, a my zdecydujemy, co z tym zrobić.

— Ja panu ufam, wiem, że mogę panu ufać. Pan wygląda na szlachetnego człowieka. Widzi pan, to jest tak. Jest ktoś...

— Tak, pani Lee...

— Chciałam zadzwonić tamtego wieczoru do pewnej osoby... do jednego z moich przyjaciół. Oczywiście George nie powinien się o tym dowiedzieć. Może nie było to ładnie z mojej strony, ale tak wyszło. Po kolacji poszłam więc dzwonić, wydawało mi się, że to najlepsza pora, bo George siedzi pewnie w jadalni. Ale kiedy byłam już pod drzwiami, usłyszałam jego głos, więc myślę sobie, zaczekam, aż on skończy telefonować.

— Gdzie pani czekała, *madame*? — spytał Poirot.

— Za schodami koło wieszaka. Tam jest półmrok i widać stamtąd drzwi do tego pokoju. Ale George nie wychodził, a potem zaczął się ten hałas, pan Lee krzyczał i pobiegłam po schodach na górę.

— A więc pani mąż nie wyszedł z tego pokoju aż do chwili morderstwa?

— Nie.

— A pani od dziewiątej do dziewiątej piętnaście tkwiła tam w kącie za schodami? — spytał pułkownik.

— Tak, ale przecież nie mogłam się do tego przyznać, rozumie pan? Zaraz by wszyscy chcieli wiedzieć, dlaczego przesiedziałam kwadrans pod schodami. Widzi pan, to bardzo niezręczna sytuacja.

— Z pewnością niezręczna — przyznał jej rację Johnson.

— Och, jak mi ulżyło — uśmiechnęła się słodko do pułkownika — kiedy wyznałam wszystko. Ale pan nie powie o tym mężowi, prawda? Jestem pewna, że pan nie powie. Ja panu ufam, wszystkim panom ufam.

Popatrzyła prosząco na wszystkich trzech mężczyzn i pośpiesznie wyszła.

— No, dobrze — westchnął pułkownik — mogło tak być. Historyjka trzyma się kupy. Z drugiej strony...

— Mogło być inaczej — dokończył Sugden. — Nie wiadomo.

III

Lydia Lee stała w końcu salonu i wyglądała przez okno. Jej postać ginęła w połowie w cieniu ciężkiej kotary. Usłyszała jakiś nikły dźwięk w drugim końcu pokoju i odwróciła się. W drzwiach zobaczyła Herkulesa Poirota.

— Przestraszył mnie pan, panie Poirot.

— Najmocniej przepraszam, *madame*. Cicho chodzę.

— Myślałam, że to Horbury.

— Tak, on porusza się bezszelestnie. Jak kot albo jak złodziej.

— Nigdy nie lubiłam tego człowieka — Lydia skrzywiła się z lekka. — Z wielką chęcią pozbędę się go.

— Myślę, że to będzie rozsądne z pani strony.

— Co pan ma na myśli? Zna pan jakieś sprawy Horbury'ego?

— To człowiek, który zbiera cudze sekrety, a potem próbuje wyciągnąć z nich korzyści.

— Pan sądzi — spytała ostro — że on coś wie o morderstwie?

Poirot wzruszył ramionami.

— Podchodzi ukradkiem i ma długie uszy. Mógł coś podsłuchać i trzyma to na razie w tajemnicy.

— Myśli pan, że ośmieliliby się próbować szantażu wobec kogoś z nas?

— To jest możliwe. Ale nie w tej sprawie tu przyszedłem. Rozmawiałem z pani małżonkiem. Złożył mi propozycję, o której muszę z panią podyskutować, zanim ją przyjmę lub odrzucę. Tak pięknie pani wygląda na tle tej purpurowej portiery, że chciałem się jednak najpierw napatrzeć.

— Och, panie Poirot — powiedziała szorstko Lydia — nie traćmy czasu na komplementy.

— Proszę mi darować, *madame*, ale tak niewiele dam w Anglii rozumie, co to jest la toilette[15]. Suknia, w której widziałem panią po raz pierwszy tamtego wieczoru, o śmiałym choć prostym deseni... Tyle pani miała wdzięku i dystynkcji.

— W jakiej sprawie chciał się pan ze mną zobaczyć? — mimo wszystko Lydia była zniecierpliwiona.

— Mąż pani — Poirot spoważniał — ogromnie nalega, bym zajął się śledztwem w pełnym zakresie. Usilnie prosi, bym został tutaj, w tym domu, i zrobił wszystko, co możliwe, by wyjaśnić sprawę do końca.

— No i co? — spytała ostro Lydia.

— Nie mogę przyjąć tej oferty i zaproszenia bez zgody pani domu.

— Naturalnie potwierdzam zaproszenie męża — powiedziała chłodno Lydia.

— Madame, potrzebuję czegoś więcej. Moje pytanie brzmi: czy pani zdecydowanie pragnie ujawnienia prawdy?

— Oczywiście.

Poirot westchnął.

— Zbývá mnie pani zdawkowymi odpowiedziami, a doskonale pani wie, że sprawa wcale nie jest oczywista.

— Może stać mnie tylko na zdawkowe wypowiedzi?

Przygryzła wargę, wahała się.

— Chyba jednak pan ma rację; sprawa wcale nie jest oczywista. Mój teść został brutalnie zamordowany i coraz mniej wskazuje na to, że to ten paskudny Horbury jest sprawcą zabójstwa i rabunku. A jeśli odpada Horbury, to znaczy, że Simeona Lee zamordował ktoś z najbliższej rodziny. Postawienie przed sądem tego zabójcy okryje hańbą i niesławą całą naszą rodzinę. Jeśli mam być szczerą, to muszę powiedzieć, że nie chcę, by coś takiego nastąpiło.

— Będzie pani zadowolona, jeżeli morderca uniknie kary?

— Jest chyba na wolności jeszcze paru innych morderców?

— Niewątpliwie.

— Jeden więcej, czy to taka różnica?

— Ale co z innymi członkami rodziny? Tymi niewinnymi?

— Jak to z innymi? — nie rozumiała Lydia.

— Czy pani sobie zdaje sprawę, co będzie, jeśli morderca nie zostanie wykryty? Wszyscy z rodziny na zawsze pozostaną podejrzani...

— O tym nie pomyślałam.

— Nikt nigdy nie pozna imienia winowajcy... — powiedział cicho Poirot — Chyba że pani już wie, *madame*?

— Jak pan może mówić takie rzeczy? — krzyknęła. — To nieprawda! Och! Żebyż to był ktoś obcy, nikt z naszej rodziny!

— To może być jedno i drugie.

Spojrzała zdziwiona.

— Jak to?

— To może być członek rodziny, a równocześnie obcy... Nie rozumie pani, co mówię? *Eh bien*[16], to jest myśl, która powstała w głowie Herkulesa Poirota.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

— A więc, *madame*, co mam odpowiedzieć panu Alfredowi?

Lydia uniosła rękę, a potem opuściła je bezradnie.

— Oczywiście... musi pan przyjąć tę propozycję.

IV

Pilar stała pośrodku saloniku muzycznego wyprostowana i rzucała spojrzenia na prawo i lewo, jak zwierzę, które boi się napaści.

— Chcę się stąd wydostać!

— Nie pani jedna źle się tu czuje — powiedział łagodnie Stephen Farr. — Ale oni nas stąd nie wypuszczą.

— Znaczy się, policja?

— Tak.

— Nie jest przyjemnie mieć do czynienia z policją. Nie powinno się to zdarzać porządnym ludziom.

— Mówi pani o sobie? — uśmiechnął się lekko Stephen.

— Mówię o Alfredzie, Lydii, Davidzie, George’u, Hildzie, no i o Magdalenie, tak, o niej też.

Stephen zapalił papierosa. Wypuścił parę kłębow dymu i zapytał:

— Zapomniała pani o jednym porządnym.

— Proszę?

— Nie wymieniła pani Harry’ego.

Roześmiała się, pokazując białe, równe zęby.

— Och, Harry jest inny! Myślę, że niejedyn raz miał do czynienia z policją.

— Być może ma pani rację. To zbyt malownicza postać, nie pasuje do portretu tej rodziny. Lubi pani swoich angielskich krewniaków?

— Są uprzejmi — powiedziała bez przekonania Pilar — wszyscy są bardzo uprzejmi, ale rzadko się śmieją, jacyś tacy ponuracy.

— Ależ dziewczeczko, w tym domu dopiero co popełniono morderstwo!

— No tak... — przyznała bez przekonania Pilar.

— Morderstwo nie jest wydarzeniem codziennym ani błahym i pani nonszalancja nie jest na miejscu. Może w Hiszpanii jest inaczej, ale w Anglii zabójstwa traktuje się bardzo poważnie.

— Pan się ze mnie naśmiewa...

— Myli się pani. Wcale mi nie do śmiechu.

— Też chciałby się pan stąd wyrwać?

— Tak.

— A ten wielki, przystojny policjant pana nie puści?

— Nie pytałem go, ale na pewno by mnie nie puścił. Muszę uważać na każdy krok, Pilar, muszę być bardzo, bardzo ostrożny.

— Męczarnia — skrzywiła się Pilar.

— I jeszcze ten stuknięty cudzoziemiec wszędzie wtyka swój nos. Nie wierzę, że coś wyjdzie z tego węszenia, ale on działa mi na nerwy.

Pilar zmarszczyła czoło.

— Mój dziadek był bardzo, bardzo bogaty, prawda?

— Chyba tak.

— Kto teraz dostanie jego pieniądze? Alfred i reszta?

— Zależy, co napisał w testamencie.

— Mógł zostawić mi jakąś sumkę, ale obawiam się, że tego nie zrobił.

— Nie zginie pani — pocieszył ją Stephen. — W końcu należy pani do rodziny. Tu jest pani miejsce. Muszą się panią zająć.

— Tu jest moje miejsce... To śmieszne. A może nie ma w tym nic śmiesznego. Włączymy gramofon? Potańczymy trochę?

— To nie wyglądałoby dobrze. Tańczyć w domu żałoby? Ot, hiszpańska bałamutka bez serca!

— Ale ja w ogóle nie czuję żadnego smutku. Dziadka właściwie nie znałam i chociaż lubiłam z nim pogadać, nie zamierzam płakać i umartwiać się z tego powodu, że on umarł. Udawanie jest idiotyczne.

— Jest pani urocza! — wykrzyknął Stephen.

— Może wepchniemy jakieś pończochy albo rękawiczki do tuby gramofonu? — namawiała Pilar. — Będzie ciszej i nikt nie usłyszy!

— No to ruszamy, kusicielko.

Roześmiała się uszczęśliwiona i wybiegła w stronę sali balowej w drugim końcu domu. Kiedy znalazła się koło korytarzyka wiodącego do wyjścia na ogród, stanęła jak wryta. Stephen zatrzymał się przy niej.

Obok Herkules Poirot z wielką uwagą studiował portret, który zdjął właśnie ze ściany. Zerknął na nich.

— Pojawiliście się w odpowiednim momencie.

— Co pan robi? — spytała Pilar.

— Coś bardzo ważnego: oglądam twarz Simeona Lee jako młodego człowieka.

— O, to mój dziadek?

— Tak, *mademoiselle*.

Wpatrywała się w namalowaną twarz.

— Niepodobny, zupełnie niepodobny... On był taki stary, cały pomarszczony. Tutaj jest podobny do Harry'ego. Harry mógł tak wyglądać dziesięć lat temu.

— Tak, *mademoiselle*. Harry Lee to wykapany Simeon za młodu. A teraz proszę spojrzeć tutaj — Herkules Poirot poprowadził Pilar nieco w głąb korytarzyka. — Tutaj wisi pani babka, proszę; delikatna, pociągła twarz, bardzo jasne włosy, łagodne, niebieskie oczy.

— Podobna do Davida — zauważyła Pilar.

— I trochę do Alfreda — dodał Stephen.

— Dziedziczność to ciekawa rzecz. Simeon Lee i jego żona należeli do diametralnie różnych typów. Większość dzieci odziedziczyła rysy po matce. Proszę spojrzeć tutaj, *mademoiselle*.

Poirot wskazał na portret może dziewiętnastoletniej dziewczyny o złotych włosach i wielkich, roześmianych, niebieskich oczach. Te same kolory, co na obrazie żony Simeona, ale z tej twarzy bił wigor i werwa, których w tamtej próżno by szukać.

— Och! — westchnęła donośnie Pilar.

Zarumieniła się i sięgnęła pod bluzkę po medalion na złotym łańcuszku. Pokazała Poirotowi tę samą roześmianą buzię.

— Moja matka.

Poirot oglądał z zainteresowaniem. Na drugiej stronie medalionu znajdował się portret młodego, czarnowłosego mężczyzny o szafirowych oczach.

— To pani ojciec?

— Tak, to mój ojciec. Jest piękny, prawda?

— O tak. Chyba jednak niewielu Hiszpanów ma niebieskie oczy, *señorita*?

— Na północy to się zdarza. Mój ojciec mógł je odziedziczyć po matce, która była Iriandką.

— A więc płynie w pani krew hiszpańska, irlandzka i angielska, a także odrobina cygańskiej. Wie pani, co sobie myślę, *mademoiselle*? Z tak bogatym dziedzictwem pani może być groźnym przeciwnikiem — Poirot patrzył na nią z respektem.

— Bardzo groźnym! — roześmiał się Stephen. — Pamięta pani naszą rozmowę w pociągu. Pilar? Powiedziała pani, że wrogów pozbyłaby się pani, podrzynając im gardła...

Zamilkł nagle, bo zrozumiał poniewczasie wagę swoich słów.

Herkules Poirot szybko skierował rozmowę na inne tory. — Ach, *señorita*, przypomniałem sobie o jednej sprawie. Muszę panią prosić o paszport. Mojemu przyjacielowi inspektorowi potrzebny jest ten dokument. Wie pani, to są takie przepisy policyjne dotyczące obcokrajowców, niemądre niewątpliwie, uciążliwe, ale trzeba się do nich zastosować. A, z prawnego punktu widzenia, jest pani cudzoziemką.

— Mój paszport? — Pilar uniosła brwi. — Zaraz przyniosę. Mam go w pokoju.

Wszyscy troje podeszli do schodów. Tuż nad nimi znajdowały się drzwi do pokoju Pilar. Dziewczyna weszła do środka, a Poirot ze Stephenem pozostali przy schodach.

— Ale głupiec ze mnie. Wyrwałem się z tą rozmową z pociągu. Trzeba było się ugryźć w język.

Poirot nie odpowiadał. Stał z przekrzywioną głową, jakby nadstawiał ucha.

— Ci Anglicy mają fioła na punkcie wietrzenia. Panna Estravados też to wyssała z mlekiem matki.

— Skąd pan wie?

— Wczoraj było ciepło i słonecznie, ale dzisiaj jest bardzo mroźnie, choć nie ma szronu. I co robi panna Estravados w taki ziąb? Wietrzy. Nie słyszał pan, jak energicznie otwierała okno?

Nagle z pokoju dobiegł jakiś okrzyk po hiszpańsku, a po chwili w progu ukazała się nieco skonsternowana Pilar.

— Ale ze mnie niezgara! Torebkę miałam na parapecie i kiedy ją przetrząsałam, paszport wypadł mi za okno. Leży w trawie. Polecę na dół.

— Ja pani przyniosę — ofiarował się Stephen, ale Pilar już przefrunęła koło niego, krzyząc:
— Nie, to wszystko przez tę moją niezręczność! Idźcie z panem Poirotem do salonu. Zaraz tam będę.

Stephen Farr chciał ruszyć za nią, ale Poirot ujął go za ramię i powiedział:

— Chodźmy tędy.

Przeszli korytarzem aż do głównych schodów.

— Chciałbym pozostać z panem jeszcze chwilę na piętrze. Udamy się na miejsce zbrodni. Pragnę pana o coś zapytać.

Szli korytarzem w stronę pokoju Simeona Lee. Po lewej minęli niszę z dwiema marmurowymi statuami dorodnych nimf, szczelnie otulonymi w draperie, by nie obrazić wiktoriańskiej moralności.

— W nocy mogą człowieka nieźle nastraszyć — mruknął Farr. — Wydawało mi się, że były trzy, kiedy biegłem tędy przedwczoraj, tego fatalnego wieczoru. A teraz są dwie!

— Obecnie wyszły z mody, ale swego czasu trzeba było za nie sporo zapłacić. Myślę, że nocą lepiej wyglądają.

— Tak, widać tylko białe, pobłyskujące sylwety.

— W nocy wszystkie koty są czarne! — mruknął Poirot.

W pokoju zastali inspektora Sugdena. Klęczał obok sejfu i oglądał jakieś detale przez szkło powiększające.

— Ten sejf otworzono kluczem — powiedział Sugden.

— Otwierający znał szyfr cyfrowy. Żadnych śladów.

Poirot szepnął mu coś do ucha. Policjant kiwnął głową, podniósł się z klęczek i wyszedł z pokoju.

Stephen Farr wypatrywał się w pusty fotel Simeona Lee. Zmarszczył brwi, na skroniach wystąpiły mu żyły.

— Ponury widok, co? — spytał Poirot.

— Dwa dni temu siedział tu żywy, a teraz... Panie Poirot, mówił pan, że chce mnie o coś zapytać?

— A tak. Pan był, zdaje się, pierwszą osobą, która dotarła pod drzwi tego pokoju przedwczoraj wieczorem?

— Ja byłem pierwszy? Nie pamiętam. Nie, myślę, że któraś z pan była pierwsza.

— Która?

— Albo żona pana George'a, albo żona pana Davida. Wiem, że obydwie były tu bardzo szybko.

— Pan nie słyszał krzyku, zdaje się tak pan zeznawał?

— Chyba nie słyszałem. Ktoś krzyczał, ale chyba na parterze.

— Nie słyszał pan takiego krzyku?

Poirot odchylił głowę do tyłu i nagle wrzasnął okropnie. To było tak niespodziewane, że Farr odskoczył do tyłu i mało brakowało, a byłby upadł.

— O rany, chce pan, żeby wszyscy umarli ze strachu? Nie, niczego podobnego nie słyszałem! Cały dom pan postawił na nogi. Pomyślą, że znowu kogoś zamordowali!

Poirot wyglądał na zakłopotanego.

— Racja... — mruknął. — To chyba był głupi pomysł.

Chodźmy stąd czym prędzej.

Wyszedł pospiesznie z pokoju. Pod schodami głowy zadzierali już Lydia z Alfredem, George wynurzył się z biblioteki i dołączył do nich, a Pilar biegła z paszportem w ręce.

— To nic, nic się nie stało! — zawołał Poirot. — Proszę się nie niepokoić. Zrobiłem tylko mały eksperyment. Już po wszystkim.

Alfred wyglądał na zdenerwowanego, a George był oburzony. Poirot zostawił Stephena, który musiał się za niego tłumaczyć, a sam ruszył korytarzem na drugi koniec domu. Inspektor Sugden wyszedł ku niemu z pokoju Pilar.

— *Eh bien?*[17] — spytał Poirot.

Sugden pokręcił głową.

— Nic. Cisza.

— A więc zgadza się pan, Poirot? — spytał Alfred Lee.

Ręce mu się trzęsły, a łagodne brązowe oczy błyszcząły z ekscytacji. Trochę się jąkał. Lydia patrzyła na niego z obawą.

— Pan nie wie... pan sobie nnnie wyobraża... co to dla... dla mnie zna... znaczy.

— Pan mnie zapewnił, że wszystko starannie przemyślał i tylko dlatego propozycję przyjmuję. Ale musi pan sobie zdawać sprawę, panie Lee, że nie będzie możliwości odwrotu. Ja nie jestem psem myśliwskim, którego ktoś spuszcza ze smyczy, a potem woła z powrotem do nogi, bo stracił ochotę na polowanie!

— Oczywiście... oczywiście... Wszystko jest już przygotowane. Jest pokój dla pana. Może pan zostać tak długo, jak pan zechce...

— To nie potrwa długo.

— Naprawdę?

— Krąg podejrzanych jest tak mały, że musimy już wkrótce dojść do prawdy. Sprawa zostanie wyjaśniona niebawem.

— Niemożliwe — Alfred patrzył zdumionym wzrokiem.

— Wszystko, co udało się ustalić, układa się w jeden trop. Do wyjaśnienia pozostają trochę wątpliwości, ale to nie są kluczowe zagadki.

— To znaczy, że pan już wie? — spytał z niedowierzaniem Alfred.

— Och tak, wiem — uśmiechnął się Poirot.

— Ojciec... biedny ojciec... — wzdychał Alfred.

— Mam dwie prośby — powiedział żywo Poirot.

— Wszystko... wszystko, o co pan poprosi — obiecywał zduszonym głosem Alfred.

— Po pierwsze: w pokoju, który państwo byli łaskawi mi przydzielić, proszę zawiesić młodzieńczy portret Simeona Lee.

— Portret ojca? Dlaczego?

— Ten obraz, jak to powiedzieć, będzie mnie inspirował.

— Pan — spytała ostro Lydia — wyjaśniając tajemnicę zbrodni, zamierza posługiwać się metodami jasnowidza?

— Powiedzmy, *madame*, że chcę jeszcze widzieć oczami duszy.

Lydia wzruszyła ramionami.

— Moja druga prośba, panie Lee, dotyczy okoliczności śmierci pańskiego szwagra, Juana Estravadosa. Muszę je znać.

— Czy to konieczne? — spytała Lydia.

— Muszę znać wszystkie fakty dotyczące tej sprawy.

— Juan Estravados — powiedział Alfred — podczas kłótni o kobietę zabił człowieka. Było to w kawiarni.

— W jaki sposób go zabił?

Alfred spojrzał prosząco na Lydię, która powiedziała obojętnym tonem:

— Zasztyletował. Juana Estravadosa nie skazano na śmierć, ponieważ został sprowokowany do bójki przez swoją ofiarę. Umarł w więzieniu.

— Czy córka wie o tym?

— Myślę, że nie. Jennifer nigdy jej nie powiedziała. Chyba pan nie sądzi, że Pilar... Och, to absurd!

— A teraz, panie Lee, zechce mi pan powiedzieć co nieco o pańskim bracie Harrym?

— Co chce pan wiedzieć?

— Mówi się o nim, że okrył niesławą waszą rodzinę. Co to konkretnie znaczy?

— To było tak dawno... — wtrąciła Lydia.

— Jeżeli musi pan to koniecznie wiedzieć... — twarz Alfreda poczerwieniała. — Harry ukradł dużą sumę pieniędzy, podrabiając podpis ojca na czeku. Oczywiście ojciec nie oddał sprawy do sądu. Harry popełnił niejedno oszustwo. Wtoczył się po całym świecie i zawsze miał kłopoty. Raz po raz depeszował po pieniądze, żeby się ratować z tarapatów.

— To są domysły, tego wszystkiego nie wiesz na pewno, Alfredzie — powiedziała Lydia.

— Harry to drań i tyle!

— Chyba się panowie nie lubią?

— Harry wykorzystywał ojca. Zupełnie bezwstydnie!

Lydia westchnęła zniecierpliwiona. Poirot usłyszał to zniecierpliwienie i popatrzył na nią przenikliwie.

— Żeby chociaż te diamenty się znalazły — powiedziała.

— Jestem pewna, że wtedy wszystko by się wyjaśniło.

— Diamenty już się znalazły, *madame*.

— Co?

— Były w Morzu Martwym, które tam na tarasie sama pani wyczarowała...

— Naprawdę? To... nadzwyczajne!

Część VI — 27 grudnia

Poszło lepiej niż myślałem — odetchnął Alfred Lee.

Właśnie wrócili od koronera. Był z nimi Charlton, staromodny typ prawnika o uważnym spojrzeniu niebieskich oczu. W Garston Hali znalazł się w związku z formalnym otwarciem testamentu.

— Mówiłem, że to przebiegnie gładko — Charlton też był zadowolony. — Odroczenie rozprawy wstępnej było pewne, policja potrzebuje przecież czasu na pełne zbadanie tej sprawy.

— Ale jak długo jeszcze będziemy w tak nieprzyjemnej sytuacji? — żołądkował się George Lee. — Ta policja! Osobiście nie mam wątpliwości, że tę zbrodnię popełnił maniak, który w jakiś sposób zdołał dostać się do budynku. Ten Sugden jest jak muł. Pułkownik Johnson powinien zwrócić się o pomoc do Scotland Yardu, bo policja lokalna jest do niczego. Zakute łby! Co na przykład zdziałali w sprawie Horbury'ego? Słyszałem, że gagatek ma już na koncie ciemne sprawki, a policja co na to? Nic.

— Wiem, że ten Horbury ma alibi nie do podważenia — zaznaczył Charlton. — Policja je przyjęła.

— Patałachy! — wściekał się George. — Na ich miejscu staranniej bym to alibi prześwietlił. Każdy przestępca wymyśla sobie jakieś alibi. Dobry policjant widzi, w którym miejscu taka historyjka jest naciągana. Ale oczywiście tylko dobry policjant.

— Nie sądzę, byśmy mogli pouczać policję — oponował Charlton. — Ci ludzie znają się na swojej robocie.

George kręcił głową.

— Powinno się tu ściągnąć Scotland Yard. Wcale mi się nie podoba ten inspektor Sugden. Może on jest pracowity, ale bystry to na pewno nie.

— Nie zgadzam się z panem — bronił inspektora Charlton. — Sugden jest dobrym policjantem. Nie udaje ważnego, ale robi swoje.

— Policja na pewno się bardzo stara — wtrąciła się Lydia.

— Panie Charlton, wypije pan kieliszek sherry?

Charlton odmówił grzecznie, po czym odchrząknął i przystąpił do odczytania testamentu w obecności wszystkich członków rodziny zmarłego.

Czytał ten dokument z wyraźnym upodobaniem, rozsmakowując się szczególnie w

nieprzeniknionej dla laika terminologii prawniczej. Delektował się komplikacją jurystycznej składni.

Dojechał do końca, zdjął okulary, przetarł je i pytającym wzrokiem wodził po zebranych.

— Trudno się wyznać w tych prawniczych formułkach — powiedział Harry Lee. — Może pan powiedzieć po ludzku, co komu ojciec zapisał?

— Och, doprawdy — zdziwił się Charlton — to absolutnie prosty testament.

— O Boże! — westchnął Harry. — To jak wygląda testament skomplikowany?

Charlton skarcił go chłodnym spojrzeniem i powiedział:

— Główny zapis jest całkiem prosty: połowa majątku pana Simeona Lee przypada jego synowi Alfredowi Lee połowa zaś ma być podzielona pomiędzy pozostałe jego dzieci.

— Jak zwykle ten szczęściarz Alfred! — zaśmiał się cierpko Harry. — Pół ojcowskiej fortuny! Manna z nieba!

Alfred zrobił się czerwony.

— Alfred był zawsze lojalnym i oddanym synem — zdecydowanie broniła męża Lydia. — Przez długie lata prowadził fabrykę. Był za wszystko odpowiedzialny.

— Och tak, to zawsze był greczny chłopczyk — szydził Harry.

— Ty się ciesz, Harry, że ojciec w ogóle zapisał ci cokolwiek! — odciął się Alfred.

— A co? Bardzo byś chciał, żeby ojciec wyparł się mnie całkowicie? Prawda? Kochający braciszek!

Charlton zakaszłał. Naoglądał się już mniej lub bardziej karczemnych awantur po otwarciu testamentu. Jego zamiarem było więc ulotnić się, nim tutejsza kłótnia rodzinna rozgorzeje na dobre.

— Myślę... e... — mruczał — że to wszystko, czym mogłem...

— A co z Pilar? — rzucił ostro Harry.

Charlton zakaszłał znowu, tym razem przeprasząc.

— Ee... Panna Estravados nie została wymieniona w testamencie.

— Nie dziedziczy udziału po matce?

— Gdyby pani Jennifer Estravados żyła — wyjaśnił Chariton — dostałaby oczywiście taki sam udział jak reszta rodzeństwa, ponieważ jednak zmarła, wraca on do ogólnej puli i jest dzielony między was wszystkich.

— Więc... ja nie mam... nic?

— Moja droga, rodzina tego dopilnuje, oczywiście — pośpiesznie zapewniła Lydia.

— Będziesz mogła zamieszkać u Alfreda — obiecał George — prawda, Alfredzie? My... ee... jesteś naszą siostrzenicą... mamy obowiązek troszczyć się o ciebie.

— Zawsze chętnie będziemy widzieć Pilar u nas — dodała Hilda.

— Ona powinna dostać swoją część, tę po matce — upierał się Harry.

— Naprawdę muszę... ee... już iść. — Charlton skierował się ku drzwiom. — Do widzenia, pani Lee. W razie potrzeby proszę zwracać się do mnie. Zawsze do usług.

Wyszedł czym prędzej. Doświadczenie mówiło mu, że kłótnia rodzinna wisi w powietrzu.

— Zgadzam się z Harrym — zawołała Lydia, gdy tylko prawnik zamknął drzwi za sobą. — Pilar ma oczywiste prawo do swojego udziału. Ten testament został sporządzony na wiele lat przed śmiercią Jennifer.

— Nonsens! — oświadczył George. — Cóż to za podejście do aktu prawnego, Lydio? Prawo jest prawem. Musimy się do niego zastosować!

— Oczywiście szkoda, że akurat taki jest zapis, bardzo nam wszystkim żal jest Pilar, ale George ma rację. Prawo jest prawem — poparła męża Magdalena.

Lydia podeszła do Pilar i ujęła ją za rękę.

— Pilar, moja droga, to musi być dla ciebie przykre. Może nas tu zostawisz, a my te sprawy omówimy. Nie martw się, ja wszystkiego przypilnuję. — Lydia poprowadziła dziewczynę ku drzwiom.

Ledwie Pilar wyszła, spór rozgorzał na nowo.

— Zawsze byłeś obrzydliwym sknerą, George! — krzyknął Harry.

— Na pewno nie byłem pasożytem ani oszustem! — odpalił mu George.

— Jesteś takim samym pasożytem jak ja! Od lat tuczysz się na koszt ojca.

— Zdajesz się zapominać, że piastuję ważne i odpowiedzialne stanowisko, które...

— On piastuje! Ty nadęty balonie!

— Jak śmiesz? — zapiszczała Magdalena.

— Czy nie możemy rozmawiać spokojnie? — spytała Hilda swoim zwykłym tonem, tylko nieco

głośniej, a Lydia popatrzyła na nią z wdzięcznością.

— Czy musimy się tak paskudnie awanturować o pieniądze? — krzyknął z dziwną u niego gwałtownością David.

— A ciebie to interesują wyższe sprawy, nie pieniądze? — spytała jadownicie Magdalena. — Ale ze swojego legatu nie masz zamiaru zrezygnować, co? Chcesz dostać forszę tak samo jak my wszyscy! I do tego pozujesz, że jesteś ponad te przyziemne kłótnie o mamonę!

— Uważasz, że powinienem zrezygnować z mojej części? — spytał ściśniętym głosem.

— Absolutnie nie powinieneś — odpowiedziała mu ostro Hilda. — Czy my wszyscy musimy zachowywać się jak dzieci? Alfred, ty jesteś głową rodziny...

Alfred wyglądał na wyrwanego ze snu.

— Proszę? Wszyscy krzycicie na raz. Już mi się w głowie od tego pomieszało.

— Hilda ma rację — włączyła się znowu Lydia — zachowujemy się jak łapczywa dzieciarnia. Dość tego! Musimy rozmawiać spokojnie jak rozsądni ludzie i — dodała szybko po kolei, bez przekrzykiwania się. Alfred mówi pierwszy, bo jest najstarszy. Alfredzie, co powinniśmy zrobić dla Pilar, jak myślisz?

— Ona musi tu zostać na stałe, z pewnością. Damy jej rentę. Nie widzę podstaw prawnych, by przejęła pieniądze przewidziane w testamencie dla jej matki. Pamiętaj, że nie nosi ona nazwiska Lee i jest obywatelką hiszpańską.

— Nie ma podstaw prawnych — odpowiedziała Lydia — ale ona ma moralne prawo. Zwróć uwagę, że twój ojciec przyznał Jennifer w testamencie pełne prawo dziedziczenia, mimo że wyszła za Hiszpana wbrew jego woli. George, Harry, David i Jennifer mieli dostać po równo. Jennifer zmarła zaledwie rok temu. Jestem pewna, że kiedy ojciec wzywał pana Charltona, to miał zamiar zmienić testament na korzyść Pilar. Na pewno zapisałby jej część przeznaczoną dla matki, a może nawet dużo więcej. Nie zapominaj, że jest to jedyna wnuczka. Powinniśmy przynajmniej zrealizować zamiar sprawiedliwszego podzielenia majątku, jaki przyświecał Simeonowi Lee przed śmiercią.

— Doskonale to ujęłaś, Lydio! — zawołał Alfred. — Muszę przyznać, że się myliłem. Przekonałaś mnie, Pilar powinna dostać to, co ojciec zapisał w testamencie jej matce.

— Teraz twoja kolej. Harry — Lydia pilnowała porządku obrad.

— Jak wiecie, jestem za. Lydia świetnie to uzasadniła i chcę powiedzieć, że podziwiam ją za to.

— George?

— Jestem całkowicie przeciwny! To niedorzeczność! Dać jej mieszkanie, przydzwiek i koniec. To dla niej zupełnie dość!

— A więc odmawiasz? Nie przyłączysz się?

— Tak, odmawiam.

— I ma rację — poparła męża Magdalena. — To niegodziwe, domagać się od George'a czegoś takiego! On jeden z całej rodziny coś znaczy w świecie i uważam za haniebne, że ojciec zapisał mu tak mało!

— David?

— Och, myślę, że macie rację. Szkoda tylko, że ciągle wdajemy się w te obrzydliwe kłótnie.

— Lydio, masz w zupełności rację — powiedziała Hilda.

— To zwykła sprawiedliwość.

— No więc, wszystko jasne — Harry rozejrzał się po zebranych. — Alfred, ja i David jesteśmy za, a George przeciw. A więc większość jest za.

— Nie obchodzi mnie żadna większość! — krzyknął gniewnie George. — Zapisana mi w testamencie część majątku ojca należy tylko do mnie. Nie oddam z niej ani pensa!

— Jasne, że nie! — zawtórowała Magdalena.

— Jeżeli nie chcesz brać udziału, twoja sprawa. Każde z nas odstąpi w takim razie trochę więcej — Lydia czekała na aprobatę.

— Alfred dostał lwią część, powinien odstąpić więcej niż inni — stwierdził Harry.

— Niedługo wytrzymałeś w roli bezinteresownego altruisty — wytknął mu Alfred.

— Nie zaczynajcie na nowo! — wkroczyła stanowczo Hilda. — Lydia powie Filar, cośmy postanowili. Szczegóły możemy ustalić później. — By skierować uwagę kłótniwej rodziny ku innym sprawom, spytała: — Ciekawi mnie, gdzie są panowie Farr i Poirot.

— Zostawiliśmy Poirota w miasteczku — poinformował Alfred — w drodze do koronera. Powiedział, że musi coś kupić i że to ważna rzecz.

— Dlaczego właściwie nie było go u koronera? — dziwił się Harry. — Powinien pójść z nami.

— Być może z góry wiedział, że to będzie tylko zwykła formalność — domyślała się Lydia. — Kto jest tam w ogrodzie? Inspektor Sugden czy pan Farr?

Obie panie osiągnęły, co chciały: narada rodzinna zakończyła się w atmosferze pokojowej.

— Dziękuję ci Hildo — powiedziała Lydia na stronie.

— Bardzo mi pomogło twoje wsparcie. Bez ciebie nic bym nie wskórała.

— Co pieniądze robią z ludźmi — westchnęła Hilda.

Reszta rodziny wyszła. Zostały we dwie.

— Tak, Hildo, nawet Harry, który przecież zaczął tę walkę o spadek dla Pilar... A mój biedny Alfred? Taki zaciekły Brytyjczyk, nie może przeboleć, że jakieś funty przejdą w ręce obywatelki hiszpańskiej.

— Czy myślisz, że my kobiety nie jesteśmy aż takimi materialistkami? — uśmiechnęła się Hilda.

— No wiesz, Hildo — wzruszyła zgrabnymi ramionami Lydia — chodziło o ich pieniądze, nie o nasze. A to różnica.

— Trochę dziwna jest ta mała. Mam na myśli Pilar. Ciekawe, co z niej wyrośnie — zadumała się Hilda.

— Cieszę się, że będzie niezależna — westchnęła Lydia.

— Mieszkać tu, być na czyjejś łasce, dostawać kieszonkowe, wątpię, czy ona byłaby szczęśliwa w takiej sytuacji. Jest na to za dumna i chyba nasz świat jest dla niej zbyt obcy. Przywiozłam kiedyś z Egiptu piękny naszyjnik z lapis lazuli, cudowny błękit! Ale cudowny był tam, w słońcu Południa, na tle złotych piasków. A tu zniknął cały blask i pozostał tylko zwykły sznur matowych paciorków.

— Tak, rozumiem to...

— Wiesz, Hildo, ogromnie się cieszę, że w końcu poznałam ciebie i Davida.

— A ja tyle razy w ostatnich dniach żałowałam, żeśmy tu przyjechali — westchnęła Hilda.

— Wiem. To jasne... Wiesz co, Hildo? Wydaje mi się, że David jakoś przeszedł przez ten szok. Jest tak wrażliwy, mogło go to całkowicie zdruzgotać. W gruncie rzeczy jakby wzmocnił się od czasu tego morderstwa...

— Więc spostrzegłaś to? — Hilda była nieco zakłopotana.

— Pod pewnym względem może się to wydawać straszne... Ale, Lydio, tak niewątpliwie jest!

Milczała przez chwilę, wspominając słowa, które wypowiedział mąż ostatniej nocy.

— Hildo — szeptał i odrzucał niesforny kosmyk jasnych włosów z czoła — pamiętasz taką scenę w „Tosce”, kiedy ona zapala świece przy zwłokach Scarpia? Pamiętasz, Tosca powiedziała wtedy: „Teraz mogę mu przebaczyć...”. Czuję w tej chwili te samo w związku z ojcem. Widzę, że przez te wszystkie lata nie mogłem ojcu wybaczyć, choć bardzo chciałem... A teraz... teraz nie ma

we mnie już nawet rozgoryczenia. Wszystko zostało wymazane. Czuję się, jakby ktoś zdjął mi z pleców ogromny ciężar.

— Dlatego, że on umarł? — spytała wtedy Hilda z przestachem.

— Nie, nie, nie rozumiesz. Nie dlatego, że umarł on, lecz dlatego, że umarła moja głupia, infantylna nienawiść do ojca.

Myślała o tych słowach, siedząc obok Lydii, ale nie ośmieliła się powtórzyć jej nocnej rozmowy z mężem.

Wyszła za szwagierką z salonu. W holu ujrzały Magdalенę z paczuszką w ręce. Podskoczyła na ich widok.

— To chyba są te ważne zakupy pana Poirota. Zostawił to pudełeczko tu w holu na stole. Ciekawe, co jest w środku? — chichotała, ale w jej oczach czaił się strach. — Muszę zajrzeć! — Magdalena odwinęła papier i pisnęła zdumiona.

Lydia z Hilda zatrzymały się.

— To sztuczne wąsy. Po co mu to? — Magdalena osłupiała.

— Chce się za kogoś przebrać? — dziwiła się Hilda.

— Ale przecież pan Poirot ma swoje własne wąsy! — przypomniała im Lydia.

— Nic nie rozumiem. Po co Poirot kupił sobie sztuczne wąsy? — zastanawiała się Magdalena, w pośpiechu zawiązując paczuszkę z powrotem.

II

Pilar, wyprowadzona z salonu przez Lydię, błąkała się po holu. W drzwiach od ogrodu zobaczyła Stephena Farra.

— No i co? Już po zebraniu rodzinnym? Odczytali testament? — wypytywał.

— Nic nie dostałam... ani grosza! Testament był sporządzony dawno temu. Dziadek zapisał pieniądze mojej matce, ale ponieważ ona umarła, ta suma ma być podzielona pomiędzy żyjące rodzeństwo, a nie przechodzi na mnie.

— O, fatalnie.

— Gdyby ten staruszek żył, napisałby testament na nowo. Pieniądze zostawiłby dla mnie... mnóstwo pieniędzy! Być może za jakiś czas zapisałby mi wszystkie pieniądze!

— To też nie byłoby w porządku, prawda? — uśmiechnął się Stephen.

— Dlaczego nie? Nikogo nie lubiłby bardziej ode mnie i to wszystko.

— Ale z pani chciwy dzieciak, Pilar. Wszystko zgarnąć?

— Świat okrutnie obchodzi się z kobietami. Tylko za młodu mogą coś dla siebie wywalczyć. Kiedy są stare i brzydkie, nikt im nie pomoże.

— Różnie to bywa ze starymi ludźmi. Alfred Lee, na przykład, był ogromnie oddany ojcu, który odpłacał mu apodyktycznością, lekceważeniem.

— Alfred to dureń. — Pilar wydeła policzki.

— Nie ma się co martwić, śliczna panno Pilar — roześmiał się Stephen. — Panowie i panie Lee zatroszczą się również o swoją hiszpańską siostrzenicę.

— To nie będzie takie zabawne.

— Obawiam się, że ma pani rację. Nie mogę sobie wyobrazić pani żyjącej tutaj. A chciałaby pani pojechać do Afryki Południowej? Tam jest tyle słońca i przestrzeni. Ale trzeba też pracować. Potrafi pani ciężko pracować, Pilar?

— Nie wiem.

— Lepiej siedzieć na balkonie i opychać się słodyczami cały dzień, co? Ale od tego piękna dziewczyna zamienia się w grubą babę i dostaje trzech podbródków.

Pilar roześmiała się.

— No, to już lepiej. Nareszcie pani poweselała.

— Myślałam, że będę się dużo śmiać w te święta. W książkach piszą, jak to wesoło jest na Boże Narodzenie w Anglii. Jest taki pyszny placek z rodzynkami i jeszcze wspanialszy płonący śliwkowy pudding oraz Yule log — nadzwyczajna, trzaskająca kłoda w kominku.

— Gdyby nie morderstwo, pewnie by tak właśnie było. Coś pani pokażę. Lydia wpuściła mnie tu wczoraj.

Stephen otworzył drzwi małego magazynu.

— Niech pani spojrzy, Pilar, ile tu herbatników. A tam kandyzowane owoce, pomarańcze, daktyle, orzechy.

— Och! — Pilar klasnęła w ręce. — Jakie piękne są te kule złote. I srebrne.

— To bombki na choinkę. Wiesz się na gałęziach, a pod drzewkiem kładzie prezenty dla służby. Tu bałwanek, cały pobłyskujący szronem. Stawia się go na świątecznym stole. I balony w różnych kolorach, tylko nie nadmuchane.

— Och! — Oczy Pilar zabłysły. — Nadmucharajmy sobie po jednym. Lydia na pewno się nie pogniewa. Uwielbiam baloniki!

— Dobrze dziecino! Jaki kolor?

— Chcę czerwony!

Dmuchi wydmując policzki. Pilar zaczęła się śmiać i powietrze uciekło jej z balonika.

— Ale pan śmiesznie wygląda, jak pan dmucha! Taki pucołowaty!

Nadmuchali balony, zawiązali starannie i zaczęli odbijać w holu. Właśnie pojawił się tam Poirot. Patrzył na nich pobłaźliwie.

— Bawicie się w *lesjeux d'enfants*[18]? Śliczne baloniki!

— Mój jest czerwony. Większy niż jego! Dużo większy! — przechwalała się zziajana Pilar. — Gdybyśmy wyszli na dwór, poleciałyby prosto do nieba.

— Możemy je wypuścić. Razem z życzeniami.

Ruszyli do wyjścia na ogród. Poirot poszedł za nimi.

— Żebym miała strasznie dużo pieniędzy — wygłosiła intencję Pilar i pozwoliła wiatrowi zabrać czerwony balon. Szybko wzniósł się do góry i zniknął za wysokimi drzewami.

— Nie wolno głośno mówić życzeń — śmiał się Stephen.

— Dlaczego?

— Bo się nie spełnią. Teraz mój.

Stephen miał mniej szczęścia. Poryw wiatru rzucił balonik na ciernisty krzak. Pękł z hukiem.

— Panu też się nie spełni — oznajmiła tragicznym tonem Pilar i podbiegła do ostrokrzewu. Trąciła czubkiem buta strzęp gumy, który pozostał po baloniku.

— Coś takiego podniosłam z podłogi w pokoju dziadka. Też musiał mieć balonik. Tylko że jego był różowy.

Poirot krzyknął głośno, aż Pilar popatrzyła na niego zdumiona.

— Nie, nie, nic... kopnąłem się niechcący w kostkę — wyjaśnił i obrócił się w stronę domu.

— Ależ tu okien! — cmoknął. — Dom, *mademoiselle*, ma oczy... i uszy. To godne ubolewania, że Anglicy tak lubią otwierać okna.

Na taras wyszła Lydia.

— Lunch gotowy — ogłosiła. — Pilar, kochanie, wszystko poszło dobrze. Alfred wyjaśni ci szczegóły po lunchu. Zapraszam do stołu.

Poirot wszedł ostatni z powagą na twarzy.

III

Po lunchu, gdy wszyscy przeszli już z jadalni do salonu, Alfred skinął na Pilar.

— Proszę do mojego pokoju. Musimy porozmawiać o paru sprawach.

Alfred wprowadził Pilar do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. W holu pozostał jedynie zamyślony Herkules Poirot. Z zadumy wyrwał go stary kamerdyner.

— Chciałem porozmawiać z panem Lee, ale nie wiem, czy mogę mu teraz przeszkadzać — Tressilian wydawał się zakłopotany.

— Czy coś się stało?

— Dziwna rzecz, bez sensu. Może zauważył pan, że po obu stronach frontowego wejścia leżały zawsze wielkie kule armatnie. Ciężkie, kamienne. Więc, sir, jedna z nich znikła. Poirot uniósł brwi.

— Od kiedy jej nie ma?

— Dziś rano były jeszcze obydwie. Gotów jestem przysiąc.

— Chcę to zobaczyć.

Wyszli przed dom. Poirot pochylił się i oglądał jedyną pozostałą kulę. Gdy się wyprostował, jego twarz była bardzo poważna.

— Kto mógł ukraść coś takiego? Przecież to bez sensu — dziwował się Tressilian.

— Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba... — mruknął Poirot.

— Co się dzieje w tym domu, sir? Od czasu gdy pan Simeon został zamordowany, to jest jak zupełnie inne miejsce. Ciągłe wydaje mi się, że śnię. Wszystko mi się miesza i niekiedy myślę, że nie powinienem wierzyć własnym oczom.

— Tu się pan myli, Tressilian. Trzeba wierzyć własnym oczom.

— Widzę coraz gorzej — żalił się Tressilian — nie to co kiedyś. Mylą mi się rzeczy i osoby. Za stary już chyba jestem na taką pracę.

— Odwagi! — Poirot poklepał starego kamerdynera po ramieniu.

— Dziękuję za otuchę, ale ja naprawdę robię się za stary. Ciągłe wracam pamięcią do tych dawnych lat i dawnych twarzy. Panienska Jenny, pan David, pan Alfred. Zawsze widzę ich w młodym wieku. A od tego wieczoru, kiedy wrócił pan Harry...

— Tak — kiwnął głową Poirot. — Więc to nie zaczęło się „od czasu, gdy pan został zamordowany”, tylko wcześniej. To zaczęło się „od tego wieczoru, kiedy wrócił pan Harry”. Od tego czasu wszystko się zmieniło i wszystko wydaje się nierealne?

— Ma pan zupełną rację, sir. Tak jest. Pan Harry zawsze wnosił niepokój do tego domu, nawet za dawnych lat. Tak, ale kto zabrał tę kulę? I po co? To musiał być wariat!

— Obawiam się, że to nie wariat. To ktoś bystry! A ktoś inny, Tressilian, jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Poirot odwrócił się i wszedł do domu. W tym momencie z gabinetu Alfreda wypadła Pilar. Miała zadartą dumnie głowę, wypieki na policzkach i roziskrzone oczy.

— Nie przyjmę tego! — tupnęła nogą.

— Czego pani nie przyjmie, mademoiselle?

— Alfred właśnie powiedział mi, że dostanę pieniądze, które dziadek zapisał w spadku mojej mamie.

— No i co?

— Powiedział, że ja nie mogę tych pieniędzy otrzymać jako legalnego spadku, ale Alfred, Lydia i reszta chcą, żebym tę sumę dostała, bo to będzie sprawiedliwie. Więc oni mi ją dadzą.

— No i co?

— Nie rozumie pan? — znowu tupnęła. — Ja nie jestem spadkobierczynią, ale pieniądze dostanę, bo oni mi dadzą. Nie rozumie pan?

— Czy warto się unosić honorem? Przecież mają rację... to sprawiedliwie się pani należy.

— Nic pan nie rozumie...

— Przeciwnie... Rozumiem doskonale.

— Och! — odwróciła się rozdrażniona.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Poirot spojrział przez ramię. U wejścia spostrzegł sylwetkę inspektora Sugdena.

— Dokąd pani idzie? — zawołał do Pilar.

— Do salonu. Do wszystkich — odpowiedziała nadąsana.

— Dobrze. Niech pani tam będzie z nimi. Niech się pani stale z kimś trzyma. Proszę nie chodzić samotnie, zwłaszcza kiedy robi się ciemno. Niech pani uważa. Jest pani w wielkim

niebezpieczeństwie. Nigdy nie będzie pani tak zagrożona jak dzisiaj.

Odwrócił się od niej i podszedł do Sugdena. Policjant podał Poirotowi telegram i powiedział:

— Teraz go mamy! Proszę przeczytać. To depesza od policji południowoafrykańskiej.

Depesza brzmiała: „Jedyny syn Ebenezera Farra zmarł dwa lata temu”.

— Więc teraz wiemy! — powiedział Sugden. — Śmieszne... Szedłem zupełnie innym kursem...

IV

Pilar wkroczyła do salonu z dumnie podniesioną głową. Zmierzała prosto do Lydii, która siedziała przy oknie i robiła na drutach.

— Lydio, przyszedłam ci powiedzieć, że nie przyjmę tych pieniędzy i że wyjeżdżam... natychmiast...

Lydia odłożyła robótkę, była zdumiona.

— Moje drogie dziecko! Chyba Alfred nie wyjaśnił tego dobrze! Jeżeli sądzisz, że robimy to z litości, mylisz się w stu procentach. To nie kwestia naszego dobrego serca czy hojności. Tu chodzi o elementarną uczciwość, o to, żebyś dostała to, co jest twoje. Gdyby twoja matka nie umarła i odziedziczyła te pieniądze, dostałabyś je od niej. To twoje prawo, prawo krwi. To nie kwestia jałmużny, ale sprawiedliwości.

— I właśnie dlatego nie chcę tych pieniędzy — gwałtownie odparła Pilar. — Przyjechałam tu z wielką chęcią. Bawiłam się, czułam, że przeżywam przygodę, a teraz wszystko zepsuliście! Wynoszę się stąd natychmiast... nigdy już nikt tu nie będzie się mną zajmował...

Zaniosła się płaczem, odwróciła i na oślep wybiegła z salonu.

Lydia patrzyła w osłupieniu.

— Do głowy by mi nie przyszło, że może to tak odebrać!

— Ta dziewczyna jest całkiem wytrącona z równowagi — kręciła głową Hilda.

George odchrząknął i przemówił:

— Jak wykazałem to dziś rano, zastosowano tu błędną zasadę. Pilar jest inteligentna i dostrzegła to. Odmawia przyjęcia jałmużny...

— To nie jest jałmużna — zaprzeczyła ostro Lydia. — To jej prawo!

— Ale ona uważa to za jałmużnę!

Do salonu weszli inspektor Sugden i Herkules Poirot.

— Gdzie jest pan Farr? — spytał policjant. — Mam z nim do pomówienia.

— A gdzie jest *señorita* Estravados? — pośpiesznie rzucił drugie pytanie Poirot.

— Pakuje się. Przynajmniej coś takiego powiedziała — poinformował nie bez złośliwej satysfakcji George. — Chyba jej się znudzili angielscy krewniacy.

— Na górę! — krzyknął Poirot do Sugdena.

Gdy dwaj mężczyźni wybiegli do holu, gdzieś na piętrze rozległ się huk, a zaraz potem krzyk. Popędzili ku schodom. Drzwi do pokoju Pilar były otwarte i stał w nich mężczyzna. Był to Stephen Farr.

— Żyje... — powiedział.

Pilar opierała się o ścianę swojego pokoju. Okrągłymi oczami patrzyła na wielką kamienną kulę armatnią, która leżała na podłodze.

— Ktoś położył to na górze, na krawędzi drzwi — szeptała, z trudem łapiąc powietrze. — Roztrzaskałaby mi głowę, gdybym nie zahaczyła sukienką o gwóźdź. To mnie przytrzymało i kula spadła mi przed samym nosem.

Poirot przyklęknął i oglądał gwóźdź. Były na nim niteczki purpurowego tweedu.

— Ten gwóźdź, *mademoiselle*, uratował pani życie.

— Ktoś próbował mnie zabić! — zawołała Pilar.

— Pułapka — Sugden przyglądał się drzwiom. — Mamy tu do czynienia z usiłowaniami zabójstwa! To już drugie planowane morderstwo w tym domu. Tym razem się jednak nie udało!

— Bogu dzięki, uszła pani z życiem — powiedział zachrypniętym głosem Stephen Farr.

— *Madre de Dios*[19]. — Pilar rozrzuciła ramiona w dramatycznym geście. — Dlaczego ktoś chciał mnie zabić? Co ja zrobiłam?

— Powinna pani raczej zapytać: „Co ja takiego wiem?” — poprawił ją Poirot.

— Co wiem? Ja nic nie wiem.

— I tu się pani myli. Proszę powiedzieć, *mademoiselle* Pilar, gdzie pani była w chwili morderstwa? Nie było pani w tym pokoju.

— Byłam. Przecież mówiłam, że byłam!

— Ale nie mówiła pani prawdy — głos inspektora Sugdena był lepki od zwodniczej słodyczy. — Twierdziła pani, że słyszała krzyk dziadka, a w tym pokoju po prostu nie mogła go pani słyszeć. Wczoraj sprawdziliśmy to eksperymentalnie z panem Poirotem.

— Och! — Pilar wstrzymała oddech.

— Była pani znacznie bliżej pokoju dziadka — rzekł Poirot. — Powiem pani gdzie, *mademoiselle*. W niszy, w której stoją dwa posągi.

— Och... Skąd pan wie?

— Pan Farr widział tam panią — uśmiechnął się leciutko Poirot.

— Nie widziałem — zaprzeczył gwałtownie Stephen. — To absolutne kłamstwo!

— Wybaczy pan, *monsieur* Farr, ale pan widział. Pamięta pan swoje złudzenie, że stoją tam trzy posągi, a nie dwa? To nie złudzenie, to panna Pilar. Jediną damą w białej sukni była tamtego wieczoru *mademoiselle* Estravados. Ona była tą trzecią figurą, którą pan widział. Prawda, *mademoiselle*?

— Tak, to prawda — potwierdziła Pilar po chwili wahania.

— A teraz proszę powiedzieć całą prawdę: dlaczego pani tam stała?

— Po kolacji pomyślałam, że dobrze byłoby odwiedzić dziadka. Wydawało mi się, że powinien się ucieszyć. Ale z korytarza zobaczyłam, że ktoś stoi w drzwiach jego pokoju. Nie chciałam być widziana, bo dziadek nie życzył sobie wizyt tego wieczoru. Skryłam się w niszy między posągami. I potem nagle usłyszałam ten potworny hałas, wszystko gdzieś się waliło i tłukło. Stałam jak te posągi. Bałam się ruszyć. I wreszcie ten potwornie przeraźliwy krzyk — tu Pilar przeżegnała się — wtedy serce przestało mi bić i powiedziałam sobie: „Ktoś nie żyje...”.

— A potem?

— Potem wszyscy zaczęli biegać po korytarzu i ja się dołączyłam.

— Nic pani o tym nie mówiła podczas pierwszego przesłuchania — wypomniął ostro Sugden.

— Nie jest dobrze mówić policji za wiele — oświadczyła Pilar nieco przemądrzałym tonem. — Gdybym powiedziała, że byłam tak blisko, moglibyście podejrzewać, że to ja go zabiłam. Więc zeznałam, że byłam w swoim pokoju.

— Pilar? — odezwał się Stephen Parr.

— Tak?

— Kogo zobaczyła pani w drzwiach pokoju dziadka?

— Nie wiem. Było za ciemno. Wiem tylko, że była to kobieta...

Inspektor Sugden patrzył na twarze zebranych.

— To nie jest w zgodzie z przepisami, panie Poirot — powiedział poirytowany.

— Mam taki pomysł. Przedstawię im, co wiemy, a potem poproszę o współudział w ustalaniu prawdy.

— Jak w lichym cyrku — burknął pod nosem Sugden.

— Na początek... Zdaje się, Sugden, że chciał pan poprosić o wyjaśnienia pana Stephena Farra.

— Miałem zamiar zrobić to w mniejszym kręgu, ale niech będzie i tutaj.

Sugden podał telegram Stephenowi Farrowi, który przeczytał go powoli na głos, a potem z ukłonem zwrócił inspektorowi.

— Jak pan nam to wyjaśni?

— Nie jestem synem Ebenezera Farra, ale znałem dobrze zarówno ojca, jak i syna. Naprawdę nazywam się Stephen Grant. Przyjechałem do Anglii po raz pierwszy w życiu i rozczarowałem się. Wszystko wydawało mi się tu szare i smutne, aż kiedyś w pociągu zobaczyłem dziewczynę. Powiem wprost: zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Była najśliczniejszym i najniezwyklejszym stworzeniem na świecie. Rozmawiałem z nią trochę podczas podróży i postanowiłem trzymać się koło niej. Kiedy wychodziłem z przedziału, spostrzegłem kartkę z adresem na jej walizce. Nazwisko nie mówiło mi nic, ale adres, pod który się najwyraźniej udawała, znałem. Słyszałem o Gorston Hali i o jego mieszkańcach. O głowie rodu wiedziałem chyba wszystko. Był kiedyś współnikiem Ebenezera Farra, który często o nim opowiadał.

I nagle przyszło mi do głowy, żeby dostać się do Gorston Hall w roli syna starego Eba. On zmarł, tak jak podaje ten telegram, dwa lata temu, ale pamiętam, że stary Eb ubolewał, iż już dawno nie miał żadnych wieści od Simeona Lee. Toteż byłem pewien, że w Gorston Hali nikt nie może wiedzieć o śmierci Ebowego syna. W każdym razie, pomyślałem, warto spróbować.

— Ale nie zdecydował się pan od razu — wtrącił Sugden.

— Dwa dni spędził pan w zajezdzie King's Arms w Addlesfield.

— Tak, zastanawiałem się jeszcze. Ale pociągało mnie to jako przygoda i swego rodzaju maskarada. I na początku szło jak z płatka! Starszy pan przyjął mnie ogromnie serdecznie i zaprosił na święta. Takie są moje wyjaśnienia. Jeśli wydają się panu dziwaczne, inspektorze Sugden, niech pan wspomni te lata, kiedy sam pan był zakochany. Czy nie robił pan wtedy żadnych głupstw, nie

zdecydował się nagle na jakieś szaleństwo? Nazywam się, mówiłem, Stephen Grant. Niech pan zatelegrafuje do Afryki Południowej i sprawdzi. Ale powiem panu: może pan dostać stamtąd tylko zapewnienie, że jestem porządnym obywatelem, a nie oszustem czy złodziejem kosztowności.

— Nigdy nie myślałem, że jest pan złodziejem — zapewnił go Poirot.

— Muszę sprawdzić to opowiadanie — inspektor Sugden gładził brodę. — A teraz chciałbym się dowiedzieć, dlaczego po morderstwie nie powiedział nam pan wszystkiego, tylko łągał jak najęty?

— Postąpiłem jak dureń — z rozbrajającą szczerością przyznał Stephen. — Bałem się, że to moje *qui pro quo* od razu uczyni ze mnie jednego z głównych podejrzanych. A równocześnie nie pomyślałem, że na pewno skontaktujecie się z Johannesburgiem. Przecież to morderstwo. W takich wypadkach sprawdza się wszystko.

— No dobrze, panie Farr, to jest... Grant, nie mówię, że nie wierzę w tę historię — zastrzegali się Sugden — ale muszę to i owo posprawdzać.

Popatrzył pytająco na Poirota, który wskazał na Pilar.

— Wydaje mi się, że panna Estravados ma coś do powiedzenia.

— Gdyby nie Lydia i te pieniądze — zaczęła niezwykle blada Pilar — nigdy bym się nie przyznała. Grać tu komedię, nabierać, podszywać się, udawać — to było zabawne. Kiedy jednak Lydia powiedziała, że pieniądze są moje i że to jest sprawiedliwość, nie mogłam tego ciągnąć dalej. To już przestało być śmieszne.

— Nic nie rozumiem, moja droga, co ty mówisz? — spytał zupełnie zdezorientowany Alfred Lee.

— Myślicie, że jestem waszą siostrzenicą, Pilar Estravados? To nieprawda! Pilar zginęła w samochodzie, którym jechałyśmy razem. Bomba, ta, co spadła na auto, ją zabiła, a mnie nawet nie drasnęła. Nie znałam jej za dobrze, ale opowiedziała mi o zaproszeniu do Anglii, które przysłał jej bardzo bogaty dziadek. Byłam bez pieniędzy i nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Nagle wpadła mi do głowy myśl: „A gdyby tak wziąć paszport Pilar, pojechać do Anglii i zrobić się strasznie bogatą?”. Byłyśmy z Pilar troszeczkę podobne, ale kiedy tutaj chcieli zobaczyć mój paszport, wyrzuciłam go przez okno i pobrudziłam zdjęcie Pilar ziemią. Bo na granicy straż nie patrzy zbyt uważnie na fotografie, tu jednak mogliby się zorientować, że to nie ja.

— A więc przedstawiłaś się mojemu ojcu jako jego wnuczka i wykorzystywałaś jego słabość do ciebie? — spytał gniewnie Alfred Lee.

— Tak — potwierdziła zadowolona z siebie — od razu czułam, że mnie bardzo polubi.

— To przestępstwo! — pienił się George Lee — Wyłudzenie pieniędzy drogą oszustwa!

— Od ciebie i tak by nic nie dostała, kutwo! — zawołał Harry. — Pilar, jestem po twojej stronie. Mam głęboki podziw dla twojej odwagi. I, co najweselsze, nie muszę być już dłużej twoim

wujem! To mi daje o wiele większe możliwości.

— Pan wiedział? — pytanie Pilar było skierowane do Poirota. — Kiedy pan się zorientował?

— *Mademoiselle*, gdyby studiowała pani dzieła Mendla, wiedziałaby pani, że jeśli oboje rodzice mają oczy niebieskie, dziecko z pewnością nie może mieć brązowych. Nie wątpię zaś, że pani matka dochowywała wierności małżeńskiej. Z tego wynikało, że pani nie może być Pilar Estravados. Kiedy zrobiła pani tę sztuczkę z paszportem, nie miałem już żadnych wątpliwości. Sztuczka zręczna, ale nie perfekcyjna.

— Ta cała historia jest szyta zbyt grubymi nićmi — oświadczył cierpko inspektor Sugden.

— Nie rozumiem — rzekła Pilar.

— Niby coś pani powiedziała, ale ważne rzeczy pominęła milczeniem.

— Niech pan ją zostawi w spokoju! — krzyknął Stephen.

Inspektor Sugden nie zwrócił na to uwagi.

— Powiedziała nam pani, że po kolacji postanowiła pani zajrzeć do dziadka. Jakiś impuls tam panią podobno popchnął. Mam inne przypuszczenia. To pani skradła diamenty.

Simeon Lee pokazywał jej pani, pozwalał brać do rąk. I pani je sobie wzięła. Kiedy to zauważył, natychmiast zorientował się, że tylko dwie osoby mogły dokonać kradzieży. Jedna to Horbury, który miał wiele okazji do poznania szyfru i stały dostęp do pokoju. A druga osoba to pani.

Więc pan Lee od razu zaczął działać. Zadzwoił do komisariatu i ściągnął mnie do Gorston Hall. Następnie poprosił panią o wizytę po kolacji. Kiedy pani przysłała, oskarżył panią o kradzież. Pani zaprzeczała, on oskarżał. Nie wiem, co zdarzyło się później. Być może powiedział, że wie o pani oszustwie. Wie, iż nie jest pani jego wnuczką, lecz zawodową złodziejką. W każdym razie gra była skończona. Bała się pani zdemaskowania i procesu, więc poderżnęła Simeonowi Lee gardło. Nie obyło się bez walki; był hałas i ten krzyk. Wybiegła pani na korytarz, wiedziała pani, jak przekręcić od zewnątrz klucz w zaniku i zrobiła to. Ale zabrakło czasu na ucieczkę, więc stanęła pani przy tych posągach w niszy.

— To nieprawda! To nieprawda! — krzyczała przeraźliwie Pilar. — Nie ukradłam diamentów! Nie zabiłam go! Przysięgam na Najświętszą Panią!

— Więc kto zabił? — pytał Sugden. — Twierdzi pani, że widziała czyjąś postać w drzwiach pokoju Simeona Lee. I to miała być morderczyni. Nie ma jednak żadnego innego potwierdzenia. Tylko pani słowa. Więc, czy był tam ktoś naprawdę, czy pani zmyśla, żeby ocalić własną skórę?

— Oczywiście, że ona jest winna — krzyknął George Lee. — Wszystko jest już jasne! Zawsze mówiłem, że to ktoś obcy zabił ojca. Niedorzecznym nonsensem jest wmawianie, że morderca siedzi wśród nas. To by było wbrew naturze!

— Nie zgadzam się z panem — Poirot poruszył się w fotelu. — Biorąc pod uwagę charakter Simeona Lee, byłoby to zgodne z naturą.

— Co? — George patrzył tępo na Poirota, który przystąpił do uzasadniania swojej tezy.

— Według mnie to właśnie się tutaj zdarzyło. Simeon Lee został zamordowany przez osobę, w której żyłach płynie jego krew.

— Co? Przez kogoś z nas? — rozindyczył się George. — Ja zaprzeczam...

— Wszyscy tu obecni mogą być podejrzani — przerwał mu mocnym, stalowym głosem Poirot. — Zaczniemy od pana. Nie kochał pan swojego ojca! Utrzymywał pan z nim poprawne stosunki tylko ze względu na pieniądze. W dniu śmierci Simeon Lee groził, że obetnie pensję, którą panu wypłaca. Wiedział pan, że po śmierci ojca odziedziczy pan bardzo znaczną sumę. To jest motyw. Po kolacji poszedł pan dzwonić, ale pańska rozmowa trwała tylko pięć minut. Po odłożeniu słuchawki mógł pan bez trudu pójść do ojca, porozmawiać z nim, a potem zaatakować i zabić. Wyszedł pan z pokoju i zamknął drzwi od zewnątrz, żeby to wyglądało na włamanie. Ale ze strachu stracił pan głowę i zapomniał zostawić otwarte okno, a przecież rzekomy włamywacz musiałby jakoś wyjść. Tak, to było po prostu głupie. Nie ma się co zresztą dziwić, bo pan jest, pan wybaczy, raczej głupim człowiekiem!

— Wszelako — podjął Poirot po pauzie, w czasie której George bezskutecznie usiłował wygłosić jakiś protest — wśród kryminalistów jest wielu durniów.

— *Madame* — teraz Poirot zwrócił się ku Magdalenie — również miała motyw. Tkwi pani w długach po uszy. Uwagi teścia na temat pani miały wszelkie prawo wzbudzić mordercze zamiary. A alibi marniutkie. Szła pani do telefonu, ale nie doszła, a na to, co pani robiła, mamy tylko pani słowo.

A teraz pan David Lee. Słyszeliśmy wiele razy o mściwej naturze i pamiętliwości członków rodu Lee. Pan David Lee ani nie zapomniał, ani nie wybaczył ojcu złego traktowania matki. Ostatnie szyderstwo Simeona pod adresem zmarłej przed laty żony mogło być dla Davida kroplą przepełniającą kielich goryczy. David Lee w chwili zbrodni miał grać na fortepianie. Przez przypadek wybrał na ten moment marsza żałobnego. A może to jednak ktoś inny grał marsza żałobnego, ktoś poinformowany, co pan David w tym czasie robi, ktoś aprobujący ten czyn?

— To podła insynuacja — powiedziała ze spokojem Hilda Lee, a Poirot zwrócił się ku niej.

— Posunę się jeszcze dalej w insynuowaniu. To pani ręka dokonała zbrodni. To pani ruszyła na piętro, by wymierzyć sprawiedliwość człowiekowi, któremu, uznała pani, wybaczyć nie można. Pani jest z tych, *madame*, którzy straszliwi potrafią być w gniewie...

— Ja go nie zabiłam.

— Pan Poirot ma rację — oświadczył bezceremonialnie inspektor Sugden. — Przeciwnie wszystkim można sporządzić akt oskarżenia oprócz pana Alfreda, pana Harry'ego i pani Lydii.

— Nawet z tej trójki bym nie rezygnował — zastrzegł się łagodnie Poirot.

— Ależ panie Poirot! — zaprotestował inspektor.

— A jak mógłby pan oskarżyć mnie? — Lydia uśmiechnęła się ironicznie. Poirot skłonił się jej.

— Nie będę opowiadał o motywie, który panią popchnął. Jest dostatecznie oczywisty. Natomiast już mówię, jak pani sfingowała alibi. Tego wieczoru była pani w sukni z kwiecistej tafty o wyrazistym deseni, w sukni z bolerkiem. Chcę przypomnieć, że kamerdyner Tressilian słabo widzi. Z pewnej odległości wszystko mu się zlewa. Salon zaś w tym domu jest duży i oświetlony lampami w grubych abażurach.

Na minutę lub dwie przed krzykiem mordowanego do salonu wszedł Tressilian, by pozbiierać filiżanki po kawie. Widział panią, to znaczy myślał, że panią widzi, stojącą w dobrze sobie znanej pozie przy oknie, częściowo za portierą.

— Naprawdę mnie widział!

— A moim zdaniem było to tylko bolerko od pani sukni, przypięte do portiery i odpowiednio udrapowane.

— Naprawdę tam stałam...

— Jak śmie pan sugerować... — oburzył się Alfred.

— Pozwól mu ciągnąć, Alfredzie — przerwał Harry. — Teraz nasza kolej. Jak pan wykaże, że nasz drogi Alfred zabił swojego ukochanego tatę, skoro w krytycznym momencie siedzieliśmy razem w jadalni?

Poirot spojrzał na niego promiennie.

— To bardzo proste. Alibi ogromnie zyskuje na wiarygodności, gdy potwierdza je ktoś niechętny. Pan i brat żyjecie jak pies z kotem. Wszyscy o tym wiedzą. Pan wyszydza brata publicznie. Brat nigdy dobrego słowa o panu nie powie. Ale przypuśćmy, że następuje rodzaj zawieszenia broni, bo jednoczy was chwilowo ten sam zbrodniczy cel. Alfred Lee nie jest już w stanie nadskakiwać dłużej apodyktycznemu ojcu. Spotkaliście się gdzieś w adwencie i plan został nakreślony. Pan powraca po latach do domu. Alfred udaje, że robi się chory na pana widok. Doznaje ataków zazdrości i nie kryje niechęci do pana. Pan wyraziście okazuje mu swoją pogardę. A potem przychodzi noc mordu, który tak starannie zaplanowaliście. Jeden z was zostaje w jadalni i kłóci się tam głośno za dwóch. A drugi idzie na piętro popełnić zbrodnię...

Alfred zerwał się na równe nogi.

— Potwór! — krzyknął.

— Pan naprawdę sądzi...? — Sugden patrzył badawczo na Poirota.

— Chciałem pokazać możliwości. To wszystko są rzeczy, które mogły się zdarzyć! Które z nich

naprawdę miały miejsce? Na to pytanie odpowiemy, gdy uda nam się przejść od pozorów do realiów...

Zamilkł i dopowiedział powoli:

— Musimy powrócić, powtarzam, do charakteru Simeona Lee...

VI

Nastąpiła chwila milczenia. Dziwna rzecz: złość i oburzenie znikły. Herkules Poirot zaczarował słuchaczy, poddali się sile jego osobowości. Zafascynowani patrzyli na niego, gdy ponownie zaczął mówić.

— Sednem, jądrem tajemnicy, naturalnym ośrodkiem zainteresowania jest ofiara zbrodni. Musimy dotrzeć do serca i umysłu Simeona Lee. Człowiek bowiem nie żyje i nie umiera sam dla siebie. To, co ma, co w nim jest, przekazuje tym, którzy przychodzą po nim.

Co Simeon Lee miał do przekazania swoim synom i córce? Najpierw trzeba wymienić pychę, która gorzko zaowocowała frustracją, gdy starca rozczarowały jego własne dzieci. Następnie cierpliwość. Opowiadano nam, że Simeon Lee latami czekał wytrwale na okazję do zemsty. Ta cecha najpełniej wykształciła się u syna najmniej fizycznie podobnego do ojca. David Lee również umie pamiętać i pielęgnować urazę przez długie lata. Z twarzy jedynie Harry wyraźnie przypomina ojca. Podobieństwo jest uderzające, gdy spojrzeć na młodzieńczy portret Simeona Lee. Ten sam wydatny orli nos, masywna szczeka równie ostro zarysowana i tak samo odchylona do tyłu głowa. Myślę też, że Harry odziedziczył odruchy ojca: śmiejąc się, odrzuca głowę do tyłu, gładzi się palcami po brodzie.

Byłem przekonany, że morderstwo zostało popełnione przez osobę blisko związaną z ofiarą i dlatego przypatrywałem się tej rodzinie bardzo uważnie, przede wszystkim z psychologicznego punktu widzenia. Starłem się rozpoznać potencjalnych przestępców, psychologicznie predysponowanych. Stwierdziłem, że tylko dwie osoby kwalifikują się do tej kategorii: Alfred Lee i Hilda Lee, żona Davida. Samego Davida wyeliminowałem. Nie sądzę, by osoba o jego wrażliwości mogła znieść widok krwi wypływającej z poderżniętego gardła, a cóż dopiero dokonywać mordu własnoręcznie. George Lee i jego żona również według mnie odpadali. Jakkolwiek mocno pchałaby ich pazerność, nie przypuszczam, by wystarczyło im desperacji do podjęcia ryzyka. Zdecydowanie należą do osób ostrożnych. Pani Lydia Lee jest niezdolna, nie mam wątpliwości, do aktów przemocy. W jej naturze jest za wiele ironii. Wahałem się co do Harry'ego Lee. Ma on wprawdzie w twarzy pewną agresywność, ale te zawadiackie miny i nastroszone pióra maskują psychiczne cherlactwo. Podobnie sądził jego ojciec, mówił przecież, że Harry nie jest lepszy od reszty. Tak więc pozostała mi tylko wymieniona dwójka. Alfred Lee pokazał zdolność do niezwykłego samozaparcia. Przez długie lata podporządkowywał się woli innej osoby. Taki układ zawsze grozi nagłym pęknięciem. Co więcej, kto wie, czy przez te lata nie gromadziła się w nim utajona niechęć i pretensja do ojca, coraz bardziej rosnąca w siłę właśnie dlatego, że nigdy w żaden sposób nie objawiana. To właśnie najcichsi, najpotulniejsi ludzie dokonują niekiedy zupełnie niespodziewanie czynów gwałtownych, bo gdy im puszczają hamulce, nic ich nie może powstrzymać!

Za osobę zdolną do popełnienia zbrodni uznałem również Hildę Lee. Należy do tych, którzy potrafią wziąć prawo w swoje ręce w razie potrzeby, ale nigdy z pobudek egoistycznych. Tacy jak ona nie tylko osądzają, ale od razu wykonują wyrok. W Starym Testamencie znajdziemy wiele postaci tego typu, na przykład Jael i Judytę.

Po przeglądzie rodziny Lee przeszedłem do analizy zbrodni. Miejsce, gdzie jej dokonano, wyglądało jak pobojowisko: potłuczona porcelana i szkło, wszystko powywracane. Zaskakiwał zwłaszcza widok masywnych mahoniowych mebli. Czyżby walka ze zniedołężniałym staruszkiem była tak zażarta, że doszło nawet do wywrócenia ciężkiego stołu i foteli? Wprost trudno było uwierzyć własnym oczom. Może sprawca powywracał je rozmyślnie, by skierować śledztwo na mylny trop: chciał zasugerować, iż mordu dokonała słaba fizycznie kobieta, dla której nawet pojedynek z wątłym starcem okazał się niemal wyrównany? Takie przypuszczenie jest jednak całkowicie nieprzekonujące, bo łoskot mebli musiał zaalarmować domowników, czas na ucieczkę z miejsca zbrodni kurczył się więc niebezpiecznie. Przecież ten zbrodniarz powinien unikać hałasu!

Następny zdumiewający element to klucz w zamku od wewnątrz. Jeśli morderca chciał stworzyć pozory samobójstwa, dlaczego zaniedbał inne składniki tej aranżacji? Jeśli chciał zasugerować, że sprawca uciekł przez okno, dlaczego okna były pozamykane? I zbrodniarz nie żałował cennego czasu na przekręcenie klucza od strony korytarza?

Jeszcze jedna rzecz, która do niczego nie pasuje, to kawałek gumy i drewniany ćwiek, pokazany mi przez inspektora Sugdena. Podniosła to z podłogi osoba, która weszła do pokoju zaraz po rozbiciu drzwi. Chce się powiedzieć, że w tym nie ma odrobiny sensu, te przedmioty nic nie znaczą. A jednak były tam.

Następna wątpliwość: ofiara wzywa inspektora Sugdena. Simeon Lee wie już o kradzieży diamentów. Jeśli chce porozmawiać z wnuczką lub inną osobą, którą podejrzewa o złodziejstwo, i postraszyć ją wizytą policji, to dlaczego każe inspektorowi przyjść dopiero za półtorej godziny? Przecież z policjantem za ścianą taka rozmowa powinna być skuteczniejsza.

I tak dochodzimy do wniosku, że nie tylko postępowanie mordercy było dziwne. Również Simeon Lee zachowywał się w sposób zdumiewający!

Powiedziałem sobie: to wszystko nie układa się w żadną logiczną całość z oczywistego powodu — patrzymy na wypadki pod niewłaściwym kątem. Widzimy je tak, jak sobie życzył tego morderca. Czy te trzy elementy: hałas, klucz wewnątrz przekręcony od zewnątrz, strzęp gumy — czy to da się jakoś połączyć z dwójką wyłonionych przeze mnie podejrzanych? Absolutnie nie. Oboje musieliby być zainteresowani jak najpóźniejszym wykryciem zbrodni, a więc dokonaniem jej w sposób jak najcichszy. I bardzo szybkim oddaleniem się z miejsca mordu — nie tracąc czasu na jakieś sztuczki z drzwiami. A więc nic tu się nie klaruje, a jeszcze do tego kawałek gumy z drewnianym kółeczkiem... Wszystko absurdalne. Cały czas miałem jednak bardzo silne przekonanie, że nic nie ma przypadkowego w tej zbrodni; została zaplanowana ze starannością, a wykonana z precyzją. Byłem pewien, że wszystko, co się zdarzyło, było przewidziane, miało się zdarzyć.

Kiedy analizowałem fakty po raz któryś z rzędu, dostrzegłem wreszcie iskierkę światła...

Krew... tak dużo krwi... wszędzie krew... Akcent na krew, świeżą, nie skrzepniętą jeszcze, połyskliwą... Tyle krwi... Za dużo krwi... To jest krwawa zbrodnia. Zbrodnia krwi. Także w tym znaczeniu, że własna krew Simeona Lee podniosła się przeciw niemu.

Herkules Poirot pochylił się do przodu.

— Dwoje różnych ludzi podsunęło zupełnie nieświadomie klucz do rozwiązania zagadki tej zbrodni. Najpierw pani Lydia zacytowała lady Makbet: „Och, kto by przypuszczał, że ten starzec miał w sobie tyle krwi”. Znacznie później Tressilian, kamerdyner, opisał mi, jak był oszołomiony, kiedy zaczął odnosić wrażenie, że wszystko zdarza się po raz drugi. Kiedyś odezwał się dzwonek u drzwi i Tressilian otworzył Harry’emu Lee. Następnego dnia otwiera i też jest pewien, że to Harry, ale to był Stephen Farr.

Skąd to wrażenie powtarzania się zdarzeń? Wystarczy spojrzeć na Harry’ego Lee i Stephena Farra. Są uderzająco podobni! Czy, otwierając drzwi Stephenowi Farrowi, nie można odnieść wrażenia, że wpuszcza się Harry’ego Lee? Jeszcze dzisiaj Tressilian wspomniał, że stale mylą mu się ci dwaj mężczyźni. Nic dziwnego! Stephen Farr ma wydatny orli nos i tak samo jak Harry gładzi się po brodzie. Przyjrzyjmy się dłużej młodzieńczemu portretowi Simeona Lee, a ujrzymy na obrazie nie tylko Harry’ego Lee, ale również Stephena Farra...

Stephen poruszył się. Zaskrzypiało pod nim krzesło.

— Przypomnijmy sobie, jak Simeon Lee rozzłościł się i wygłosił tyradę przeciw własnej rodzinie. Powiedział, pamiętacie przecież, że może przysiąc, iż gdzieś w świecie ma lepszych synów, choć nie pochodzą oni z prawego łóża. I znów powracamy do kwestii charakteru Simeona Lee. Mężczyzny, za którym szalały kobiety, męża winnego chyba załamaniu i śmierci żony. Ojca, który chełpił się przed Pilar, że mógłby sformować straż przyboczną z synów w jednym wieku! To przechwałki, ale doprowadzają do ważnej konkluzji: w domu Simeona Lee oprócz rodziny legalnej przebywał również syn z nieprawego związku.

Stephen zerwał się na nogi.

— To był rzeczywisty powód, prawda? — spytał go Poirot.

— Nie miłość od pierwszego wejrzenia do dziewczyny napotkanej w pociągu! Pan się tu wybierał, nie wiedząc jeszcze o jej istnieniu. Chciał pan zobaczyć na własne oczy swojego ojca...

Stephen zrobił się blady jak ściana. Ochryłym głosem powiedział:

— Tak, zawsze byłem ciekaw... Matka opowiadała mi o nim czasami. Myśl o spotkaniu z ojcem stała się moją obsesją! Zaoszczędziłem trochę pieniędzy i przyjechałem do Anglii. Nie chciałem, by się zorientował, kim jestem. Udawałem syna starego Eba. Tak, przyjechałem tu w tym jedynie celu — by zobaczyć mojego ojca...

— O Boże, byłem ślepy... — wyszeptał inspektor Sugden.

— Teraz widzę. Dwa razy pomyliłem pana z Harrym Lee i nie zwróciłem na to uwagi!

— Tak to było, prawda? — Sugden zwrócił się ku Filar.

— To był Stephen Farr, ta osoba, którą ujrzała pani pod drzwiami Simeona? Pani się zawahała, odpowiadając nam, pamiętam, popatrzyła pani na Farra i powiedziała, że tam stała kobieta. Widziała pani Farra, ale nie chciała go pani wydać.

— Nie. Fan się myli — przerwał mu głęboki głos Hildy.

— To mnie widziała Filar pod tymi drzwiami...

— Panią, *madame*? Tak, tak przypuszczałem... — odezwał się Poirot.

— Instynkt samozachowawczy jest rzeczą szczególną. Nigdy bym nie sądziła, że mogę okazać się takim tchórzem. Milczeć ze strachu!

— Ale teraz pani nam powie? — spytał Poirot.

— Byłam z mężem w saloniku muzycznym. David grał na fortepianie, był w fatalnym nastroju. Bałam się o niego i czułam się odpowiedzialna za to wszystko, bo to ja go namówiłam do przyjazdu tutaj. David zaczął grać marsza żałobnego i wtedy nagle się zdecydowałam. Jakkolwiek może się to wydać dziwne, postanowiłam, że oboje wyjedziemy. Natychmiast, jeszcze tego wieczoru. Wymknęłam się cicho z saloniku i poszłam na górę. Chciałam powiedzieć panu Lee w oczy, że opuszczamy ten dom. Minęłam cały korytarz i zapukałam do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zapukałam głośniejsze. Głucho. Nacisnęłam na klamkę. Zamknięte. I wtedy, gdy zastanawiałam się, co robić, usłyszałam ten rumor w środku...

— Nie uwierzycie mi — ciągnęła po chwili przerwy — ale to prawda! Ktoś tam był i mordował pana Lee. Stałam sparaliżowana! Nie mogłam się ruszyć! Potem przybiegł pan Farr, Magdalena i inni. Pan Farr i Harry zaczęli rozbijać drzwi. Gdy ustąpiły, wpadliśmy do pokoju, gdzie nie było nikogo oprócz martwego pana Lee w kałuży krwi. Nie było tam nikogo — podniosła głos do krzyku — nikogo, rozumiecie! I nikt nie wyszedł z pokoju...

VII

— Albo ja jestem wariatem — inspektor Sugden westchnął głęboko — albo wszyscy tu dookoła! To, co pani powiedziała, to jest absolutnie niemożliwe. Po prostu brednia!

— Mówię panu, słyszałam, jak się bili. Słyszałam, jak staruszek krzyczał, gdy podrzynano mu gardło, ale nikogo nie było w pokoju i nikt z niego nie wyszedł! — zawołała Hilda.

— I do tej pory milczała pani na ten temat? — spytał Herkules Poirot.

— Bałam się — Hilda była blada, ale głos miała spokojny — że jeśli opowiem, jak było, wniosek będzie jeden: to ja zabiłam Simeona Lee...

— Nie — potrząsnął głową Poirot. — Pani nie zabiła. Zabił go własny syn.

— Przysięgam na Boga, że nie tknąłem go — wyszeptał Stephen Farr.

— Nie pan — powiedział Poirot. — Miał jeszcze innych synów!

— Co do diabła... — krzyknął Harry.

George patrzył na Poirota wytrzeszczonymi oczami.

— Pierwszego wieczoru, kiedy się tu znalazłem — wyjaśnił Poirot — zaraz po morderstwie, zobaczyłem ducha, ducha zabitego. Gdy po raz pierwszy ujrzałem Harry'ego Lee, coś mnie uderzyło. Byłem pewien, że tego człowieka już musiałem widzieć. Potem wytłumaczyłem sobie, że to wrażenie wzięło się z podobieństwa Harry'ego do zabitego ojca. Wczoraj jednak mężczyzna siedzący naprzeciw mnie odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać — w tym momencie uświadomiłem sobie, kogo przypominał mi Harry Lee. I znowu, w innej twarzy odnalazłem podobieństwo do zamordowanego.

Nic dziwnego, że biednemu staremu Tressilianowi wszystko się mieszało, gdy otwierał drzwi nie dwóm, ale trzem bardzo do siebie podobnym mężczyznom. I potem myślał, że coś mu się porobiło z oczami albo z głową, gdy mylił postaci tych trzech w domu. Ta sama sylwetka, te same gesty, to odrzucanie głowy do tyłu, kiedy się śmiali, te trzy wydatne, orle nosy. Podobieństwo nie zawsze jednak rzucało się w oczy, bo trzeci mężczyzna miał wąsy.

Poirot pochylił się do przodu.

— Niekiedy zapomina się, że policjanci to też ludzie, że mają żony, dzieci, matki — tu zrobił pauzę — i ojców. Pamiętajcie, jaką reputację miał Simeon Lee: kobieciarza, który swoimi łajdactwami doprowadził żonę do rozpacz i śmiertelnej choroby. Nieślubny syn może dziedziczyć wiele rzeczy. Rysy ojca i nawet jego gesty. Może odziedziczyć jego pychę, cierpliwość i mściwy charakter!

Poirot podniósł głos.

— Przez całe życie nienawidził pan ojca, panie Sugden, za zło, które panu wyrządził. Myślę, że już dawno postanowił go pan zabić. Pochodzi pan z sąsiedniego hrabstwa, niedaleko stąd. Nie ulega wątpliwości, że pańska matka, hojnie wynagrodzona przez Simeona Lee, znalazła męża, który był uważany za ojca jej dziecka. Nie miał pan kłopotów z dostaniem się do policji w Middleshire. Potem już tylko trzeba było poczekać na okazję. Inspektorowi policji łatwo zdarzy się sposobność do popełnienia przestępstwa bez ryzyka wpadki.

Sugden zrobił się blady jak papier.

— Pan zwariował! Przecież nie było mnie w tym domu, gdy Lee został zabity.

— Nie, nie było. Ale zabił go pan wcześniej, gdy był pan w tym domu po raz pierwszy. Po tej wizycie nikt już nie widział Simeona żywego. Simeon Lee pana oczekiwał, to prawda, ale on pana nie wzywał. To pan do niego zadzwonił i powiedział coś niejasno o usiłowaniu kradzieży. Zaproponował pan, że przyjdzie koło ósmej pod pretekstem kwesty. Simeon Lee niczego nie podejrzewał. Nie wiedział, że pan jest jego synem. Wysłuchał historyjki o zamianie diamentów i otworzył sejf, pokazując, że prawdziwym diamentom nic się nie stało. Pan przeprosił i gdy wracaliście do kominka, zniemacka jedną ręką zakrył pan usta ojcu, żeby nie mógł krzyknąć, a drugą poderżnął mu gardło. Drobiazg dla kogoś tak silnego jak pan.

Potem zabrał pan diamenty i zaczął urządzać pobojuwisko. Stoły, krzesła, lampy, szklanki, porcelanę złożył pan na jednym stosie, obwieszonym sznurem. Miał pan ze sobą butelkę świeżej krwi zwierzęcej z dodatkiem cytrynianu sodowego. Rozchlapał ją pan po wszystkim dookoła, a cytrynianu sodowego dodał również do krwi, która wypłynęła z rany Simeona Lee. Podrzucił pan drew do kominka, by ciało zabitego stygło wolniej. Dwa końce sznura oplatającego stos mebli spuścił pan na dwór przez uchylony lufcik okienny. Wyszedł pan z pokoju i od strony korytarza przekręcił klucz, który tkwił w zamku od wewnątrz. Drzwi musiały być zamknięte, by nikt przed czasem nie odkrył zbrodni; rzecz bardzo ważna.

— Następnie wyszedł pan z domu i ukrył diamenty w kamiennej misie, w tym Morzu Martwym pani Lydii. Gdyby zostały znalezione, i tak skierowałyby podejrzenia w stronę rodziny Lee, legalnej rodziny.

Kiedy zbliżał się kwadrans po dziewiątej, pan powrócił, podszedł pod okno Simeona i pociągnął za sznurki. Starannie spiętrzona piramida zwała się z hukiem. Trzaskowi przewracających się mebli wtórował brzęk tłuczonej porcelany. Wyciągnął pan cały sznur do końca i owinał się nim w talii pod marynarką. Miał pan jeszcze jeden pomysł w zanadrzu.

Poirot zwrócił się do wszystkich.

— Pamiętacie, jak opisywaliście agonálny krzyk pana Lee? Kilkoro z was mówiło o jęku potępieńca, duszy w piekle, ktoś o dzikiej bestii. Najtrafniej jednak ujął to Harry Lee, porównując ten krzyk do kwiku zarzynanej świni.

Czy widzieliście na jarmarkach podłużne, różowe baloniki z karykaturalnymi twarzami? Tak się je właśnie nazywa — „zarzynana świnia” — bo kiedy z końcówki balonika wyciągnie się drewnianą zatyczkę, uchodzące powietrze kwiczy niczym szlachtowany wieprz.

Wiecie już więc, co podniosła Pilar Estravados z podłogi w pokoju Simeona — ten kóleczek, szpunt zatykający balonik, i strzęp gumy, jaki po nim pozostał. Inspektor miał nadzieję, że będzie na miejscu odpowiednio wcześniej, by te drobiazgi pozbierać. Nie zdążył, ale odebrał je Pilar prawie natychmiast. I zwróćcie uwagę: nigdy o tych rzeczach nie wspomniał. Już samo to wzbudzało podejrzenia. Usłyszałem o znalezisku Pilar od Magdaleny Lee i zagadnąłem inspektora. Był przygotowany na tę ewentualność: odciął kawałek gumy z woreczka na przybory do mycia pana Lee i dołożył jakieś drewnienko. To mi właśnie pokazał. Niestety, nic mi te rzeczy nie mówiły. Ale kiedy panna Estravados puszczała baloniki pod domem i jeden z nich pękł, podniosła gumę z ziemi i zawołała, że to taka sama rzecz jak znaleziona w pokoju dziadka Simeona. Tylko tamta była różowa. Wtedy odgadłem prawdę.

Czy widzą państwo, jak wszystko zaczyna do siebie pasować? Odgłosy walki, które były niezbędne, by zasugerować fałszywy czas śmierci. Zamknięte drzwi, by nikt nie mógł znaleźć ciała za wcześniej. Krzyk umierającego. Przebieg zbrodniczej akcji jest teraz logiczny i zrozumiały. W momencie gdy Pilar Estravados głośno obwieściła o swoim odkryciu z balonikiem, stała się zagrożeniem dla mordercy. Jeżeli usłyszał on jej okrzyk (co jest wielce prawdopodobne, bo Pilar głos ma donośny, a wiele okien było pootwieranych), dziewczyna znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Raz już Pilar postawiła mordercę w kłopotliwej sytuacji, mówiąc, że stary pan Lee musiał być w młodości przystojnym mężczyzną. „Podobnym do pana”, powiedziała wtedy do Sugdena, co on zrozumiał literalnie. Poczzerwieniał i niemal się zakrztusił. To było tak niespodziewane i niezmiernie groźne. Miał nadzieję, że uda się skierować podejrzenie na Pilar, co jednak było trudne, bo przecież jako wnuczka starca, której jeszcze nie zapisał nic w testamencie, nie miała motywu, by go uśmiercać. Później, kiedy usłyszał ten jej okrzyk o baloniku, zdecydował się na krok desperacki. Położył kamienną kulę na drzwiach pokoju Pilar. Zrobił to, gdy jedliśmy lunch. Cudem uniknęła śmierci.

Zapadła grobowa cisza.

— Kiedy zyskał pan pewność, panie Poirot? — spytał cicho Sugden.

— W chwili gdy przyłożyłem sztuczne wąsy do młodzieńczego portretu Simeona, nabrałem pewności. Z portretu patrzył na mnie pan, inspektorze Sugden.

— Niech się smaży w piekle! Cieszę się, że to zrobiłem! — zawołał Sugden.

Część VII — 28 grudnia

I

Pilar, myślę, że na razie powinnaś zostać z nami.

— Jesteś taka dobra, Lydio. Jesteś kochana. Potrafisz wybaczyć i nawet nie prawisz mi kazań.

— Wciąż nazywam cię Pilar — uśmiechnęła się Lydia — chociaż masz przecież inaczej na imię.

— Tak. Naprawdę nazywam się Conchita Lopez.

— Conchita to również bardzo ładne imię.

— Ach, Lydio, jesteś aż za dobra dla mnie. Ale nie martw się o mnie. Zamierzam wyjść za Stephena i pojedziemy do Afryki Południowej.

— To doskonały obrót sprawy — znowu uśmiechnęła się Lydia.

— Lydio, taka jesteś miła... Może kiedyś moglibyśmy przyjechać do ciebie z wizytą, na przykład na Boże Narodzenie?

I byłyby wtedy święta z ciastem, kandyzowanymi owocami, ustrojoną choinką i bałwanem na białym obrusie?

— Oczywiście! Przyjedziecie i zobaczycie, jak naprawdę wyglądają angielskie święta.

— To będzie cudowne. Wiesz, Lydio, wydaje mi się, jakby w tym roku w ogóle nie było Bożego Narodzenia.

— O tak, to nie były wesołe święta... — westchnęła Lydia.

II

— Do widzenia, Alfredzie. Nie spodziewaj się, że będę zawracał ci głowę częstymi wizytami. Wyjeżdżam na Hawaje. Zawsze chciałem tam zamieszkać, ale wcześniej nie miałem pieniędzy.

— Do widzenia, Harry. Baw się dobrze. Tego ci życzę.

— Nie gniewaj się na mnie — wymamrotał Harry. — Wiem, że ci bez przerwy dokuczałem. Mam jakieś takie kolczaste poczucie humoru. Nie mogę się powstrzymać, zawsze muszę z kogoś drwić.

— Ja też powinienem lepiej poznawać się na żartach — z trudem przyznał Alfred.

— Bywaj.

III

— Davidzie, Lydia i ja postanowiliśmy sprzedać tę posiadłość. Pomyślałem, że może chciałbyś zatrzymać niektóre rzeczy po naszej matce, może ten fotel albo podnózek? W końcu zawsze byłeś jej ulubieńcom.

— Dziękuję, Alfredzie — odparł po chwili wahania David — ale jednak nie. Nie chcę nic z tego domu. Chyba lepiej całkowicie skończyć z przeszłością.

— Rozumiem. Może masz rację.

IV

— No, to żegnaj, Alfredzie, żegnaj, Lydio. Ależ mieliśmy straszne przejścia — westchnął George. — Teraz zbliża się proces. Och, jaka fatalna historia! Wszyscy się wkrótce dowiedzą, że to syn mojego ojca! Nie można by jakoś tego Sugdena namówić, jakoś nakłonić, żeby twierdził, że jest wojującym komunistą i zabił ojca z nienawiści do kapitalistów?

— Drogi George, czy ty naprawdę masz nadzieję, że taki człowiek będzie kłamał, by oszczędzić nasze uczucia?

— No tak, masz rację. To chyba musi być wariat No, to żegnajcie.

— Żegnajcie — powiedziała Magdalena. — Za rok pojedziemy na święta na Riwierę i będzie wesoło.

— Zobaczymy, jak mi pójdzie na giełdzie — zastrzegł się George.

— Och, kochanie, nie bądź takim dusigroszem.

Alfred wyszedł na taras. Lydia była tam już, pochylona nad jedną ze swoich kamiennych mis. Wyprostowała się na jego widok.

— Wszyscy odjechali — westchnął.

— Tak, jaka ulga — przytaknęła.

— Zadowolona jesteś, że opuszczamy ten dom?

— A tobie żal?

— Nie, ja też nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjadę. Tyle ciekawych rzeczy możemy robić we dwoje. Tutaj ciągle przypominałby się nam ten koszmar. Bogu dzięki, że już po wszystkim.

— To zasługa Herkulesa Poirota.

— Masz rację, Lydio. To zdumiewające, jak wszystko do siebie pasowało, gdy on rekonstruował tę całą sprawę.

— To jak przy układance. Wydaje się, że są kawałki, które do niczego nie mogą pasować, a w końcu trafiają w miejsca odpowiednie tylko dla nich.

— Ale jeden element z naszej układanki pozostał, Lydio. Co robił George po rozmowie telefonicznej? Dlaczego nie powiedział?

— Nie wiesz? Ja wiedziałam od razu. Grzebał w papierach na twoim biurku.

— Lydio, co też ty opowiadasz!

— Jestem pewna. Jeżeli chodzi o sprawy finansowe, on jest zdolny do wszystkiego. Ale przyznałby się do tego dopiero pod groźbą oskarżenia go o morderstwo.

— Robisz kolejny miniaturowy ogródek?

— Tak.

— I co to będzie tym razem?

— To będzie Eden, rajski ogród. Nowa wersja — bez żadnego węża. A Adam i Ewa będą w średnim wieku.

— Kochana Lydio — powiedział czule Alfred — byłaś taka cierpliwa przez te wszystkie lata. Byłaś dla mnie bardzo dobra.

— Bo ja ciebie Kocham, Alfredzie...

VI

— O Boże! — jęknął pułkownik Johnson. — To zupełnie nie do wiary. Wielkie nieba! Mój najlepszy policjant! Co się dzieje?

— Nawet policjanci mają prywatne życie — uspokajał go Poirot. — Sugden miał swoją obsesję.

Pułkownik pokręcił głową. Aby sobie ulżyć, kopniakiem posłał polano do ognia.

— Nie ma to jak dobry kominek — ogłosił.

— *Pour moi*[20] tylko centralne ogrzewanie — mruknął Herkules Poirot, który znowu poczuł przeciąg na plecach.

[1] fr. Z ważnych powodów, to zrozumiało.

[2] fr. Bardzo dobrze.

[3] fr. Pomimo to.

[4] fr. Narada rodzinna.

[5] fr. Ładna modelka z tej małej. Ale ma zimne oczy.

[6] fr. Mój stary.

[7] fr. Mój drogi.

[8] fr. Ależ tak.

[9] fr. Dalibóg!

[10] fr. Kobiety.

[11] fr. Dobrze wymyślone.

[12] fr. Mój drogi kolego.

[13] fr. Przyjacielu.

[14] fr. Do licha!

[15] fr. Toaleta, elegancki strój.

[16] fr. No więc.

[17] fr. I co?

[18] fr. Dziecięce zabawy.

[19] hiszp. Matko Boska

[20] fr. Dla mnie.